

WZKŁĘ I. POLSKĄ



TOWARZYSTWO LITERATÓW
I DZIENNIKARZY POLSKICH
W WARSZAWIE, MAJ 1916 ROKU

CENA 2 ZŁOTE.

HT 844
<http://rcin.org.pl>



P.T. 8M

~~5170~~

nasza rozmiarami swymi wdwojnásób przerosła zeszlóroczną jednodniówkę.

Wydawnictwem kierował p. Ignacy Dąbrowski przy współudziale pp. Wacława Rogowicza, Edwarda Słońskiego, Lucyny Kotarbińskiej i Wł. Zyglarskiego.

Na czele organizacyi pań, które podjęły się sprzedaży naszego wydawnictwa, stanęły pp. Zofia Lelewelowa, J. Leszczyńska i H. Jungowa.

SPIS AUTORÓW.

Wroczyński Kazimierz	str. 38	Lange Antoni	str. 57
Abramowicz Ludwik	33	Lemański Jan	30
Badowska Ewelina	76	Leśmian Bolesław	10
Baliński Ignacy	7	Lubomirska Marja	1
Baranowski Ignacy	29	Lubomirski Zdzisław	89
Bielicka Zofia	48	Łada Jan	73
Bukowiński Władysław	19	Makowski Wacław	17
Chlebowski Bronisław	87	Matuszewski Ignacy	4
Cieśliński Jan	64	Neufeldówna Bronisława	66
Cieszkowska Zofia	67	Niedźwiedzki Władysław	14
Daniłowski Gustaw	15	Nusbaum Henryk	78
Dębicki Zdzisław	17	Olgiert Stella	11
Dicksteinówna Julia	61	Orłowski Wacław	82
Dzierżanowski Wiktor	26	Papieski Leon	19
Ejmond Julian	22	Piątkowski Henryk	72
Gerson-Dąbrowska Marya	82	Pilecki Antoni	70
Gomulicki Wiktor	84	Przewóska Marja Czesława	76
Grabowski Jan	71	Rabska Zuzanna	68
Hajota	79	Radliński Ignacy	42
Hertz Benedykt	13	Rogowicz Wacław	16
Hertz Jan Adolf	8	Seidlerowa Zofia	46
Jankowski Czesław	8	Sieroszewski Wacław	1
Jankowski Józef	5	Skimborowicz Hipolit ks.	81
Jaroszyński Tadeusz	27	Smoleński Władysław	23
Kallenbach Józef	2	Święcicki Julian Adolf	86
Karski Michał	55	Szlagowski Antoni ks.	20
Kempner Stanisław	59	Szmigielski Jan ks.	72
Kończyc Tadeusz	78	Szycówna Aniela	24
Korzon Tadeusz	49	Trojanowski Edward	44
Kosiakiewicz Wincenty	68	Walewska Cecylia	77
Kosmowska I. W.	62	Walewska Marya	67
Kotarbiński Józef	40	Wesołowski Stanisław ks.	6
Kotarbińska Lucyna	86	Wittig Edward	65
Kraushar Aleksander	35	Wroczyński S. Jan	67
Kryński Adam Antoni	56		

A SZKOŁĘ POLSKĄ

STWO LITERATÓW I DZIEN-
NARZĘDZIE POLSKICH W WARSZAWIE

Wśród pełnego grozy zmagania się potęg starej Europy znajduję wyraz ukojenia i siły moralnej we wzniosłych słowach dalekiego indyjskiego poety:

Oto modlitwa moja do Ciebie, Panie:

Daj mi przyjmować w spokoju, zarówno szczęścia dar, jako i smutku zemść.

Użyj mi mocy, abym nigdy nie wyparł się ubogiego i nie ugiął kolan przed brutalną siłą.

Dozwól, by miłość moja stała się w służbie owocną.

*Adrianowa
Lubomirską*

NIEMOWA.

Na progu młodości spotkał go straszny wypadek. Niespodziany, morderczy cios w głowę pozbawił go mowy. Gdy niebezpieczeństwo utraty życia minęło, gdy znikła pełna widziadeł maligna, czuwająca nad jego łóżem, a z niewysłowioną udręką łowiła uchem westchnienia, żale i jęki, jakiegoby wyłącznie zdradzał toczącą się w nim walkę życia ze śmiercią.

— Co ci jest?... Odpowiedz!... Gdzie boli cię?... Czy mię poznajesz?—
ytęła głosem cichym, słodkim, przenikającym, jak poranna woń ojczystego ogrodu.

Nie otwierał oczu i nie odpowiadał zrozumiałemi słowy. Aż dnia pewnego podniósł powieki i utkwiał w twarz matczyną źrenice już przytomne; milczał jednak. Wtedy pochylili się nad nim zupełnie blisko, tak blisko, iż usta jej piły jego oddech, czyhając na najmniejszy sens szmerów, wydychających się ze ściśniętej jego krtani.

Nic, zupełnie nic!... Był tam tylko chaos stłumionej w głębi piersi urzy.

— Słówko, słoweczko... Synu!... — jęknęła, opuszczając się na kolana bok łóża.

Porwał się z poustzek i patrzył na nią bys-
zonemi oczyma. Wtem usta mu drgnęły, wykrzywił
piana niewymownego wysiłku i wybiegł chrapliwy,

Odtańd nie próbował już mówić nigdy. Całe życie się, zabijała
ło się w oczach, które rozszerzyły się nadmiernie i k... okropny krzy
nabrały głęбини, połysku morza. Wszystko odbijało się... myśli i uczuć
od drobnych obłoczków, przemijających wzruszeń, a końców blask
nicowych błyskawicach oburzenia i gniewu.

Serce jego pozostało jak dawniej gorącym, szlachetnem,
sercem młodzieńca; umysł jak dawniej łowił i różniczkował p...
zjawiska świata, w mózgu myśli układały się w śpiewnem łańcuchu zdan...
Jakże pragnął wyrzucić je z siebie, działać za ich pomocą — to czułych,
jak gruchanie turkawek, to mocnych, jak miedź, to pieszczotliwych, ta
godnych i zwiewnych, jak barwny nalot na płateczkach kwiatów, to ostrych
jak grot, jak uderzenie żelaza... Daremnie. Im bardziej wzruszona
jego dusza, tem dziksze dźwięki wydawała gardziel... Więc gdy nie mógł
dłużej milczenia wytrzymać, biegł w bór, w bezludne ostępy i... bly-
długo, godziny całe, jak zwierzę leśny, rozkoszując się i wsłuchując...
ze wstrętem w zrodzone przez siebie dźwięki. Poczem wracał spo...
szy i otulał się w przyswojoną milczeniem melancholię.

Pewnego jednak razu dosłyszał w burzliwych rykach buntu, jako
mi czynił ulgę swym pieransom, pewne odmiany, stopniowania i dowolne róż-
żnice, któremi przy wysiłku woli mógł rządzić.

Od dnia tego odchodził w głuche ostępy coraz częściej i tam
się odnowa utraconej mowy. I choć usta po dawno mu milczały, oczy
szczały coraz żywszym i radośniejszym ogniem, aż przyszedł raz i, ukląksz-
u nóg matki, wyszeptał cicho i z trudem:

— Matko, jestem wolny!...

Wacław Sieroszewski.

Wspomnienia A. Mickiewicza.

*Podaję poniżej notatkę ciekawą o Mickiewiczu spisaną przez Eustachego
Januszkiewicza bezpośrednio po gawędach z Poetą w czasie wspólnej podró-
w lutym 1846 roku. Obok szczegółów, znanych już dawniej skądinąd, zawiera
notatka Januszkiewicza wiadomości nieznanne biografom Mickiewicza. Eustachy
Januszkiewicz należał na Emigracji do najgorętszych wielbicieli Poety; więc
godność notatki nie może podlegać żadnej wątpliwości. Podaję tekst według
grafu Januszkiewicza bez jakichkolwiek odmian, a zatem z takimi skró-
wyrazów, jakie są w rękopisie. Sam nieład chronologiczny w opowiadaniu
z życia Mickiewicza świadczy o zanotowaniu rozmowy pod jej bezpośrednim
wrażeniem.*

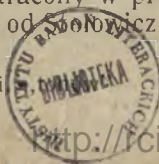
W Warszawie, d. 11 kwietnia 1916 r.

Józef Kallenbach.

Noty zebrane z rozmowy z Adamem M. w czasie podró-
z Paryża do Zurich od 4 do 8 Lut. 1846 r.

Ojciec był Mikołaj, matka Barbara Majewska z domu Orzeszkow
której siostra starsza, Pani wielce toniasta¹⁾, była za Piorą a potem za Bie-
skim. Cały majątek stracony w procesie — siedziała długi czas u Mickiewi-
czów w Zaosiu, o milę od Sokołowicz. Synowie: Franciszek, po rewolucyi w P

1) Pełna pretensyj



znańskiem u Grabowskich; Adam, — Alexander, prof. w Charkowie, żona-
ty z jedną z córek Terajewicza, Sędziego.¹⁾

Lat 16 mając, Adam z Nowogrodzkich szkół przyjechał do Wilna; staje przed dziekanem Mickiewiczem do Examinu do Szkoły kandydatów stanu nauczycielskiego. Grodeck, Borowski z liter. egzaminują. Jednocześnie byli egzaminowani²⁾ Waszkiewicz, Zan, Hreczyna. Zanowi examen nieudał się. Mickiewicz Dziekan przyjmuje do swego mieszkania Adama; od niego na 2 M-ce³⁾ przed śmiercią oddalił (się). Malewski⁴⁾ i familia źle patrzą, myślą, że Adam czyha na sukcesyą.

Professorem w Kownie. Prelekcyje i przemowa, w której Adam tłumaczy niedostateczność wykładu, podana X. Czart. przez Sienkiewicza⁵⁾, bez odpowiedzi.

Podróż piechotą do Jusburga⁶⁾ — Kowalski i proff. odradzają, tak im się to dziwnie wydaje—nareszcie namawia Nieśmiałowskiego⁷⁾, brata prof. aw., ale najmują powóz do wyjech. z Kowna, idą dalej pieszo, Nieśmia-
łowski zachorował niebezpiecznie.

Malewski źle usposobiony. Malewski za to, że Ad. chorobą zatrzyma-
ł się do Kowna niewrócił, każe mu pensyą miesięczną zatrzymać —
każe się Adam do świadectwa Porcyanki, doktora⁸⁾; Maleski nie słu-
cha, czyni reprimandę i każe ją publicznie na zebraniu Profess. odczytać,
pensyą przywraca. Adam tłumaczy się, że mu o pensyą nie stoi, broni prawdy.
Malewski po raz drugi odpisuje, że P. Mick. tłum. jest dziecinne.

Grodka propozycya, aby Adam wybrał jakiego Autora niewydanego,
np. Eumenides, którego rozrzucone kilkanaście lub kilkadziesiąt wierszy
było przez drażnych cytowanych, żeby całe życie poświęcił swe nad komen-
tarzem do takiego Autora, a to będzie dzieło najwyższe, najważniejsza przy-
śluga. Adam zbył Grodka.

Michał Wereszczaka, siostra jego Maryla za Putkamerem, do Plu-
żan przejażdżka. Matka ich Aneta, pełna życia. Rabin towarzys. — Rok 1812.
Chobrzyński, przyjaciel ojca Adama, ostatni z oddziałem Ross. wychodzi
z Nowogrodka przed wejściem wojsk polskich. Ocala magazyn, miasto, roz-
daje mąkę, krupy. Burłaki rabują, chcą palić miasto, Polacy wchodzą.

Adam po ojcu w żałobie, posądzony o żal za Moskalami — wrażenie,
że lud głodny, jak taka massa ludzi wyżyje? Cała armia poszła — a za nią
dopiero przyszły wozy żywności wszelkiej.

Wołodkowicz Jenerał, kochanek starej Wereszczakowej — proces
z Obuchowiczem, który był zabrał majątek Wołodkowicza, który był w woj-
sku francuskim pod obcym imieniem.⁹⁾

1) Nie wymieniony najmłodszy brat Adama, Jerzy, z którym było w rodzinie
dużo zgrzyoty.

2) Ob. studyum d-ra Z. Bujakowskiego: *Z młodości Mickiewicza*, Warszawa
1914, str. 8.

3) = miesiące.

4) Szymon M., Rektor Uniw. Wileńskiego.

5) Karola, tłumacza *Pani Jeziora* Walter Scotta i „Warszawianki“ Delevigne'a.

6) Jurborga.

7) Prawdopodobnie Nieławickiego.

8) Bujakowski, j. w. str. 17.

9) Mowa tu o Janie Henryku Wołodkowiczu, który emigrował po upadku po-
wstania Kościuszkowskiego do Francji i w armii francuskiej otrzymał stopień gene-
rała brygady. Używał nazwiska Henry.

Podróż do Włoch. Z Odyńcem łączy się w Karlsbadzie. Wal. Kra-
siński zatrzymuje pieniądze dla Adama przeznaczone. Adam w Neapo-
lu chce dać serenadę dla Panny Klustine. Odyniec dnia jednego w dzień
urodz. Ad. pisze wiersze do niego.

Alex. Potocki zostawia dla Adama pieniądze u swego bankiera. Adam
100~~≠~~¹⁾ neapolitańskich dla chęty poety assygnuje. Niedowierzenie Odyńca.
Przykrości z powodu Odyńca. Jadąc do Wenecyi wenturyn²⁾ rzuca się na
Adama. Adam chce go koniecznie przed sąd prowadzić. Wenturyn dostaje
choroby Ś. Walentego.

Anglik...³⁾ wyobraża sobie wszędzie banditów. Listy jego do Anglii pi-
sane.

Celina⁴⁾ — zameście — niejaki Puchalski chciał się z nią żenić. Ada-
ma wyznanie przed nią. Wezwanie do podobnej otwartości.

W Moskwie myślano, że Malewski⁵⁾ utrzymywał Adama. — Podróż do
Odesy — Malewski — Giżycki za szpiega uważany, szuler. Witt.⁶⁾ Worońców.
Do Akermanu podróż, 6 dni stepu. — Młody Marchocki w stepie.

W Rzymie Ankwiczówna.

Spotkanie w Lausannie Szemiotowej, z domu Kowalska, Sidorowi-
czowej z domu Malewiczówna. Szemiotowa pragnie umrzeć we Włoszech:
„może P. Odyniec wiersz jaki napisze”.

Pobył w Poznańskiem — chęć samobójstwa; jedynie wzgląd na kło-
pot, jakiby uczynił gospodarzowi Domu, gdzie mieszkał, wstrzymuje. Chęć
wejścia do stanu Duch.

W Dreźnie pisze Dziady Cz. III. W Szczorsach przez tydzień bawiąc
kiedy Chrept. odjechał do Wiszniewa, pisze Grażynę.

O szkołach: sądy. Czeczot i Adam Wolski elekcye. Adam intryguje za
Czeczotem.

Kiersnowskich dom spokrewniony z Mick. Stary Kiersnowski tyran dla
włości. Nikodem, Adam synowie, jak często jechali, w dom Adama brali.

Mickiewicz, jadąc do Wilna z Nowogrodka⁷⁾ spotyka pod lasem Mich-
niewiczza, murgrabię domu Bukszy na wileńskiej ulicy — bierze go za zbój-
cę, za strzelbę chwyta. Siada Michniewicz na wózku Adama, rozmawiają
z sobą — wprowadza do siebie. Sama Michniewiczowa opiekuje się, radzi.
Przez 5 dni mieszka. — Ona u Tow.⁸⁾ w Antoszwiniach. On za jakieś wier-
szyki w więzieniu umiera.

1) Dukatów.

2) T. j. vetturino, woźnica.

3) Nazwisko nieczytelne.

4) Szymanowska.

5) Franciszek, syn Rektora, przyjaciel Poety.

6) Jenerał rossyjski, sportretowany w *Konfederatach Barskich*.

7) W 1815 r. do Uniwersytetu Wileńskiego.

8) Andrzeja Towiańskiego.

Większości t. zw. filozofów idzie
nie o to, żeby ich systemat był odbi-
ciem świata, lecz o to, żeby świat
przystosować do swego systematu...
Toż samo można powiedzieć o
wielu historykach w stosunku do
dziejów, a o działaczach, reformato-
rach, dyplomatach etc. w stosunku
do zjawisk życia jednostkowego, spo-
łecznego i narodowego.

Ignacy Matuszewski.

ODA DO MŁODOŚCI.

„Teraz widzimy przez zwierciadło w zagadce, lecz w on czas twarzą w twarz“.

Sw. Paweł, do Koryntyan, I, XIII, 12.

Bez woli, bez hartu—niewolników ludy!
Młodości! daj mi moc ducha!
Niechaj wolny od uludy,
Na życiowe ochrzczon trudy,
Rozkują tu ogniwo ziemskiego łańcucha:
pracą mężną, wiarą sutą,
Wykapany w ideale,
Wolę sprawię i ustalę,
Jako rzeźbiarz arcydzielnę dłuto
I jak jego dłoń mistrzowską,
Z pod której
Z pieczęcią boską,
Przez mój czujny trud wcielony,
Przez usilne tchnień zaciągi,
Białe i niepokalane,
Ponad paryjskie marmury
Stanie posąg nad posągi,
Wzór, by słońce w nim płonęło:
Życia mocne arcydzieło.

Niechaj — kogo samolubna
Przykuje taczka żywota,
Ciągnie przyziemnie, gdzie pleśń losu zgu-
Pleśnią żyje i pleśń mota, [bna,
Śladami tych, co z powarzoną twarzą
Wciąż „za jądłem chciwie łążą” —

Młodości! tobie przystoi
W ideału chodzić zbroi,
Bójować szczytnie o zorze,
Przybliżyć królestwo boże,
Wiedzieć i wierzyć, że ziemskiego wiana
Będzie ci reszta przydana.
Tobie młodości, przystoi na ziemię
Ściągnąć tu niebo i brzemię
Ziemi podnosić do nieba,
Podważać ją niestrudzenie,
Aż jej niepokorna gleba,
Uroniwszy losu cienie,
Do boskiego wzięta stroju,
Wystrzeli tu kwiatami Miłości, Pokoju,
Na Czyn, na Myśli spełnienie,
Na odkupione jestestwo,
Ducha twojego królestwo.

* * *

Nie w marzeniu, nie w uludzie,
Nie w rojonym lotnie cudzie—

(Te kąkole z gruntu pieli)
Ale w znoju, ale w trudzie,
Ale w służbie, w obowiązku,
Rzeczywistym światła związku,
Stanął ludów wielki cel,
Jego przyszłość, jego biel!
Młodości! ty skrzydła waż!
Młodości, ty zamiary twoje szczytne dziel
Między lot-zapał i między hart-wolę,
Jako narodu i arka, i straż,
W jednym sumienia najczujniejszym kole
Światła się zamknij promieniem:
Rozum twój wzniecaj natchnieniem,
Natchnienie prowadź rozumem!
Zaś bezcelowym swych skrzydeł gardź szu-
I błyskami zpróżna piór! [mem
W niebo twe wlatuj po wzór
I na ziemię powracaj, gdzie twój bratni
Buduj czyn! [gmin—

A wolę twoją u sumienia szal
Do anielskich twoich trosk
Miej mocną, prężną, jak stal,
I razem miękka, jak wosk:
By Bóg ci w każdej chwili, przez swój świę-
[ty gwałt,
Ulepić mógł z niej idealny kształt,
Według którego z tem, co z Niego tchnęło,
Stawać się będzie twe dzieło.

Nie masz wolności, kto własnej woli
W bożego ładu nie wdrzył kolej, —
Nie masz zwycięstwa i cześć chybiona,
Kto siebie tu nie pokona!

Więc nadewszystko niech ginie, przepada
Wszech dróg wolności zawada,
Ta, co najwstrętniej bieg życia zasycza
Z prochów zwału, z ziemi lica,
Orlem widzeniem już świętego Jana
Na tronie wieków dojrzana,
Babilońska wszetecznicza,
Królująca u otchłani,
EGOIZMU wieczna pani,
Która życie zawrotnym snem i ciężką marą
Czyni i rzeczywistość przestania nam jarą!

Tej bój wydajny i pod światła chrzest ją
Weźmy wraz z smokiem i bestią,
Żądz potworami straszniemi,—
Straćmy je z oblicza ziemi,
Zasympy razem z otchłanią,
Zmiećmy jej obłędny puch—
A na miejsce wrót ciemnych słoneczną
[przystanią
Młodości rozświetli się duch!

Razem, młodzi przyjaciele!
Wybieźmy na ziemi szańce,
Stęźmy ducha w jednym dziele,
Pochwyćmy słońce na bary,
Wtoczmy je na świat ten stary,
Rozlejmy światło na krańce,—
Aż zadziwiona udzkość przetrze oczy,
Z gnuśnych szat się wyobłoczy
I raz pierwszy, prawa straż,
Ujrzy siebie twarzą w twarz!

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu każdego są wszystkich cele —
A niemasz szczęścia pełniejszej zorzy,
Jak, gdy kto duszę dla braci łoży,—
I niemasz chwały większego raję,
Jak w służbie światła, w ducha sprzężaju!

Pierzchają uludne mary,
Gasciele błędni celu, —
Biegą nowi światła gońce—
Witaj, Duchu - Cieszy cielu,
Czynu, Jawy z tobą słońce!

Józef Jankowski.

Duch szkoły polskiej.

„Dziś nam nie wolno rwać się na oślep w płomienie,
By dźwięk imienia ludzkiego przekazać pamięci,
Dziś tylko naprzód musim posuwać się duchem,
I przysposabiać sobie sił zasób świeży,
Zanim Bóg nam obronę przyszłości powierzy”.
(Asnyk).

Ta chwila, o której śnił poeta, nadeszła. Przyszłość Polski zależy dziś nie tylko od pomyślnego rozwiązania w myśl naszych aspiracji politycznych powikłań międzynarodowych, lecz również i od samego społeczeństwa, od jego spoiwości wewnętrznej i sił moralnych. Wdzięczne ma tedy przed sobą zadanie szkoła polska, przygotowując zawczasu siły świeże, moralnie i fizycznie zdrowe, wykuwając charaktery silne, które w najbliższej przyszłości powołane będą na posterunki społeczno-obywatelskie. Słuszną jednak czyni uwagę jeden z pedagogów warszawskich, że „człowiek mocny wyróżnić może tylko w mocnej atmosferze ideowej, którą dzisiaj w Polsce trzeba stwarzać świadomie”.

W przeciwstawieniu do szkoły rdzennie rosyjskiej, która zabijała w nas myśl polską, kneblowała usta, fałszowała nasze dzieje ojczyste, wyszydzała naszych bohaterów narodowych, słowem — zatruchiwała swym oddechem — duszę, zadawała „bólów-ból”, — szkoła narodowa musi posiadać atmosferę bezwzględnie czystą moralnie, chrześcijańską i wyraźnie polską; musi wymieść za próg wszystko, cokolwiek mogłoby przypominać dawną gospodarkę rosyjską w naszym kraju. Mimo, iż od pamiętnego roku 1905 przyzwyczajaliśmy się nazywać szkołę prywatną bez praw z językiem wykładowym (większości przedmiotów) polskim — „polską”, wszelako aż do chwili wyjścia rosyjan z Warszawy — szkoła wyrażanych cech polskości nie posiadała, a nawet do pewnego stopnia posiadać nie mogła, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w dalszym ciągu pozostawała pod kuratelą inspekcji rządowej, że musiała wraz ze szkołami rządowymi obchodzić t. zw. „galówki”, że wykład przedmiotów rosyjskich pozostał nadal w rękach nauczycieli rosyjan, że wreszcie w roku ubiegłym na egzaminach ostatecznych asystowali de-

legacji okręgu naukowego. Dodać muszę, że już sama obecność w szkole niiby „polskiej”, pedagogów rosyjskich, najczęściej nie mających nic wspólnego z pedagogiką, karyerowiczów lub udających „liberałów”, nie przyczyniała się bynajmniej do podniesienia umysłowej i duchowej atmosfery szkolnej, lecz znacznie ją obniżyła, demoralizując przytem młodzież polską.

Dopiero w roku bieżącym szkolnym zaczęło napływać do naszych uczelni świeższe powietrze, gdyż wolne od mikrobów rosyjskich i szkoła naprawdę zaczyna być polską z ducha!...

Powtarzam: zaczyna być polską; dopóki jednak chociaż jeden z dawnych nauczycieli rosyjan pozostanie w szkole, dopóki program wykładu języka rosyjskiego nie ulegnie radykalnej zmianie, dopóki nauczycielstwo nie wypowie się otwarcie, że stoi i stać będzie na stanowisku narodowym, dopóty „polskość” szkoły, przynajmniej dla mnie, będzie problematyczną, a wpływ takiej szkoły na wychowanie młodzieży będzie bardzo nikły — a może nawet szkodliwy.

Szkoła narodowa musi być polską z ducha! Atmosferę duchową szkoły tworzą nie programy i metody, jeno żywi ludzie, a więc przełożeni i nauczyciele-wychowawcy.

Spółceństwo, dając grosz ofiarny na „szkołę polską”, ma prawo wymagać, aby ta „polskość” nie była tylko nalepką, obrachowaną na przynętę, lecz wynikała z ducha szkoły. Ale ponieważ myśl polska nigdy nie była zarazona nihilizmem, ani też sceptycyzmem religijnym, dlatego atmosfera szkolna, którą ma młodzież nasza oddychać, powinna być stanowczo chrześcijańska, moralna i patriotyczna!

Jedynie na takim podłożu i w takiej atmosferze mogą wyrastać silne, szlachetne charaktery, ludzie idei, dzielni obywatele kraju.

Niech tylko szkoła polska nie zatracą swego charakteru, niech idąc naprzód z postępem i wymaganiami wiedzy współczesnej, nie zrywa nici, wiążących ją z najlepszymi tradycjami szkolnictwa polskiego z okresu Komisji Edukacyjnej, a niewątpliwie powaga jej wzrośnie i zasłuży sobie na wdzięczność całego społeczeństwa!

Ks. Stanisław Wesółowski.

Do ucznia szkoły polskiej.

A gdy zobaczysz, pachole, —
Że ojciec, — choć wesół z wami,
W domowym, spokojnem kole,
Choć cię mu czoła nie plami
I troska bruzdą nie rani,
Gdyście tak razem zebrani
W domowym kole, —
Że ojciec nagle się wzdryga,
Ściął usta, twarz mu zastyga,
Oczy zaświecą ponuro,
Jako ptakowi w niewoli,
Któremu 'za piórem pióro
Z pod skrzydeł szarpia powoli,—

Nie pytaj mową natrętą,
Przez jakie widmo, czy piętno
Przeszłości—doznaje męki,
Lecz mu przypadnij do ręki
I swoją błogosław dołę,
Młodzieńczą dołę!...

.....
Twój ojciec wtedy, pachole,
Myśli o klatki swej kratkach,
O swojej wspomina szkole,
O własnych młodzieńczych la-
tach.

Ignacy Baliński.

Z arabesek.

Zdawało mi się wczora
Przez chwilę — może dwie —
Że przyszła wreszcie pora
I kochasz... pani, mnie!

Takeśmy milcząc stali,
Wpatrzeni w ciemny świat,
Jakgdybyśmy się znali
Od wielu, wielu lat;
Jakgdybyśmy się bali
Niewymówionych słów
I wspomnień, co z oddali
Czarować chcą nas znów...

Że przyszła właśnie pora
Utonąć w cudnym śnie,
Zdawało mi się wczora
Przez chwilę — może dwie.

Więc rzekłem: Niech się wali
Świat wkoło! Co mi tam!
Wśród fiołków i konwalii
Będziemy się błakali
Po parku tam i sam.

Patrz, jak się puch zielony
Po klombach ścięle bzu...
Sen gońmy — nieprześniony:

Sen wiosny odrodzonej,
Cień choćby cienia snu!

Niech huczy świat dokoła,
Niech ziemia wokrag drży.
Usiądźmy. Nie chmurz czoła.
O! Nikt nas, nikt nie woła;
Park pusty. Ja i ty!

W ramionach mych się stania,
Ukryła w dłonie twarz...
Przyzwala, to się wzbrania —
Aż słodki czar kochania
Przebóstwił uścisk nasz.

O nocy! O majowa!
Co? Blask już świta zórz?
Nic nie mów... Poco słowa?
Któż przysiąg z nas dochowa?
Ja — nic nie pomnę już.

Grzmi świat. Huragan wyje.
Za gromem wali grom.
O róże, o lilije,
Czyjeście wy? Niczyje...
Dzwon gdzieś z cmentarza bije
Na pożegnanie — snom.

Kwiecień, 1916.

Czesław Jankowski.

POWITANIE WIOSNY.

Wychowawcom i Wychowawcom Szkoły Polskiej.

Błogosławiony bądź pierwszy dniu
budzącej się wiosny.

Błogosławione bądźcie młode, złote,
słoneczne pąki — zwiastuny pięknego
i bujnego życia.

Przyszłyście!! Witam was całym
sercem i — dzięki, dzięki wam za to!
I u nas ongi była wiosna, lecz to już
tak dawno, iż nic nie pamiętam.

Nawet lata już nie pomnę; pozostał
mi tylko w pamięci koniec jesieni
i zima.

A była długa i chłod był; a ogrzać
się nie było ani gdzie, ani o co. A bia-

ły śnieg, który spadał podczas tej dłu-
giej zimy, krótki miał żywot: czerwien-
niał od krwi i w błoto codzienności
spływał...

A z pokolenia w pokolenie szła wieść,
że Kain zabił Abła.

I zdawało mi się, że kresu tej zimy
nie będzie, że wiosna nie dla mnie —
nie dla nas.

A oto wyście przyszły, patrzę na
was, cieszę się wami, chłonę was w sie-
bie o słoneczne, złote, kochane pąki
moje i — błogosławię wam.

O, dzięki, dzięki wam za to, iżście

nie uwierzyły, że Kain dotąd wciąż jeszcze zabija Abła — i przyszły.

Niech ono wielkie i święte słońce nie opuszcza was nigdy, niech na was zleje całe morze swych promieni, których tak skąpiło dziadom i ojcom waszym. Niech was hoduje i pieści, tuli i kocha — wiernie i stale.

* * *

Więc zima już minęła!

Nareszcie! nareszcie!

A byłem pełen smutku, choć byłem bez winy...

I ból czułem przeogromny, a ciężar życia zgiął mnie tak ku ziemi, że nie mogłem już podnieść głowy, by spojrzeć w górę — na niebo i słońce. I zdawało mi się, że ta moja skołatana głowa tylko opadać już będzie niżej — coraz niżej...

A oto stał się cud — żywy cud: zawitałeś ku nam pierwszy dniu budzącej się wiosny — i przyniosłeś nam w darze te złote, jasne, słoneczne i kochane pąki — tę żywą zapowiedź odrodzenia, rozkwitu i bujnego życia.

O, pąki moje! Patrząc na was i ciesząc się wami, zapominać zaczynam i wierzę — znów wierzę!

Zapominam, że niegdyś straszny sen miałem, że ongi zły brat Kain cnotliwego Abła zabił...

Zapominam, że słońce, które jest dla wszystkiego i wszystkich najlepszą matką, dla mnie było najgorszą i najokrutniejszą macochą. Zapominam, że pozostawiono mnie samego na wicherze i mrozie, a nikt nie chciał mi być bratem i żadne mię nie wołało ognisko.

I wierzę, że odtąd już biały śnieg białości swej nie utraci, i jeżeli stopnieje, to nie od obojętnych stóp ludzkich, lecz od promieni słońca i nie w błoto, lecz w kryształową, źródlaną wodę się zmieni.

I wierzę mocno, złote moje pąki, że waszego pędu ku słońcu już nic nie powstrzyma, że rozwinięcie się w młoda, precudną zieleń liści, która umai

świętecznie tę naszą tak bardzo kochaną i tak bardzo, bardzo biedną ziemię.

I wierzę nieustannie, że dzięki wam w tym prastarym grodzie znów bujnie i potężnie rozpleni się życie, że kwiaty, które się z was zrodzą, będą przepiękne i owocodajne, a owoc z nich powstały będzie soczysty i zdrowy.

* * *

O, przyjdź, przyjdź, zbożny, miłujący ogrodniku, spójrz na te nasze złote, słoneczne pąki nie tylko mądrym, lecz i kochającym okiem, umieść je wszystkie w sercu swoim — i czuwaj i zabiegaj, by z tej pięknej wiosny jeszcze piękniejsze zrodziło się lato. O, przyjdź śniony, wzywany, oczekiwany, po trzykroć szczęśny i zazdrości godny ogrodniku, bo praca nad tymi słonecznymi pąkami jest już zapłata i nagroda.

* * *

I bacz, czuwaj i patrz, a jeśli dojrzysz gąsienicę-szkodnika — tęp, bez litości tęp i niszc. Lecz one, słoneczne pąki moje, niech o tem nie wiedzą nic. One tylko rosnać i kwitnąć powinny, i kapać się w słońcu i miłości twej, ogrodniku zbożny.

I niech wreszcie stanie się cud: niech zmartwychwstanie Abel, bo już czas — już wiosna.

* * *

Błogosławiony mi bądź pierwszy dniu budzącej się wiosny, za to, iżęś wątpięcym już oczom moim ukazał tę żywą zapowiedź bujnego, pięknego i słonecznego życia.

Błogosławione bądźcie młode, złote, kochane pąki moje; iżęście mi o przeszłości zapomnieć, a w przyszłość uwierzyć kazały! A ty, ogrodniku, wdziej na się kapłaństwa szatę, duszę swą wykąp w czystym i ofiarnym źródle, serce swe otwórz, rozszerz i powiększ, a pięknej twej pracy — szczęść Boże!

Jan Adolf Hertz.

SEN WIEJSKI.

Śni mi się czasem wieś, którą wbrew losom
Wysiłkiem marzeń przymuszam do trwania,
Czuając, jak przymus co chwila jej wzbrania
Znikać, gdy właśnie zmyślonym niebiosom
Oczyrna ledwo naznaczyłem w próżni
Miejsce spotkania snu mego z błękitem.
Drzewa mię nęcą naocznym rozkwitem—
Czasem się tylko jakiś liść opóźni,
Lub gałąź, nie tak zjawiona, przez szpary
Snu w mrok wybiegnie ponad snu zamiary...
A zresztą — wieczór żmudny, nieustanny,
Z pola znuzone wracają dziewczęta,
Wadząc spódnicą o złote dziewanny,
O których sen mój, że śnią się, pamięta.
A kroki dziewcząt — uparte, bezgłośnie
I jednoczesne i dziwnie nieznośne,
Jakby szły po to, by mi tylko dowieść,
Że idą, dbałe o pył, co się zrywa
Z pod stóp ku zorzy... I, jak we śnie bywa,
Gdy życie wkracza we własną opowieść,
Wiem o nich wszystko... A one mą wiedzę
Zgadują nawskroś, że nie ta i pusta,
I dalej idą, wypełniając miedzę
I umiejętnie rozchylając usta,
Jakby do śpiewu. Choć śpiewu nie słyszę,
Wiem, że śpiewają, — i wsłuchany w ciszę
Ich warg, niemołą drętwych beznadziejną,
Te słowa chwytam napozór kolejno:
— „Czy kto nas wyśnił? I skąd nasza dola?
I czy to prawda, że wracamy z pola?
I czy to prawda, że my w sobie — żywe?
Śnijmy się nadal — zgodne i cierpliwe!”
Choć słów tych niema, lecz słyszę je w chwili,
Kiedy pomysłu, że tak być powinno.
Zorza ku głębiom strumieni się chyli,
Ściekając złotem i purpurą płynną,
Bieleją brzozy, krwawią się czereśnie, —
Wszystko to we śnie.

Wszystko to we śnie. Gdy chyłę w sen głowę,
Dziewczęta chyłą tak samo swe skronie...
Przechodzą teraz przez nagłą dąbrowę,
Której nie było, a która, ustronie
Wprzód upatrzwszy, w sieć snu siebie chwytą
I na spotkanie idącym rozkwita,
Szumiąc zieleni zakłęta pierwszozną,
Nieprzewidzianą, a bujną i żyzną,
Wśród której życie, przemieszane z zorzą,
Przeświecające wraz z niebem przez liście,
Purpurowieje mętnie i cieniście.
Na widnokregu obłoki się mnożą.
Od dziewcząt cienie padają ukośne,
I jednoczesne i dziwnie nieznośne,
Jakgdyby po to wysnuły się drogą,
Aby mi dowieść, że mają od kogo
I na co upaść... I błędne motyle
Na pokaz, z trudem swój kształt w zorzy trwałą.
Teraz chcę zliczyć tłum dziewcząt, co falą
Płynię po kwiatach — jest tyle, a tyle

To wszystko, — liczby określić nie umiem,
Ale ja nawskroś i żywcem rozumiem,
Jakgdyby była nie liczbą, lecz spadem
Ciał w głąb naościę rozwartego ducha.
Już czerwiec, skrząc się, biegnie moim sadem,
A w chacie mojej — noc lipcowa, głucha,
A w polu wieczór dogasa sierpniowy.
Jakież to miesiąc zmącił sny mej głowy?
Mijają Lipce i Sierpień i Wrzesień...
Wszystko to we śnie.

Wszystko to we śnie! I wszystko przemija,
Nie przemijając. I trwa wieś niczyja
I wieczór, złotą znakowany smugą.
O, jakże znikąd i jakże już długo
Idą te z pola znużone dziewczęta!
I ja wraz z niemi! Bo i mnie też pęta
Żądza przebycia nad strumieni wodą
Nagłego lasu, co złudnie się spiętrza,
Ale nie mogę wejść cały do wnętrza
Mego snu: jestem sam sobie przegrodą.
Choć w nim się błąkam, choć dłońmi obiema
Dotykam kwiatów, wiem, że mnie tam niema.
Dziewczęta wzajem poprzez mgieł błękitność
Wskazują sobie moją tam niebytność
I sad, gdzie mogłem w cieniu grusz i śliwek
Czekać na przyjście ich wśród drzew bezładu,
I popod płotem tego właśnie sadu
Siadają rzędem na wspólny przyśniwek
O tem, co serce niewoli do bicia —
Czy pozyskanie, czyli strata życia?
I o tem jeszcze, co słodsze dla ciała, —
Sen, który gaśnie, czy jawa, co pała?
I o tem jeszcze, skąd przyszła ich dola?
I czy to prawda, że wracają z pola?
I czy to prawda, że zjawiona w ciszy
Piers ich tem żyje, że swój oddech słyszy?
I tak śnią chórem chciwie, pracowicie,
Dłonią w swych piersiach przytrzymując życie,
A która dośni do końca — ta gaśnie,
Gasną kolejno, bez żalu. Już właśnie
W ostatniej tli się snu reszta ostatnia
Która się w zorzy jeszcze wyszkarlatnia,
A i ta zwolna do śmierci nawyka
I w mgle samo chcąc bez śladu zanika,
W tej mgle, co w dal się rozwiewa bezkreśnie...
Wszystko to we śnie.

Bolesław Leśmian.

MOJA ALEJA.

Smutno mi! Błądzą bez celu po wysypanej żwirem alei i mocno zaciskam usta, by nawet szept skargi z nich nie uleciał.

Moje, wy moje! Pieszczę je oczyma, od czasu do czasu tulę usta do ich zimnej kory i płacz, po kimś bardzo drogim rozrywa mi piersi.

Moje, wy moje!

Dzień dzisiejszy jeszcze do nas należy, drzewa wy moje — lecz jutro.. Nie mogę o tem myśleć, nie mogę! Gdyby mieć możność ocalić was... Objąć ramionami i ciałem własnym od zgłady was ochronić!

Wszak to w cieniu waszem — o

drzewa — pierwsze nieudolne stawia-
łam kroki... W skwarne południa pod
cień wasz kryłam zmęczoną głowę...
Na pierwszy pocałunek ustom mym da-
ny wyście patrzywały obojętne niby, a ta-
kie przychyłne

*
Mijały lata — rośliście niewzruszo-
ne, zda się — trwające wiecznie.

* * *

Przyszli obcy i — ścinają drzewa.
Niepomni, że były ochłodą w czasie
skwarów letnich, schronieniem przed
wiosennymi nawałnicami, osłoną od
wiatru zimnego w jesieni... A w zimie
sterczały nagie, bezlistne i groźne, ni-
by na straży z swemi wyciągniętymi
w niebo ramionami.

O, drzewa, wy moje, drzewa!

Rosły bez troski o jutro, spokojne,
bo wierzyły, że im nic złego od ludzi
grozić nie będzie... Tymczasem —

Nic nie zawiniły — jak dawniej ro-
sły cicho, jak dawniej w zachodzącego
słońca kąpały się promieniach i pi-
ły chłodne deszcze, jak dawniej — a je-
dnak na śmierć je skazano!

Drzewa wy biedne!

Za co was skazano, o drzewa? Coś-
cie zawiniły, wy biedne?

Jak ludzie, co nieraz niewinnie
cierpią za grzechy niepopemnione, zbro-
dnie i winy niedokonane... Jak ludzie...

...Brrr... Jaki smutny, pochmurny
zesłała wam, drzewa Natura dzionek!
Chyba z litości nad wami, byście mniej
żałowały wydartego wam życia.. Idą
już! Idą! O drzewa wy moje! Nie obro-
nięcie was, choć drżące ku mnie wycią-
gacie ramiona, nie obronię!

Ukryłam oczy w dłonie, lecz mimo
to widzę, jak pod ciosami traczy pada-
ją jesiony w sile wieku będące, lub
młodziutki, do życia się dopiero rwa-
ce! Słyszę, jak padają, jedno z głuchym
jękiem, inne z westchnieniem — je-
dne z łaskotem — inne spokojnie. Pa-
dają jedne po drugich... Te, które ści-

nają najpierw, najmniej cierpią: nie
patrzą na śmierć towarzyszy. Za to inne,
widząc zbliżający się koniec, poczynają
drżeć żółkłymi z zimna i trwogi list-
kami, dopóki nie padną i one... I tak
padają, padają — zda się, bez końca!

Codziem rozlega się huk siekier,
zagłębiających się w ich młode, jędrne
ciała i zgrzyt piły, podcinającej w nich
życie. Padła więc piękna, wysoka włos-
ka topola, z pnem, przez piorun nad-
szarpanym, jakby skamieniała ze zgro-
zy i obawy przed śmiercią. Padły już
wszystkie — za wyjątkiem jednej wier-
by płaczącej! Wszystkie ona już opła-
kała siostry, wszystkich opłakała bra-
ci — ostatnią ją ścinają... Nie boi się
śnać, bo nie drżą jej wążkie, srebrne
listeczki, gałązki tylko niżej opuściła
i stoi tak spokojna, oczekująca swego
losu — końca swego życia! Aż przy-
szła kolej na nią.

A mnie w tej chwili wstyd oblał
czoło łuną krwawą, że i ja jestem tylko
człowiekiem.

O drzewa wy moje, drzewa biedne!

.

A po latach wielu... wielu... inaczej
patrzą na to moje oczy!

Natura nie jest już dla mnie kocha-
jącą Matką, do której radabym biedz
ze skargą na ludzi o bezlitosnych ser-
cach, bo wiem, że Natura zabija sama
najpiękniejsze swe dzieci. Jest siłą o-
krutną, dającą życie po to chyba jedy-
nie, by móżdż pastwić się nad własny-
mi tworamami... A ludzie, zabijający drze-
wa w mej ongiś Alei byli tylko ślepe-
mi narzędziami jej okrucieństwa.

...— Lub może Natura jest nieu-
błaganą sprawiedliwością, w której cią-
gły odwet — pomsta jest straszną kon-
sekwencją jakiegoś pierwszego mordu,
popelnionego przez jeden z jej tworów
na bracie lub siostrze...

I dlatego zabijają ludzie drzewa...
potem drzewa ludzi...

Stella Olgerd.

Śpij, Haniu!

Utonął w mroku wieczornym
kwitnący, pachnący sad,
do alkierzyka białego
promień księżycy się wkradł.

Przez okno nawpół otwarte
wszedł pocichutku, jak sen,
położył swe srebrne palce
na płowych kędziorów len.

Położył swe srebrne usta
na białej koszulki brzeg
i z haftowanej kołderki
na dywan przy łóżku zbiegł.

A za nim weszły z za okna
zapachy kwitnących bzów
i aniołowie niebiescy,
stróżowie dziecięcych snów.

Śpij, Haniu, słodko, śpij słodko,
niech omijają twój próg

złe smutki lalek stłuczonych,
pajaców bez rąk i nóg!

Noc wonna stoi na straży
u twoich okien i drzwi...
Posnęły kurki czubate
i bociek już dawno śpi.

Posnęły kurki czubate,
kot tylko wyszedł na łów...
Niegzeczny Mruczek się skrada,
a słowik śpiewa wśród bzów.

Ale śpij, Haniu, spokojnie —
twój Mruczek nie straszny wróg —
nad śpiewającym słowikiem
czuwa noc wonna i Bóg.

Śpij, Haniu, śpij! — i nad nami
dziś kiedy zdeptał nas wróg,
tak samo, jak nad słowikiem,
w błękitach gdzieś czuwa Bóg.

Edward Słoński.

INSPEKTOR.

(Bajka).

Wieprzek ponury, nakrapiany czarno,
Mykając trzęsnym truchtem, gwoli dróg inspekcyi,
Pstrocinę ujrzał niekarną
Klombów rezydencyi pańskiej.

Rozsiadły się kępami, bez żadnej subiekcyi,
Krzaki róż zapłonionych, fuksyi huf ulański,
Bładolice narcyzy i złote nasturcyce...

— Orgia! — podumał, stając w uchylonej furcie. —
Toć — to wszystko pozór marny.

Snać niema tu nikogo, coby sięgał głębiej,
Gdzie się bytu korzeń kłębi:

Do ziemnej prawdy, do czarnej.

Zatem, czasu nie tracąc, stanął pośród grządek,

A sięgając ryjem wgląd,

Skopał klomb

I na odchodnem rzekł krótko: — Porządek.

Benedykt Hertz.

JAWNOGRZESZNIK.

Jaką czią i miłością powinnaś, kochana młodzi, otaczać odzyskaną szkołę polską, niechaj ci będzie wskazówką i podniętą parę dokumentów z mojej teki, malujących ciernistą drogę, po której ta upragniona wydzieriała się do ciębie. Walka tu toczyła się o prawość, religię i narodowość.

W rządach państwowych przywykliśmy widzieć władzę „od Boga pochodzącą” i czuwającą nad dobrem społecznem pod każdym względem. Zgodnie z tem, posłannictwo rządu uogólniamy sobie w pojęcie moralności: rząd ma być przybytkiem, pielęgnującym ideał prawości, zwierciadłem, do którego przyprowadzeni przestępcy powinni się zawstydzić swojej szkarady. U nas zwierciadło to do ostatnich chwil było zamglone i dlatego najczęściej nie mogło spełniać takiego zadania, ku ucieście licznych ciemnych postaci, którym się w podobnych warunkach dobrze działało w myśl przysłowia: „Myszy tańczują, kiedy kota nie czują”.

Przed sąd tedy naszego ogółu przyprowadzam tu jednego z takich anarchistów, którzy narówni z bandytami terroryzowali nasze społeczeństwo: chcę tu mówić o Apuchtynie. Oto parę z jego czynów. W numerze 5-ym Cyrkularza warszawskiego okręgu naukowego z r. 1892 czytamy wyciąg z dziennika Komitetu ministrów za № 687, zawierający zatwierdzone przez cesarza Aleksandra III-go w dniu 10 marca r.1892 orzeczenie Komitetu, że duchowieństwu rzymskokatolickiemu pozwala się uczyć religii w szkołkach gminnych i wiejskich. Już jednak w № 9 tegoż Cyrkularza uderza nas oświadczenie Apuchtina: „Warszaws!i jenerał-gubernator wskutek domagania się mego zawiadomił duchowieństwo dyecezyi

Kujawsko-Kaliskiej, że nie powinno się ono zajmować uczeniem katechizmu dzieci uczęszczających do szkół początkowych”. Ten zakaz pełnienia woli cesarskiej był następnie stosowany we wszystkich szkołkach Królestwa Polskiego.

Cesarz Aleksander III, wprowadzając w czyn zamiar swojego ojca, Aleksandra II-go, wyznacza fundusz na „wzmocnienie wykładów polszczyzny” w gimnazyach i szkołach realnych Królestwa (Goniec urzędowy z d. 24 marca (5 kwietnia) r. 1882, № 64) oraz na utrzymanie profesora literatury lub języka polskiego w uniwersytecie warszawskim, licząc od 1 stycznia r. 1882 (Goniec urzędowy z d. 20 lutego (4 marca) r. 1882, № 39). Sprawa wprowadzenia polszczyzny w mury uniwersytetu wydała się Apuchtynowi zbezczeszczeniem tego przybytku. To też polecił on dziekanowi wydziału filologicznego, Mierzyńskiemu, aby w swoim prywatnem mieszkaniu dokonał wyborów kandydata na nową katedrę z pomiędzy uczonych i literatów polskich, nie zastrzegając bynajmniej, aby wybraniec znał język rosyjski. Nie chciał on w ten sposób dopuścić do tego nawet, aby w murach podległej mu uczelni rozprawiano o sprawach polszczyzny, powziąwszy jednocześnie postanowienie zwicnięcia całej sprawy, choćby wbrew woli swojego monarchy. Wybrano tedy Piotra Chmielowskiego, nie władającego językiem rosyjskim, a cesarz zatwierdził go na tem stanowisku d. 29 stycznia r. 1882. Nowego profesora nie zawiadamiano jakiś czas o możności rozpoczęcia wykładów. Nareszcie w kilka miesięcy po zatwierdzeniu Chmielowskiego, wraca z Petersburga Apuchtin i żąda od niego podpisania deklaracji, że będzie prowadził

wykłady po rosyjsku Chmielowski, nie mogąc i nie życząc sobie zadosyć uczynić temu żądaniu, podał się do dymisji. Gdyby Apuchtin miał możliwość oprzeć swoje żądanie na prawie, nie żądałby deklaracji, tak jak nie żądał jej od innych profesorów, którzy przecież nie na mocy złożonej deklaracji wykładali po rosyjsku. Wprowadzenie więc rosyjskiego wykładu polszczyzny w uniwersytecie warszawskim jest zasługą Apuchtina, działającego na swoją rękę celem uspokojenia swego prywatnego sumienia.

W całej zresztą działalności swojej miał on na celu własną politykę i ułatwiał nawet swoje osobiste porachunki na koszt rządu. Tak np., kiedy d. 3 (15) kwietnia r. 1883 w uznaniu jego „zasług” wymierzono mu policzek, i kiedy warszawskie gimnazjum V, w którym niżej podpisany był wówczas nauczycielem, złożyło mu z tego powodu ustną i piśmienną kondolencję, Apuchtin wezwał mię za pośrednictwem dyrektora gimnazjalnego (d. 12 lipca r. 1883, za № 622), ażebym się podał do dymisji dlatego, jak powiedziano w odezwie, że „na kondolencji personelu gimnazjalnego nie było mego podpisu”.

Apuchtin nie tylko nie taił się ze swemi sprawkami, ale owszem, przechwalał się niemi publicznie, dufając w to, że rząd patrzy i, jak się spodziewał, patrzeć będzie przez palce na jego działalność, oddając się na-

wet wobec niej wszystkim „grzechom cudzym”. To też w broszurce, wydanej w Moskwie p. t. „Na dzień jubileuszu A. L. Apuchtina”, powiedziano z całą bezczelną otwartością: „Zło(!), któreby mogło wyniknąć z powiększenia liczby lekcji języka polskiego, zostało w części sparaliżowane przez A. L. Apuchtina przy pomocy różnych środków administracyjnych”.

Analfabetyzm i ciemnota, tak gorliwie w Rosyi popierane, dotkliwie się zemściły: gdyby tam umiano czytać, przeczytanoby sobie § 65 Zbioru praw zasadniczych cesarstwa rosyjskiego, który opiewa: Prawa powinny być wykonywane zgodnie z ich ścisłym i literalnym znaczeniem, bez żadnej zmiany albo rozszerzenia. Wszystkie bez wyjątku władze, nie wyłączając najwyższych magistratur, powinny w każdym wypadku zatwierdzać swoje orzeczenia, ściśle według słów prawa, nie zmieniając w nich bez wiedzy jego cesarskiej mości ani jednej litery i nie dopuszczając się obłudnej chwiejności i samowolnej interpretacji”. Tak głosi zasadnicze prawo państwa, czyli, taką jest jedna z jego podwalin. Ale ludzie, wyzuci z czci i miłości ojczyzny, nie wahają się wstrząsnąć swoją ojczyznę w jej posadach, byleby dogodzić swym zwierzęcym instynktom, które i ministrów sadzają na ławie sądzonych złoczyńców.

Władysław Niedźwiedzki.

~~~~~

Wspomnienia z pobytu w szkole dla naszych dzieci będą prawdopodobnie pełne uroku.

Dla nas, którzyśmy się nie kształcili, lecz raczej wykoszlawiali w szkole urzędowej za czasów Apuchtina, wspomnienia te są tego rodzaju, że jednym z najcięższych, wywołującym zimne poty, koszmarów nocy jest sen, żeśmy się dostali z powrotem do tej katowni ducha. W ówczesnej szkole tak zwane ciało pedagogiczne i uczniowie stanowili dwa wrogie obozy, toczące z sobą ustawiczną podjazdową walkę.

W szkole tej, mówiąc słowami Mickiewicza, dzieci uczyły się „pod ziemię kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedościgłej, postać mieć obronną jako znicz wystygły.”

Podejść, oszukać, wyprowadzić w pole nienawistnego prześladowcę, stawało się powodem radości, tej szczególnej satysfakcji, jaką daje nam uczucie zemsty. Jeżeli w takiej atmosferze zatrutej nie znikczemniały charaktery, to głównie dzięki innej konspiracyjnej szkole, którą były tak zwane „kółka samokształcenia”, związki uczniowskie, ogarniające cały kraj i znajdujące się w ustawicznym wzajemnym kontakcie. One to stanowiły potężną przeciwwagę destrukcyjnemu wpływowi szkoły rosyjskiej. W nich hartowały się dusze, rozległo się zakazane słowo „ojczyzna”, rodziły się marzenia o przebudowie na lepszą modłę całego świata, marzenia często-króć naiwne, ale zawsze podniosłe i szlachetne.

W tych, gorącym szeptem młodzieńczych ust toczonych umiejętnie, rozprawach zapalało się niejedno serce płomieniem wiernym, którego nie były zdolne potem ugasić ani troski życia, ani pokusy dobrobytu, karyery, ani tułaczka więzienna, ani pobłażliwe miano „szlachetnych szaleńców”.

Ci szaleńcy stanowili szczupły legion zbuntowanych duchów, czyniących ustawiczny niepokój, by nie pozwolić rozsądnym zasnąć i zgnuśnić w niewoli.

Dziś szczęśliwsi z tego legionu doczekali się chwili otwartej walki z tym samym wrogiem, z którym w dzieciństwie prowadzili ukryty bój z za-  
szańca szkolnego pulpitu.

Gustaw Daniłowski.

## *Aforyzmy o sztuce pisarskiej.*

Gdy czujesz „wewnętrzną potrzebę” napisania stu wierszy — napisz...  
dziesięć.

~~~~~

Nie wyobrażaj sobie, żeby popęd do „wypowiadania się” mógł zastąpić talent pisarski: przecież nie wyobrażasz sobie, że wystarczy chęć wypowiedzenia się w muzyce, by skomponować utwór muzyczny.

~~~~~

Nie używaj słów: *Bóg, Ojczyzna, Miłość, Piękno, Prawda i Dobro* częściej, jak raz na stronicy (dużego formatu). Jeśli możesz — rzadziej.

~~~~~

Nie używaj nigdy do pisania ani... gęsiego pióra, ani pióra... z pa-wie-go ogona.

~~~~~

Uwierz Buffon'owi, że „dobrze pisać to znaczy wraz: dobrze czuć, do-brze myśleć i dobrze wystawiać się”.

~~~~~

Gdy pilno ci ukazać swe dzieło światu, pomyśl chwilę nad tem, co po-wiedziało o wartości książek Wilde: „Jeśli jakiej książki nie warto przeczytać powtórnie — to dowód, że nie było warto czytać jej po raz pierwszy.”

Wacław Rogowicz.

Wspomnienie.

Mundur na wszystkie guziki zapięty,
Jak u rekruta ostrzyżona głowa,
Na szyi halstuch... W ustach obca
[mowa —
I tylko w piersi ogień buntu święty...

Na dworze wiosna radością wybucha,
A w koszarowej brudnej szkolnej sali
W trzydziestu sercach nienawiść się
[pali,
Trucizną swoją zapładniając ducha...

Jak osy brzęczą, nieprzyjazne słowa,
Swiszczą w powietrzu, jak bicz upo-
[korzeń,
Jak czerwie pełzną gryzące pod ko-
[rzeń,
Aby winorośl wyrosła niezdrowa...

A każdy wyraz jest, jak sina pęga,
Wyskakująca wśród niemej katuszy
Na nieobronnej młodej dziecka duszy,
Która swą pomstę ciemiezcom przy-
[sięga...

Czy pamiętacie? My, nieletni jeszcze,
Z brózdami smutków przedwczesnych
[na czole
Przeciw tej strasznej spiskującej szkole,
Która nas brała, jak kat, w swoje
[kleszcze...

My, wychowani w jadach i truciznie,
A przecież—praco ty Syzyfa darma!—
Wolni pomimo tej **Szkoły** — **Żan-**
[darma
I duchem w służbę oddani ojczyźnie...

Zdzisław Dębicki.

Życie w Ojczyźnie.

Piękne jest życie! Bogactwem niepojętem skarbów swoich szcudre,
dnia każdego, chwili każdej czarem ponętne. Czy, kiedy słońce o poranku
różowi błądź nieba nad rozłogami kolorowych pól, nad kędzierzawą gę-
stwą lasów, na krzyżach kościołów iskrami połyska, ptaszęcym szczebiotem
się weseli, a młodzieńcze piersi tchną ogniem zapałów i ręce wyciągają się
do pracy, mocne i zdobywcze.

Czy w skwarne letnie południe rozkwitu, kiedy się najpiękniejszy
kwiat każdy miłośnie otwiera słońcu, przemijającą jedyną chwilą dosytu
upaja się człowiek.

Czy o zachodzie, w zórz purpurowej głębi, kiedy oczy biegną za
słońcem w otwarte na chwilę podwoje zaświata, po pracach dnia nadchodzi
czas wypoczynku i marzeń...

W pachnącej wiośnie, czy wśród srebrnej zimy, pomiędzy cichym
szelcsttem dojrzewających zbóż, czy w gwarnym zamięcie miasta, na jedno-
stajnych obszarach płaskich dolin, czy na zboczach stromych postrzępio-
nych gór, — zarówno piękne jest życie..

Piękna jest Ojczyzna! Nieśmiertelna, jak świat, z zamierzchłych wie-
ków sławą wystrzelająca, niby śpiżowy posąg bóstwa. Dostojna, czynami
i miłością synów stworzona i umocniona, ozdobna i znakomita, w sławę
nową rosnąca.

Wielki kościół, nieśmiertelne obcowanie duchów, narodową jednościąłączonych, ponad przemijającym wieków i losów przepływem. Tworzytelka duszy człowieczej, cudna siewczyni wzniosłych pragnień i czynów, nawzajem przez wielkość ducha i czyny ludzkie tworzona.

Wszystko, cokolwiek zdziałali przodkowie nasi, cokolwiek zdziałamy my, przechowująca dla pokoleń przyszłych z nakazem nowego tworzenia i zaszczytem odziedziczonej sławy.

Piękne jest życie w Ojczyźnie! Wśród wolnej świadomej siebie braci narodu. Pod skrzydłami własnych orłów i barwną pieśnią własnych sztandarów, tych samych, które powiewały nad głowami w sławę idących dziadów i wnukom w sławę idącym przodować będą.

Pieńś oddycha swobodnie, cieszy się wonią balsamiczną jedyne go najczystsze go powietrza ojczyzny, oczy śmieją się do tych kwiatów z rodzimych pól i do tych tworów wiekowej pracy narodu, chat wsiowych, pałaców miejskich, kościołów bożych, pomników ludzkich, które pełne są narodowej twórczości i skarbów ducha narodowego niewyczerpane skrzynie otwierają pokoleniom idącym.

To wszystko moje. Dla mnie pracowały i myślały zastępy bliskich mi duchem przodków, miłością wybiegały ku mnie. Zrywa się cała siła moja do pracy, do pomnożenia tych bogactw i wielkości, do tych dalekich pokoleń idących, które znów będą w nieśmiertelność imię narodu, imię ojczyzny mojej wślawiały. Kocham je. Jesteśmy jedno: Ci z przed wieków i ci po wiekach w jednym nadludzkiem cudzie ojczyzny łączeni.

Nad wszystko szczęście i piękność ziemi, piękniejsze jest życie w Ojczyźnie!

Ale czasami los człowiekowi nieodmienne rzuca wezwanie do gry.
Wybierajcie!

Albo życie, albo ojczyznę stawić musicie na kartę. Albo życie za ojczyznę oddać, albo ojczyznę sprzedać za życie.

Ojczyzna bez życia — to pamięć święta idących pokoleń, to nieśmiertelne obcowanie duchów w jedności narodowej ponad wiekami, to tajemniczy cud dla was i szczęście dla synów i wnuków waszych.

Życie bez ojczyzny — to szarość nieskończonych dni u taczki więziennej, to bezdomne żebracze tułactwo, wywołaństwo wieczne, ahaswerowa męka dla was, i synów, i wnuków waszych.

Jakże szczęśliwi są ci, którzy mogą stawać do zapasów.

Jakże pożałowania godni są ci, których los do gry nie zaprasza — czy że życie ich zbyt mało warte, czy że ojczyzny dla nich zabrakło...

Wacław Makowski.

Powitanie burzy.

Pierwszy wiosenny grzmot
Opony rozdarł chmur...
O Burzo, witaj nam!
Twój groźny pozdrawiam pęd!
Niech runie zimny spleśniały mur, —
Niech zginą podłość i kłam!

W odblaskach błyskawic twych
Niech spadną z Ojczyzny mej
Powrozy przegniętych pęt!
Niech z dusz opadnie ten szych,
Kryjący pustkę wewnętrzną,
Kryjący nicłość istnienia...

Powiem potężnym wiej,
Do głębi porusz sumienia,
Zamarła w zbyt długim śnie!
Przed sobą drogę masz wdzieczną,
Przed sobą pracę olbrzymią,
Przed sobą Tytanów czyn!
Więc, Burzo, ziemi tej syn —
Trzykrotnie pozdrawiam cię!

.....
Na ojców moich ziemi,
Którą spustoszył wróg,
Wciąż jeszcze zgłiszczą cię dymią,
Mogiły rosną wśród dróg...
I płaczą polskie dziedziny,
I płaczą łzami krwawemi,
Patrząc na zgłiszczą, ruiny,
Zburzone grody i sioła,
Na nędzę, rozpacz dokoła,
Na ucisk i ciał i dusz!
I znowu krwi bratniej kurz

Do niebios o pomstę woła,
O Boga uderza tron,
Jak groźny alarmu dzwon!

O Burzo, bądź nam zwiastunką
Wiosennych dni zmartwychwstania!
O Burzo, bądź w nas piastunką
Potężnych uczuć i myśli!
Niech grom twój ukoł łkania,
Niech grom twój w duszach zakreśli
Do słońca, do słońca lot!
Niech grom twój miazdzy, jak młot,
Wszystko, co nędzne i małe,
Wszystko, co dusi i pelza,
Wszystko, co jadem zatrucha,
Wszystko, co zimne, ospałe,
Wszystko, co dyszy niewolą,
Wszystko, co z rodu jest zmij!

Tylko niech w duszach nie kielza
Potężnych wzlotów do słońca,
Do bóstwa, co wiecznie czuwa,
Potężnych Wolności drgnień!..

Niech błysnie, niech błysnie dzień!

O grzmij, grzmij, gromie bez końca,
Na całą Polskę grzmij,
Zadane rany mniej bołą,
Gdy słyszę potężny twój huk.
On mówi, że ponad światem,
Gdzie dzisiaj walczy brat z bratem,
Jest Sędzia wielki—jest Bóg!

Władysław Bukowiński.

W przeżywanych przez nas ciężkich chwilach dziejowych społeczeństwo polskie wykazało wielką energię i sprawność organizacyjną w konsekwentnym wprowadzaniu w czyn zagadnień oświatowych. Rezultaty tej pracy kulturalnej, jeśli zważyć trudne warunki poczynają, są już pomyślne.

To też z otuchą możemy patrzeć w przyszłość i wierzyć w sanację szerokich warstw z różnych niedomagań, których źródło tkwiło w deprawujących wpływach narzuconej nam przez losy dziejowe obcej i wrogiej państwowości, tamującej stale rozwój oświaty w nieszczęsnym kraju.

Między innymi objawami chorób społecznych dane statystyczne wykazują poważną ilość przestępstw wśród nieletnich. Usunięcie więc dzieci od szkodliwych wpływów w zwyrodnia-

łych gniazdach rodzinnych, roztoczenie gorliwej nad nimi opieki na modłę krajów o wielkiej kulturze—winno być ustawiczną troską naszych zrzeszeń oświatowych i ludzi dobrej woli.

Organizowanie domów wychowawczych dla dziatwy małej w rodzaju znanych „case dei bambini” w Rzymie, zwiększanie ilości sal zajęć i szkół zawodowych pod umiejętnym kierownictwem obywaterek i obywateli — wreszcie tworzenie specjalnych sądów dla nieuświadomionych małych przestępców i od owiednich domów poprawy zamiast więzień—będzie najlepszym środkiem zwalczania przestępczości wśród zaniedbanych moralnie ofiar ciemnoty i nałogów, — a przysparzania kadrów dzielnych pracowników dla odrodzonej Ojczyzny.

Leon Papieski.

Ale nas zbaw odezłego.

*Spojrzyj z nieba,
a obacz, Panie, z mieszkania Twego świętego,
boś Ty Ojciec nasz, Zbawiciel nasz, nawróć się do sług Twoich.*

Oto dom chwały naszej dziejowej, gdzie Cię chwalili Ojcowie nasi, stał się pogorzeliem ognia i wszystkie kochania nasze obróciły się w rozwaliny.

I pytali się Ojcowie nasi: dokąd pójdziemy?

*To mówi Pan: Którzy na śmierć—na śmierć,
a którzy pod miecz — pod miecz,
a którzy na głód — na głód,
a którzy w niewolę — w niewolę.*

I wdarła się śmierć okny naszymi, weszła do domów naszych, aby wytraciła dzieci z ulicy, a młodzieńce z rynków.

I struchlało każde serce i osłabły wszelkie ręce i omdlał każdy duch.

Nieuleczona zaprawdę jest boleść moja od dzieciństwa mego, rosto we mnie uzalenie i z żywota matki mojej przyszło ze mną.

*Bośmy zapomnieli Boga, który nas chował, i zasmucaliśmy Ojczyznę,
Macierz naszą umiłowaną.*

Widziała gniew od Boga przychodzący na nas i mówiła:

MACIERZ.

Boleść moja nad boleść, we mnie serce żałosne.

Słuchajcie pograniczni moi:

dał Pan kielich w ręce moje, a kielich, który pije, głęboki i szeroki.

Lwowi narodów przyrównany był lud mój,

a oto w pośrodku pobitych postawili łoża jego, a podle łoża wykopali grób jego.

Przywiódł Bóg na mnie naród, naród zblizka, naród twardej twarzy i nieukróconego serca i innego języka.

Którzy mówili duszy mojej: Nachyl się, że przejdziem—i położyłam ciało moje, jako ziemię, jako drogę przechodzącym.

I mówili:

co umiera, niech umiera; a co wysieczone, niech będzie wysieczone.

Żelazo przeszło duszę moją, popsowali mię zewsząd i ginę, a jako wyrwanemu drzewu odjęli mi nadzieję moją.

Synowie bowiem moi i córki moje dane innemu narodowi, na co patrzą oczy moje i ustają, patrząc na nie przez cały dzień.

Opuścili mię blizcy moi, którzy mię znali, zapomnieli o mnie, a kogo najbardziej umiłowała, brzydził się mną.

Niech się nikt nie raduje nademną wdową i opuszczoną, bociem ja sama została.

Zdjęłam z siebie szaty pokoju, a oblokłam się w wór modlitwy i będę wolać do Najwyższego za dni moich.

ANIOŁ STRÓŻ POLSKI.

Dobrze jest czekać z milczeniem zbawienia Bożego.

W milczeniu i w nadziei będzie moc wasza.

W cierpliwości waszej posiadziecie dusze wasze.

MACIERZ.

Zażem nie milczała? zażem nie była spokojna? a przyszło na mnie zagniżowanie.

Milczałam zawždy — umilkłam, byłam cierpliwa, na popiołową śmierć zdana jestem.

ANIOŁ STRÓŻ.

Pan Sędzia wasz, Pan Król wasz, On was zbawi.

Rzeczcie bojaźliwym: Zmocnijcie się, a nie bójcie się.

Ten, który na was złe przywiódł, On wam znowu przywiedzie wesele ze zbawieniem.

Bóg wasz sprowadzi pomstę odplacenia:

i będzie: jakoście byli przekleństwem między narody, tak będziecie błogosławieństwem.

Zapomnicie nędzy waszej, — jako na wody, które upłynęły, wspominać będziecie.

MACIERZ.

Bądźcie lepszej myśli, synowie moi, wołajcie do Pana, bom ja nadzieję miała w Wiecznym o zbawieniu waszem, bom was wypuściła z żalością i płaczem,

ale mi was Pan znowu przywróci z weselem i z radością.

ANIOŁ STRÓŻ.

Użalił się ciebie Pan żalem wielkim i zagniewaniem wielkim rozgniewał się na narody bogate.

Wierz Bogu i nie osłabiaj w wierze, a poczytano ci będzie ku sprawiedliwości, iżeś przeciw nadziei w nadzieję uwierzyła.

MACIERZ.

Panie Boży, Królu Wszzechmogący, przeciw nadziei w nadzieję uwierzyłam,

albowiem w mocy Twojej wszystko jest położone

i nie masz, toby się mógł woli Twojej sprzeciwić, jeśli będziesz chciał zachować lud Twój.

ANIOŁ STRÓŻ.

Bądź dobrej myśli, o Polsko, a zwlecz się z szaty żaloby i utrapienia.

Powstań, a stań na miejscu wysokim, obejrzyj się, a obacz wesele, które ci przychodzi od Pana.

Bo oto synowie twoi idą, których wypuściłaś rozproszonych, idą zebrani od wschodu aż do zachodu na słowo Świętych Patronów twoich, weseląc się ku chwale Bożej.

I będę mieszkać na ziemi, w której mieszkali ojcowie wasi,

i będę na niej mieszkać sami,

i będę mieszkać oni i synowie ich i synowie synów ich na wieki.

I uczynię z nimi przymierze pokoju,

i dam prawdę i sprawiedliwość w pośrodku ich na wieki, a będę im Bogiem, a oni będą Mi ludem, mówi Pan.

MACIERZ.

Pan Wspomożyciel mój, Pan Wybawca mój,

Pan tarcz moja, Pan siła moja, Pan ucieczka moja.

Warszawa, roku 1913.

Ks. Antoni Szlagowski.

Nietoperz stróżem światłości.

(Bajka z niedawnej przeszłości).

*W rozległym państwie Ciemnoty
Nietoperzznaczony był stróżem światłości:
miał bardzo dużo roboty.*

*Jak westalki ongi w Rzymie
strzegły święconego znicza,
tak on pilnował latarni.
L e t u c z a - M y s z miał na imię.*

*Do tej latarni tłumnie ćmy nadlatywały:
sfinksy, miernikowce, sówki,
prządki (zwłaszcza niedźwiedziówki)
etcetera, etcetera
i inne heterocera...*

*Gdy owad światła spragniony
podfrunął do ognia blisko,
naówczas Nietoperzysko
ćwirkalo i skwirczało w urzędowej mowie:
„Cwir-cwir, cwir-cwir, jakżeż zdrowie?
Jak twoja f a m i l j a, powiedz?
Trupia Główka, Ligustrowiec?
A może ty Pawajowiec!?!...”*

„Ja... Ja... jestem malutka ciemka, Piórolotka...”

*„No wsio taki inorodka!
Do światła lecisz! Co to za zuchwalstwo!
Ty bezpokoisz naczalstwo!...”*

*I pożerał z apetytem
wyśmienitym
nigdy przytem
nie był sytym.*

*A jak się chełpi! „Władza moja, mawiał, nie przeminie,
dopókd Prywislinjem będzie Prywislinje”.*

*Cywilizacyi obrońca
nie przewidział... wschodu słońca.*

*A skoro świt ozłocił Ciemnoty krainę
ewakuował się w mroczną szczelinę,
gdzie Pedagog r a r a a v i s
t b e m nadół zawist.*

Juljan Ejsmond.

Lekcje historii polskiej.

Dwudziesto-kilkoletni Przedgórski dokładnie zapamiętał drogę, którą mu wskazano w celu rozpoczęcia lekcji na pensyi żeńskiej siedmioklasowej pani W. Z podwórza na prawo, schodami kuchennymi, na trzecie piętro, drzwi № 25.

O godzinie ósmej rano znalazł się w klatce schodowej. Na niższych piętrach natknął się na służące z naczyniami gospodarskimi, garderobą i trzepaczkami. Zewsząd rozchodziły się zapachy kuchenne. Przed drzwiami № 25, na których przybita była karta z napisem: „Filomena Przybłędowska, szwaczka”, czekała na Przedgórskiego znajoma nauczycielka.

Przez wąski korytarzyk, zapełniony koszami, walizami i różnymi rupieciami, wprowadzono go do pokoju z oknami na podwórze. Rolety opuszczono. Przy paru zestawionych z sobą stolikach siedzieli w półmroku kilkanaście panienek w mundurkach granatowych. Przed każdą leżały kawałki płótna, włóczki, nici, naparstki, szydelka i igły. Były podniecone niezwykłością sytuacji. Nieznajomy nauczyciel rozpoczął lekcje historii polskiej, przedmiotu zakazanego, w niedostępnym dla policji szkolnej ukryciu.

Przedgórski z widocznym wzruszeniem zagaił lekcję przedstawieniem warunków, w jakich prowadzoną być musi nauka historii ojczyzny. „Podejmujemy,— mówił,— pracę katakumbową. Dla niej nie dośpimy godziny czasu, nie dopijemy śniadania, narażamy pensję, rodziców i siebie samych. Czynimy to z poczucia obowiązku poznania i ukończenia zadań narodowych, dla których ojcowie poświęcali mienie i życie. Musimy zespolić się z wielką przeszłością narodu, przygotować się do odporności i walki z najazdem, usiłującym zabić w nas duszę polską”.

Słuchały z wypiekami na twarzach, z oczami pełnemi łez.

Zapukano lekko do drzwi. Znak, że lekcja skończona. Wyprzedziła Przedgórskiego nauczycielka w celu zbadania, czy może wyjść niepostrzeżony. Na podwórzu stała druga. Trzecia czatowała w bramie domu. Żegnał je spojrzzeniami, bez ukłonu.

Powtarzało się to dwa razy na tydzień, tylko, że z biegiem czasu trzeba było ostrożność zdwoić. Przedgórski chodził ulicami dalszemi, wymijając drogę najkrótszą. W razie dostrzeżenia osobistości podejrzanej zbaczał od domu, w którym mieściła się pensja pani W., i wracał, gdy niebezpieczeństwo minęło. Niekiedy wypadło mu cofnąć się z podwórza, nawet ze schodów. Znaki ostrzegawcze dawały dyżurujące nauczycielki. Miały też swoją wymowę podniesione w skrytce wykładowej rolety, uchylone okna lub otwarte lufki.

Na pensyi pani R. odbywały się lekcje w sypialni. U pani M. w bawialni. Gdzieindziej w salach jadalnych. Ubranie zwierzchnie Przedgórskiego z kapeluszem i parasolem zawieszano w szafie zamykanej. Wszędzie uczenice zaopatrzone były w robótki. Czujne straże dyżurowały na korytarzach, schodach i w bramach. Dzwonki elektryczne ostrzegały o niebezpieczeństwie. Na alarm ukrywano Przedgórskiego w łazience lub szpiarni, sala zaś wykładowa zamieniała się w szwalnię.

Lekcje historii polskiej przyprawiwały wszystkich o niepokój. Nauczyciel rozdawał się na wykład i na bacność. Tym samym uczuciom podlegały słuchaczki. Lękali się wszyscy złapania na gorącym uczynku. Spokojniej

uderzały serca po skończonej lekcji i wyprawieniu Przedgórskiego na schody. Na ulicy czuł się on bezpieczniejszym od uczennic. Grzeczni panowie zaczęli je podczas powrotu z pensyi do domów i wypytywali o lekcye historii polskiej.

Przedgórski czynny był również w kółkach, organizowanych w mieszkaniach prywatnych, i w tak zwanym uniwersytecie latającym. Pierwsze formowały się dla całokształtu nauki średniej lub dla przedmiotów, niewykładanych w szkole publicznej. W uniwersytecie, nawiedzanym przez młodzież i starszych, uprawiano głównie nauki przyrodnicze i humanistyczne. Wystawiony był na większe niebezpieczeństwo, niż pensye i kółka. Funkcjonował pod kapryśnemi skrzydłami policyi, zjednywanej przez organizatorów pieniędzmi.

Pionierzy pracy oświatowej tajemnej, nauczający i słuchacze nigdy nie byli pewni swych osób. Żandarmerya, tropiąca związki polityczne, zabierała podczas rewizyi, dokonywanych u młodzieży, książki i notaty, dostarczające wskazówek, kompromitujących organizację oświatową. To też za rządów Hurki ogarniała wszystkich panika, jak podczas choroby epidemicznej. Każde szarpnięcie dzwonka u drzwi mieszkania w godzinach nocnych budziło obawę wizyty żandarmskiej.

W takich warunkach Przedgórski uczył historii przez lat czterdzieści. Córki dawnych uczennic spotykały się z nim, jak z dobrym znajomym. Uświadomione przez matki, katakumbowość warunków nauczania historii znosiły z większym od nich spokojem i z dojrzałą sprawnością konspiracyjną. W Przedgórskim rozdwojenie na wykład i baczność stało się nałogiem. Śród zmienionych warunków nie przestał obserwować na ulicy osobistości podejrzanych. Wciąż dopatruje się straży, dyżurujących w bramach, na podwórzach i schodach. Dla palta i kapelusza szuka miejsca w szafie zamykanej. Jest w ciągłym pogotowiu na alarm dzwonekóelektrycznych.

Męczarnie czterdziestoletnie nabawiły go pewnego rodzaju kalectwa.

Wi. Smoleński.

Bohaterowie szkoły polskiej.

W chwilach największych cierpień i zawodów człowiek czy naród krzepi się nadzieją lepszej przyszłości; świadom, że przyszłość tę zdobyć potrzeba przez trud i mękę, ku niej się zbliża, o nią walczy, dla niej pracuje, żyje, cierpi i umiera, przekazując następcom osiągnięte już zdobycze i wytkniętą drogę dla dalszych. Wraz z całym narodem idziemy w przyszłość i my także, my pedagodzy, nauczyciele i wychowawcy, złączeni w tłum różnolity, w którym podążają obok siebie i uczeni, głoszący wiedzę na wszechnicach, i myśliciele, piszący dzieła o wychowaniu, i całe rzesze nauczycieli i nauczycielek, pracujących po róż-

nych szkołach kraju, a obok profesorów ci skromni nauczyciele wiejscy i miejscy, dający pierwsze podstawy wiedzy, a obok uczonych ochroniarki, freblanki, ojcowie, matki, ogarniające swą pieczę pierwsze kroki dzieci, tłum różnolity, a przecież jedno ma hasło tylko, a to hasło brzmi: szkoła polska

Szkoła polska — to światło dla wszystkich, to uczynienie ze wszystkich dzieci ziemi polskiej rozumnych, świadomych obywateli kraju. Szkoła polska — to głowy otwarte, serce milujące, charaktery dzielne dla przyszłej chwały i szczęścia narodu. Szkoła polska — to wychowanie, zgodne z

duchem narodu i charakterem dzieci polskich, to wykształcenie, oparte na znajomości ziemi, języka, dziejów i całej kultury polskiej i do dalszej nad nią pracy sposobiące.

Szkoła polska — to szkoła, stojąca na poziomie postępu nauki i pedagogiki, szkoła, której nie powstydzimy się wobec świata, a jednocześnie szkoła nasza, własna, pełna myśli polskiej i polskiej twórczości pedagogicznej. Do tego dążymy, tego pragniemy wszyscy bez różnicy przekonań i stanowiska społecznego.

Takiej szkoły niema dotąd, lecz stworzyć ją musimy i stworzymy niezawodnie, gdy w sercach naszych zapanuje duch naszych poprzedników, bohaterów szkoły polskiej, który przed nami żył, walczył, cierpieli i — nie doczekali urzeczywistnienia swych pragnień.

A ileż takich mamy bohaterów! Wszak całe dzieje pedagogiki polskiej od utraty niepodległości to jeden ciąg walk ciężkich, trudów olbrzymich, nikomu nieznanych, nieocenionych, a przecież owocnych, bo im tylko zawdzięczamy, że żyjemy, działamy i dalej dla tej samej idei pracujemy. Już nie mówmy o świetnym rozwoju pedagogicznej myśli polskiej w czasach Komisji Edukacyjnej i jej odbłasku późniejszym za Księstwa Warszawskiego w usiłowaniach Izby Edukacyjnej, bo tu jeszcze mogliśmy o swych szkołach stanowić sami. Ale wspomnijmy tych, którzy w latach niewoli pracowali dla sprawy wolności — kogóż tam zobaczymy? Naród traci niepodległość, znaczna część Polski idzie pod panowanie rosyjskie, czyż jednak daje się zrusyfikować? Nie; bo pełen poświęcenia i ofiarności Tadeusz Czacki zakłada placówkę oświaty polskiej w Krzemieńcu; nie! bo uczony Jan Śniadecki podnosi uniwersytet wileński, nie! bo brat jego, Jędrzej, już w r. 1806 głosi zasady wychowania fizycznego, rzucając pierwsze hasło dla na-

szych dzisiejszych lekarzy higienistów. Nie sąż to nasi bohaterowie, których ze czcią wspominać nam wypada! Ale niestety! owoce ich pracy niszczą groźne powiewy ducha ciemnoty i ucisku, ducha Nowosilcowa i Mikołaja I-go, a po roku 1831 wszechnice polskie pozamykane, szkoły średnie i niższe skrępowane obcą przemocą — czy przeto zamilkła polska myśl pedagogiczna, polska praca wychowawcza? Nie; tylko inaczej się odzywa. Oto myśliciel, filozof, za młodu nauczyciel, później żołnierz z 1831 roku, emigrant, skazany na życie i pracę zdalą od kraju, Bronisław Trentowski, pisze obszerne dzieło o wychowaniu i swą Chowanę poświęca ukochanej ojczyźnie.

Oto w Warszawie, przy największym prześladowaniu tego, co polskie, godny następcą Klementyny Hofmanowej, Stanisław Jachowicz, skromny autor bajeczek dla dzieci i nauczyciel języka polskiego po pensjach żeńskich, daje dwa dzieła wiekopomne: ochronę, która, przygarniając najuboższą działość polską, daje jej pewne wiadomości w języku ojczystym i światłą choć niezbyt uczoną matkę i wychowawczynię, która w myśl swego nauczyciela dzieci wychowuje i kształci na dobrych Polaków i Polki. Skromne dworki modrzewiowe, domy mieszczkańskie, ochronki i szkółki wiejskie, pensyjki i pensje, uniejące omylić czujność obcego wizytatora — to wszystko placówki, na których dniem i nocą czuwają tysiące kobiet, a wśród nich zaiste są i prawdziwe bohaterki, pełne poświęcenia dla sprawy szkoły polskiej.

A weźmy teraz jeszcze późniejszą, jeszcze smutniejszą epokę, najbardziej mroczne dni dla oświaty polskiej, od roku 1863 aż niemal do dni naszych. Cóż zobaczymy?

Oświata ludowa należy do prześlęstw politycznych, a przecież Promyk obmyśla najlepszy elementarz

i z nim, jak z orężem, idą całe tysiące bojowników na wieś, zwalczając analfabetyzm, choć za to *a. b. c.* groziła kara pieniężna, więzienie, zesłanie. A dla tych, którzy nauczyli się czytać, istnieje przecież książka, przeznaczona na podarek dla tych, którzy nie chcą być ciemnymi, jak pisał niezapomniany przed kilku laty zmarły Mieczysław Brzeziński. Po szkołach średnich wykład rosyjski, podręczniki rosyjskie, nauczyciele polacy stopniowo usuwani z dawnych stanowisk, a przecież dzieci uczą się po polsku, z książek polskich, według metod, obmyślonych przez Polaków, uczą się czasem w ukryciu, w szkole, czasem w kompletach prywatnych, w domu.

Powstaje skromna, bo skrzepowana więzami cenzury, ale wiernie służąca hasłom postępu, literatura pedagogiczna, a każdy prawie z jej pracowników to człowiek, który ciężko walczy o swoją sprawę, czasem bohater, czasem i męczennik.

Więc Adolf Dygasiński, powieściopisarz i uczonec, szerzący zasady metody pogładowej za pomocą odczytów,

artykułów i książek; więc Henryk Wer-
nic, pisarz ociemniały, całe życie wy-
łącznie poświęcony sprawie wychowa-
nia, dyktujący swe prace, z których
cały zastęp matek i nauczycieli ko-
rzysta; więc Wacław Nałkowski, uc-
zony geograf, a w praktyce tylko
nauczyciel prywatny, rzucający nowe
hasła nauczania; więc Władysław Da-
wid, psycholog i pedagog, który nie-
tylko stara się o to, aby nauczyciel
polski nie był obcy postępowi peda-
gogiki na Zachodzie, ale rozwija twórczość naukową w tej dziedzinie, ale
daje hasło do psychologicznych badań
nad dzieckiem, aby na psychologii
dziecka polskiego budować przyszłą
szkołę polską. Oto kilka tylko nazwisk
tych, którzy odeszli. Oni żyli, wal-
czyli, pragnęli, działali, lecz nie do-
czekali dnia dzisiejszego, nie mogą
nam osobiście udzielać rady, co nam
dziś czynić wypada. Ale ich życie
i dzi.ła bardzo jasno wskazują drogę,
więc w imię bohaterów naszych, idzie-
my, walczy my i miejmy nadzieję —
zwyciężymy!

Aniela Szcówna.

Szkoła Polska.

*Szkoła Polska! Od Ciebie, jak od morskiej skały,
Odbijały nawałnic niezliczone szturmy,
Nie zmogły Cię: męczeństwa, Syberja i turmy,
Nie zmógł Cię nienawiści żywioł rozszalały...*

*Przetrwałaś wszystkie gromów najdotkliwsze ciosy,
I znów stoisz potężna na ducha opoce,
Promieniejesz światłością, jak słońce w pomroce,
Podobna do strzelistej, niebosiężnej glosy...*

*Tys szeregi pokoleń poprzez wieki całe,
W nierozwalne serca spajała ogniwa,
Ukazując ojczyzny nieśmiertelną chwałę —*

*W Tobie przyszłość Narodu Polskiego spoczywa,
Miłość, wiara, nadzieja, cnota staroświecka —
W duszy, w sercu polskiego m e c z e n n i k a - d z i e c k a...*

Wiktor Dzierżanowski.

A K C E N T.

Maćkowi dnia tego nie wiodło się jakoś od rana. Przedewszystkiem, co nigdy mu się nie zdarzało, trochę zasnął, więc był zły, a ponieważ był zły, wszystko mu z ręki leciało, niczego nie mógł znaleźć, jednym słowem, jak się to mówi, wylazł z łóżka złą nogą. Czuł, że do gimnazjum przed rozpoczęciem lekcji nie zdąży, pędził jednak, jak szalony, ażeby jako tako czas stracony odrobić. Wtem na rogu Bernardyńskiej przeszedł mu drogę pop, straszny, rudy pop, z ogromną brodą i z niesłychanemi kudłami. Maciek, obyczajem uczniowskim splunął trzykrotnie od uroku i jakby niepewny siebie zwolnił biegu.

Oczywiście spóźnił się. Wszedł do klasy dobrze już po dzwonku. „Serdelek” z katedry odczytywał z namaszczeniem ustęp z Caesara. Nie przerywając sobie, spojrzął z pod okularów okiem bazyliuszka na spóźniającego się ucznia.

Ten zrozumiał, co to znaczy. Siadł zrezygnowany na wszelkie ewentualności i zamyślił się o tem, jak to człowiek nieraz niewiedomo dla czego, ni stąd ni zowąd wypada z kolei i staje się ofiarą najprzykrzejszych wydarzeń.

Zły dzień!

— Zięba — prodołżaj, zapiało nagle od strony katedry.

Zerwał się. Miał przed sobą książkę otwartą, ale nie mógł narazie odnaleźć miejsca, na którem zatrzymał się Serdelek. Potoczył dokoła siebie wzrokiem. Koledzy pokazywali coś na migi, szeptali po cicho jakieś słowa, polapać się w tem jednakże nie umiał. Zresztą profesor nie czekał.

— *Charaszo* — *sadziś!* zaśpiewał dyszkantem, z nadzwyczajnem rozradowaniem zatarł ręce i zabrał się do opisanja tej sprawy w dzienniku.

— Jest, mruknął Maciek, jakby z ulgą, — czułem, że się tak skończy.

Ale zły dzień się nie skończył. Po przygodzie z Serdelkiem zwłaszcza humor Maćka nie poprawił się bynajmniej. W czasie paazy stanął ponuro w głębokiej framudze okiennej starego poklasztornego gmachu, przemienionego obecnie na gimnazjum. Był tam jakby oddzielony od panującego na korytarzu gwaru. Wtem podbiega do niego mały Klicki z ogromnem jabłkiem w rękę i pyta po rosyjsku.

— Zięba, pieroczynnyj nożyk u ciebia jest’?

— Czego? wyrzeszczył Maciek oczy.

— No, mamy przecież mówić ze sobą po rusku, tłómaczy się tamten.

— Kto z kim, durniu?

Klicki się obraził i odpalił w tym samym tonie:

— Ty ośle, ze mną, bo masz akcent, jak...

Nie dokończył. Maciek palnął go w ucho tak potężnie, że chłopak potoczył się i rozciął czoło o ramę otwartego właśnie okna. Trysnęła krew. Zrobiło się zbiegowisko. Nadciągnęły też z interwencją i władze szkolne.

— Nienaroczno... zapewniał rycersko poszkodowany, chcąc osłonić kolegę od grożącej mu kary.

Tymczasem jakiś pyzaty wstępniak, choć niepytany, uważa za stosowne wyjaśnić.

— Oni sia drali.

Zabrano obydwoh do kancelaryi. Klicki wytrwał w swoim rycerskim postanowieniu i pomimo nalegań całego ciała pedagogicznego ani jednym słowem nie zdradził istotnych okoliczności zajścia. A zdradzenie tych okoliczności byłoby dla Maćka niewątpliwie wyrokiem wygnania z gimnazjum. Klicki uparcie powtarzał swoje „nienaroczno”.

Skazano ostatecznie obydwoh na trzy godziny kozy, którą mieli odsiedzieć w niedzielę.

Maciek, wzruszony poprawną konduiłą kolegi, wyciągnął doń rękę.

— No, daruj!

Tamten przyjął podaną rękę, Maciek zaś ciągnął rozrzewniony:

— Zachowałeś się, jak na gentlemiana przystało, muszę ci przyznać, ale ki dyabeł podkusił cię, ażeby gadać do mnie po moskiewsku?

— Zapomniałem, że do nas nie należysz.

— Do was?

— No... zaczął zażenowany... bo nie wiesz, żeśmy założyli stowarzyszenie.

— Stowarzyszenie?

— Tak... To jest — ciągnął, jękając się — słyszałeś przecie, co zapowiadał w klasie nowy inspektor... że kto... no pamiętasz... że kto nie będzie mówił poprawnie po rusku, to choćby był najlepiej przygotowany...

— Więc?

— Więc zebrało się nas kilku lepszych uczniów na stajni u „Baryły”... Byłem ja, Tymon, Słuń, Faja, Lizus...

— Ba, Lizus!

— No i postanowiliśmy, że...

— Że co?

— Że będziemy ze sobą rozmawiali po rusku.

— Łajdaki! krzyknął Maciek, szubrawcy!

Klicki nie obraził się tym razem. Spuścił głowę i mocno zakłopotany stał chwilę bez słowa. Wreszcie szczerze i prosto spytał:

— Więc uważasz, że nie wypada..?

— Jakto, ty, polak, tego nie czujesz, nie pojmujesz?

— No, przecież tu chodzi tylko o akcent... gdybyśmy przez głupi akcent nie mieli dostać promocyi... przyznasz...

— Nic nie przyznam! — zawołał Maciek gwałtownie. Tu chodzi o coś innego... o coś stokroć ważniejszego, niż akcent... Tu chodzi...

Urwał. Jakaś myśl ciężka zasepiła mu czoło.

Wyciągnął rękę.

— Ha, panie inspektorze! Ha, Wasilij Nikoforowiczu, twoja polityka głaskania i straszenia zbiera już plon obfity. Serca młodzieży znieprawione, zwichnięte, zastygłe. Oh, doprawdy, czas najpilniejszy, ażeby zacząć przeciwdziałać tej kreciej robocie moskiewskiej. Trzeba zarazę stłumić w zarodku, zanim się rozszerzy, zanim obejmie klasy młodsze, mniej uodpornione na podobnego rodzaju oddziaływania.

— Jak się nazywa wasze stowarzyszenie?—rzucił szorstko.

— Klub pojednania.

— Łajdaki! — syknął—Przysięgaliście?

— Alboż trzeba?..

— Zapewne, w takim stowarzyszeniu!... Ha, ha, ha!—Zaśmiał się

sarkastycznie, a potem zaczął tonem niskim a głębokim, głosem wzruszonym i pełnym wyrazu.

— Słuchaj, Klicki—jesteś chłop z charakterem! Poznałem cię dzisiaj. Ciebie szkoda dla tej hołoty z „Pojednania“. Dobrze to dla faj i lizusów. Nie przysięgałeś—masz ręce rozwiązane. Porzuć kanalje. Musimy zacząć robotę inną. Jesteś polak. Chłop z twojem nazwiskiem, z twojemi tradycjami nie może nie być polakiem. Musimy działać, jak polacy. Trudno, trzeba ofiar, trzeba poświęceń... Chcesz?

Klicki w milczeniu ścisnął dłoń kolegi.

W niedzielę wieczorem, po odsiedzeniu kozy chyłkiem przemylkali się obaj pod murami starych domów przedmieścia, dążąc za cmentarz, gdzie miało się odbyć zebranie sprysiężonych... czwartoklasistów.

T. Jaroszyński.

Wykształcenie — jako przeszkoda do służby publicznej.

Szkoła w Królestwie Polskiem po upadku powstania Listopadowego, co do języka długo jeszcze polska, stawała się coraz bardziej rosyjska, zarówno co do ducha w niej panującego, jak i co do stosowanego w niej systemu pedagogicznego, tak dalekiego od wzniosłych zasad wychowawczych, przekazanych przez Komisję Edukacyjną i przez działaczy na polu oświaty epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Reakcyjna antypolska szkoła Paskiewiczowska miała za zadanie tamowanie zapału do nauki, pilnowanie, by nie wzrosła nazbyt liczba kandydatów do uniwersytetów. Robiono też wszelkie możliwe trudności przy wstępowaniu do szkół średnich osób, nie należących do klas uprzywilejowanych, w roku zaś 1846 zamknięto 4 wyższe klasy w obu gimnazyach filologicznych w Warszawie. Ale młodzież polska i to nie tylko szlachecka, ale i mieszczańska łaknęła nauki, gotowa dla jej zdobycia przezwyciężyć najtrudniejsze przeszkody. Sama przez siebie nasuwała się myśl, szczególnie młodzieży mieszkającej w zachodnich powiatach Królestwa, szukania wykształcenia średniego w szkołach Wielkiego Księstwa Poznańskie-

go, gdzie wówczas rozwijało się jeszcze pomyślnie szkolnictwo polskie. Paskiewicz jednak nie udzielał pozwolenia na kształcenie się w Poznańskiem, a gdy rodzice, pomimo wszystko, wysyłali dzieci do szkół wielkopolskich, to władze, uwiadomione o tem przez swych szpiegów, rozsyłały do urzędu policyjnych Królestwa znamienne okólniki: „Stosownie do rozkazu J. O. Księcia Namiestnika, zakomunikowanego sobie przez odezwę Komisji Rządowej spraw wewnętrznych i duchownych z dnia 11/23 października r. b. (1846) za № 47711/25994, zawiadamiam się, iż N. N., jako pobierający nauki za Granicą, bez wiedzy i pozwolenia rządu tutejszego niema być przyjmowany do służby publicznej”. W roku 1846 takich nieposłusznych, którzy się chcieli uczyć, i to nie w szkole paskiewiczowskiej, wykryły władze rosyjskie kilku, byli wśród nich Józef i Witold Kisielewscy z Łomżyńskiego, Izidor Dąbrowski z Łeczyckiego, synowie obywateli ziemskich, Wincenty Trembacz-kiewicz, Antoni Paprocki, Izidor i Antoni Januskiewiczowie, mieszkańcy Słupcy, i Michał Dropiński, syn organisty z Zagórowa pod Słupcą.

Ignacy Baranowski.

Wieprz i koń.

(Z bajek wojennych).

Wieprz i koń spotkali się na podmiejskiem błoniu.

— Dzień dobry — rzekł koń: — wieprzu.

— A, dzień dobry, koniu —

Rzekł wieprz tak jakoś z pańska, półgębkiem, z wysoka,

Z jakimś pseudo hrabiowskiem przymrużeniem oka

I z poczuciem dostojnem, jak radcowie tajni.

Rozmowa.

— Co tam słyhać w chlewie?

— Co tam w stajni?

— W stajni źle. Przeminęły dni owsianych zbytków.

Ot pędzi się mizerne życie niedobitków.

Nie tuczy już, jak dawniej pańskie oko konia:

Sieczki brak dziś, plew nawet. Po prostu — agonja.

Ach, jak często dziś tza mi kręci się pod rzesą.

Na domiar złego, dziś je człowiek końskie mięso.

Potworzyły się w mieście już z koniną jatki.

Co, wieprzu? Czy nie ładne kulturalne kwiatki?

Salceson z nas nie długo będzie robił masarz.

W tem wszystkim się zdrowego sensu nie namacasz.

Koń stworzony do wozu, do pługa, pod siodło,

Na pomnik, jeżeli się w wojnie mu powiodło,

Że na grzbiecie jakiegoś nosił feldmarszałca...

Dziś ludzkość je schab z koni! Bodajby sparszała!

— Nie bluźnij! — rzekł wieprz: — koniu, gdy mówisz o schabie.

Pozwól, że twych zarzutów doniosłość ostabię.

Dawniej — tak: ciebie pańska tuczyla żrenica,

A dzisiaj tuczy pana twoja poledwica.

Czy ci źle? Czy nie splacasz tem długu wdzięczności?

Czyż nie chciałbyś szlachetnie przejść do potomności,

Jako koń, który życia zaprzął się uroków,

Aby panu uiścić się za koszt obroków?

Za życie, które nie jest, jak sam wiesz, tu wieczne,

Spotka cię, gdy cię zjedzą, uznanie społeczne,

A jeśli na zacnego natrafisz rzeźnika,

Może, kto wie? — doczekasz się nawet pomnika.

Wyznam, że pod tym względem nie rozumiem koni.

Żaden wieprz za pośmiertnym pomnikiem nie goni.

Czemu, nie wiem, o byt ten fikcyjny tak dba się?

Mnie dość, że mnie po śmierci znawca zje w kielbasie,

Że powie: „Jakaż dzisiaj szynka doskonała!” —

I już ambicja moja celu dokonana.

Wolę, żeby wędzone moje chwalił boki,

Niż, żeby mój czcił z bronzu pomnik, lub z opoki.

— Bo w tobie, wieprzu, proza uwila swe gniazdo,

Bo nie wiesz, co to sławnym jest być konną jazdą,

Bo nie umiesz rycerza nosić na swym grzbiecie...
Bo wy tylko w poziomych rzeczach się grzbiecie,
Wieprzaki, nie wznosicie w górę swego ryja
Do tych sfer, w których żyje to, co nie przemija:
Bohaterstwo, odwaga i to szczęściem wrzące
Poczucie, że się z wodzem na pomniku łączę.
— Wszystko to są blahostki — rzekł wieprz — mój rumaku.
Prawdziwego ty nie znasz użycia i smaku.
Ty żyjesz roślinami, a ja, choć wieprzysko,
Mam tę rozkosz, że jadam absolutnie wszystko.
Jem chwast, groch, szczaw, chleb, ryż, drób, kość, łój, gnój, bakalje...
A pośmiertne istnienie, czczyta stawa? — kat pal je!
Zdechłego szczura zjadłem raz... Trochę się wilem...
Zatruty był strychniną... Ale go strawilem.
Jeżeli cały był ten wziąć tak na rozsądek,
To szczęście w nim najwyższe — mieć zdrowy żołądek.
I mózg pokarm znajdować w każdziuteńkiem jadle.
— O to się z tobą — koń rzekł: — pospieram zajadle.
Weź choć wyścig. Jak słodko się po turfie stąpa,
Gdy się wzięło g r a d p r i x już...

— Ph — rzekł wieprz — czczyta pompa!

— Nie czujesz-że rozkoszy oklasków bez liku?
— Nie, jeśli mam być pierwszym gdzie, to — przy szafliku.
Co mi tam po oklaskach: wolę zjeść podwójnie.
Bierz z samych ludzi przykład, chociażby w tej wojnie.
O czym myślą? O stawie wśród laurowych wieńcy?
Czy o tem, by mieć prowiant i jeść jak najwięcej?
I jedzą, i za stołem ich duch lęk podkaszka:
Skądby jeszcze wziąć mąki? jak z masłem? gdzie kasza?
Rozmowy dziś pomiędzy ludźmi nie są inne,
Prócz: „Dam cnotę za mięso”, „Życie za stoninę”...
— Niegdyś — rzekł koń: — o, była to epoka lepsza:
Król królestwa pół dawał za konia — nie wieprza.
— Nie bój się — rzekł wieprz: — niech no wojna potrwa jeszcze,
Niechno post ludziom brzuchy ściśnie w swoje kleszcze,
Przysięgam ci na moje wieprzowe jestestwo:
Koń będzie szedł, nie za pół — za całe królestwo.
Zobaczysz, jak się w tobie ludzkość rozsmakuje!
Będą palce lizali, zobaczysz...

— Dziękuję.

— Zobaczysz, jaką rzeźnik cenę twą zawoła!
— Taka wartość — koń zarżał: — nie nęci mnie zgoła,
— A dla mnie ta nadwartość — zjawisko radosne.
Gdy ceny tłuszczów rosą i ja w pychę rosę.
Słyszałem od na dachu plotkujących wróbli,
Że wieprz dziś wart osiemset, do tysiąca rubli.
A wieprze dziś, nawiasem mówiąc, nie kolosy.
No, czyż warto się skarżyć w tych czasach na losy?
— Ach — rzecze koń — ty, wieprzu, idealizujesz.
— A ty, koniu, praw uzdy nie żuj: nie pożujesz.

Jest prawo, że się trzeba z swym losem pogodzić.
— I byłoż mi — koń westchnął: — na świat ten się rodzić,
Żebym zamiast się stroił w czapraków tyftyki,
Szedł na ubój, do jatek, jak wół — na befsztyki!
— Zgódź się, mówię, ze zmienną fortuny koleją —
Rzekł wieprz.

— Uczucia — rzekł koń — moje zbyt boleją
Nad tem, że mi znośniejsza wprzód była śmierć końska,
Gdy mi zęby wypadły z dziąseł, włos z ogońska,
Zdzierano ze mnie skórę i rzucono w parów,
Gdzieś w kwiatach, na pustkowiu, w zieleni szuwarów.
Leżało się w uroczej, cichej dalekości,
Aż się mięso rozpadło, aż zbieleły kości,
Brzęczenie os mi było muzyką cmentarną,
A gdym zczezł, otuliło proch zielone darno
Swym kobiercem... Ach, wieprzu, boleść mię przenika.
Dziś nie na ten mię cmentarz wiozq: do rzeźnika!
— Nie płacz, koniu, mazgaju, bądź że nieco krzepszy!
Człowiek jest zbój, zrad pelen nawet i dla wieprzy,
Którzy mu oddajemy na żer smaczne ciało.
Co tam! Żyjmy, użyjmy! Jeść, pić gębą całą!
Weselić się dziś tylko, a co będzie potem —
Czy zje człowiek, czy pies nas — mniejsza z tym kłopotem!
Nie nam się w polityczne bawić konjunktury.
— Nie — rzekł koń; — ja już swojej nie zmienię natury.
Dla mnie nie wszystkim w życiu jest obrok i pasza.
Jam do pracy, do sportu, do zgrzytu pałasza...
Mnie pomniki stawiano, ja mam swe tradycje.
Bolesno mi, że człowiek zdeptał dziś na nic je,
Zgwałcił i sponiewierał! Że mu się brzuch wkleśa.
To źle, lecz stawę sprzedać dla kawałka mięsa
I mnie, który służyłem mu w rycerskim siodle,
Postać na rzeź do jatki — to nikczemnie! podle!
Czyż ma wszystko nie znaczyć nic, oprócz jedzenia?
— E, nudzisz mię, mój koniu — rzekł wieprz: — Do widzenia!
Osłem jesteś, nie koniem. Masz poglądy chore,
Nie żyjesz z prądem chwili, lecz mu na przekorę.
Jakieś chimery gonisz, mary, przywidzenia,
Majaki!... Bądź zdrow, koniu.

Koń rzekł: — Do widzenia.

Czy się jeszcze zobaczą? — płonne są nadzieje,
Gdy się dowiem coś o nich, powiem dalsze dzieje.
Tu nadmieniam, że jednak myli się konisko,
Sądząc, że koń, gdy się go je, upada nisko.
Wszakże to, co przez wnętrze człowieka przecieczy
(„Człowiek jest tem, co jada”) staje się człowieczy.
A wieprz znowu nie poszedł w górę tak wysoko,
Ażby tem koniowi miał wyklówać oko.

*Cena wieprza nie doszła ostatniej granicy,
Przynajmniej zapewniają naród tak rzeźnicy.
Jeszcze, da Bóg, podniesie się popyt na wieprze,
A wtedy czasy w Polsce zapanują lepsze,
Bo panowie rzeźnicy w lot, dzięki pieniądзом,
Porządek zaprowadzą i Polskę urządzą.
Przez wieprze się odrodzi nas ojczysty zagon.
Dobrze. Lecz ja tam nie chcę wchodzić im w paragon.
Niech sobie rządzą sami w tej ojczyźnie-matce,
Jakby byli u siebie, jak w rzeźni, jak w jatce.
Rządzić Polską — to przecież kłopot nad kłopoty.
Niech tam na nich od tego biją siódme poty.
Rząd własny, jakikolwiek nie równać z niewolą...
Tylko, czy aby pisać bajki mi pozwolą?*

Jan Lemański.

CICHY ENTUZYASTA.

Stanisława Kościałkowskiego poznałem w Krakowie na krótko przed wybuchem wojny japońskiej. Kończył właśnie swe studia historyczne na Wszechnicy Jagiellońskiej i marzył o tem, by osiąść na Litwie, aby służyć swą wiedzą i pracą tej ziemi, z której był rodem i nad której upośledzeniem i zaniedbaniem kulturalnem głęboko bolał.

Marzenie to wkraczało wówczas w dziedzinę utopii. Bo jakież pole pracy mógł wtedy znaleźć dla siebie na Litwie doktor filozofji, historyk, a w dodatku polak i katolik? Ale nie upadał na duchu i z podziwu godną pracowitością dążył wytrwale do obranego celu. A może jego wrażliwa i subtelna dusza odczuwała już niedosłyszalne szmery podziemne, zwiastujące nadsięgającą burzę rewolucyjną?

Ponownie spotkałem się z nim w parę lat później w Wilnie, dokąd zjechał bodaj wprost z Rzymu, z archiwów Watykańskich, skoro tylko społeczeństwo polskie w Litwie otrząsnęło się z przymusowego kilkudziesięcioletniego letargu i z gorączkową energią zabrało się do odrabiania zagłości.

Początek roku 1906-go był okresem najwyższego optymizmu, najbar-

dziej rozbudzonych nadziei. Powstały na olbrzymią skalę zakrojone projekty, snuto powszechnie daleko sięgające plany kulturalnego odrodzenia. Jednocześnie na każdym kroku dawał się odczuwać dotkliwy brak ludzi, fachowców zwłaszcza, we wszelkich dziedzinach życia narodowego. Nie było kim obsadzać najniezbędniejszych placówek.

Zwłaszcza kłopot był nielada z należytem postawieniem sprawy wykładów języka polskiego w szkołach średnich. Przywrócono wprawdzie prawo obywatelstwa tak długo i bezwzględnie prześladowanej mowie, lecz, jak wszystkie reformy i ulgi, tak i te wprowadzono połowicznie. Wolno było wyklądać język polski, ale jako przedmiot nieobowiązkowy, a więc w godzinach nieobjętych rozkładem urzędowym lekcji oraz pod warunkiem, że nauczyciel będzie otrzymywał wynagrodzenie z funduszu, na który miały się składać specjalne opłaty od uczniów, pobierających naukę języka polskiego.

W tych warunkach nie sposób było myśleć o sprowadzaniu sił wykwalifikowanych z Warszawy lub Krakowa. Był materyalny personel nauczycielskiego przedstawiał się nader niepew-

nie, jako zależny w zupełności od frekwencji uczniów, a któż przytem mógł zaręczyć, że w praktyce nie wyrosną rozmaite przeszkody, uniemożliwiające zastosowanie tej reformy niesłychanej, oburzającej miejscową biurokrację? Tylko ktoś miejscowy mógł bez żadnego ryzyka podjąć się tego zadania, ale właśnie sił miejscowych odpowiednich brakowało, zwłaszcza dla wykładów w klasach starszych. Albo jakiś idejowiec, ożywiony gorącą chęcią służenia swemu społeczeństwu i krajowi. Na szczęście dla Wilna takim człowiekiem idei okazał się, Stanisław Kościałkowski. Bez wahania porzucił otwierającą się przed nim karierę naukową, bez żalu rozstał się z archiwami zagranicznymi, byle tylko mógł pracować w stolicy ukochanej Litwy, z którą go wiązały pochodzenie i niewygasłe jeszcze tradycje świetnej i bolesnej przeszłości.

Nie znosząc dyletantyzmu w żadnej dziedzinie, zabrał się gorliwie do studyów nad literaturą polską, złożył egzamin przy Okręgu Naukowym Warszawskim i od jesieni 1907 r. objął wykłady języka polskiego w szkołach średnich wileńskich. Na tem stanowisku, pod względem maturalnym, bardziej, niż skromnym, mimo wszystkie przeciwności, wytrwał aż do chwili, gdy, po ustąpieniu władz rosyjskich z Wilna, powierzono mu kierownictwo pierwszego gimnazjum polskiego.

A jakie trudności musiał przezwyciężać na każdym kroku, o tem wiedzą tylko ci, którzy mieli sposobność bliżej się zetknąć ze sprawą oświaty polskiej na Litwie.

Przedewszystkiem ustawiczne przeciwdziałanie ze strony administracji szkolnej, która, nie mogąc jawnie oponować wyraźnemu zniesieniu zakazu nauczania języka polskiego, usiłowała uniemożliwić je za pomocą przeróżnych szykan, stosowanych względem uczniów i nauczycieli. Zwłaszcza rola tych ostatnich w stosunku do resz-

ty personelu pedagogicznego, złożonego niemal bez wyjątku z tępych i zaciekłych „obrusitielej”, była niezwykle ciężka. Młody nauczyciel potrafił wszakże nakazać dla siebie szacunek i z wyjątkowym taktem umiał znaleźć wyjście z rozmaitych drażliwych sytuacji, które wynikały na każdym kroku. Miał tę przewagę nad otoczeniem, jaką zawsze daje wyższy poziom moralny i intelektualny.

Innego rodzaju, chociaż nie mniejszą trudność miał Kościałkowski przed sobą, pragnąc zachęcić uczniów do nauki języka ojczystego. Nie trzeba bowiem zapominać, że nauka ta była nieobowiązkowa, polegała więc na dobrych chęciach i rozumieniu jej doniosłości i potrzeby przez rodziców i uczniów. Wprawdzie społeczeństwo na ogół było uświadomione na tym punkcie, lecz młodzież po krótkim okresie zapału, poczęła się zaniedbywać i opuszczać lekcye, czemu się nie można bardzo dziwić, zważywszy, iż lekcye te odbywały się zwykle w godzinach dodatkowych, wymagały więc pewnego poświęcenia się i specjalnego wysiłku.

Lecz i ta opieszałość niebawem znikła, gdy na katedrze zasiadł Kościałkowski. Swoją zapałą i gorące zamiłowanie rzeczy ojczystych potrafił on przełać w dusze młodociane, pociągnąć je i zainteresować. W klasach starszych wykłady Kościałkowskiego stały się kuźnią, gdzie się wykuwały nie tylko młode umysły, lecz i charaktery.

Stały i bliższy kontakt z młodzieżą szkolną utrzymywał Kościałkowski i poza murami uczelni. W jego pokoiku, zarzuconym książkami i rękopisami, zbierały się w święta gromadki uczni, z którymi profesor prowadził ożywione rozmowy o czasach przeszłych, teraźniejszych i przyszłych...

Ile mu zawdzięczają maturzyści wileńscy z ostatnich lat, to oni jedni potrafią powiedzieć, ile mu zawdzięcza społeczeństwo całe, ile rozwój kultu-

ry polskiej na Litwie,—to kiedyś dopiero może wykaże skrzętny badacz.

Bo działalność Kościałkowskiego nie zasklepiła się bynajmniej w ramach przyjętych dobrowolnie przezeń zobowiązań.

Nie porzucił i ulubionej pracy naukowej i zdołał ogłosić parę cennych przyczynków historycznych, gromadząc jednocześnie materiały do dzieła zakrojonego na większą skalę. Od początku istnienia wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stał się jego duszą i kierownikiem istotnym. Nie odmawiał również swego udziału w wielu innych poczynaniach o charakterze społecznym lub kulturalnym.

Trudno pojąć, skąd bierze czas i siły na wszystko. Unika tylko jałowych i pustych zebrań towarzyskich, na których czuje się obco i nieswojo.

Skromny aż do przesady, nie lu-

biący rozgłosu, surowy dla siebie, dla innych pełen rzadkiej tolerancji, gorący patriota, chociaż daleki od krzykliwego szowinizmu, głęboko religijny, lecz przeciwnik klerykalizmu i zwolennik twórczego postępu, wywiera Kościałkowski na każdego, kto się z nim bliżej zetknie, urok niewypowiedziany. Nie ma też wrogów ani jawnych, ani skrytych. Niema bowiem człowieka w Wilnie, któryby mu miał coś do zarzucenia, ktoby się o nim nie wyrażał z najwyższem uznaniem i sympatyą.

Ma w sobie wiele z tego ducha promienistego, który ongi uczynił Wilno ogniskiem życia narodowego, a dziś się objawia, niestety, tylko w jednostkach wyjątkowych. Lecz nie wygaś całkiem i trwa wciąż, jako ów dawny znicz pogański...

Ludwik Abramowicz.

Rodzina Męczenników.

(Ze wspomnień szkolnych).

Z pomiędzy grona kolegów Gimnazjum Realnego warszawskiego, które, utworzone w r. 1841, przetrwało chlubnie lat dwadzieścia i dało krajowi zastęp pracowników, oddanych sprawom nauki i zadaniom obywatelskim na rozmaitych polach życia społecznego, wyróżnialiśmy zawsze, jako młodzieńca wyjątkowych zdolności i siły charakteru, myślącego samodzielnie — Klemensa Żochowskiego. W czasach przedlutowych roku 1861 bardzo wiele instytucji, pod nazwą naukowych, społecznych, lub też wychowawczych — spełniało z konieczności obywatelskie misye — nazwom ich nieodpowiadające. Taka np. redakcja *Bibioteki Warszawskiej* była ukrytą Akademią Umiejętności, podzieloną na sekcye naukowe i literackie. Takie *Towarzystwo Rolnicze*, pod maską narad nad płodozmianem i uprawą roślin pastewnych, snuło śmiało plany reform

polityczno-społecznych, spełniając zadanie sejmu obywatelskiego. Takim też w owych czasach pod skromnem mianem: Gimnazjum Realnego był zakład naukowy, zastępujący w czterech swoich wyższych klasach zniesioną w roku 1832 wraz z Uniwersytetem królewskim *Politechniką*. Na obu jego wydziałach, chemicznym i mechanicznym, wykładali uczeni, którzy z utworzeniem Szkoły Głównej powołani zostali do katedr młodej wszechnicy warszawskiej.

Jednym z najbardziej utalentowanych na wydziale chemicznym wychowañców był właśnie ukochany kolega — Klemens Żochowski. Nietylko koleddy równieśnicy, lecz i profesowie podziwiali głębokie i trafne pomysły owego zdolnego chłopca, który, pracując z zamiłowaniem, poza godzinami szkolnemi, w laboratorium chemicznem, czynił doświadczenia nad

rozmaitymi przetworami, tworzył związki chemiczne i dochodził nieraz do zastanawiających rezultatów, zwłaszcza w dziedzinie analizy spektralnej. Ta jednak zdolność kombinacyjna i badawcza Klemensa, która rokowała krajowi nowego Lavoisier'a, nie tłumaczyła bynajmniej wybuchów temperamentu naszego kolegi, jego dowcipnych dykteryjek, trafności jego uwag nad ogólnem położeniem kraju i zapalnych jego przemów, ilekroć na towarzyskich naszych zebraniach rozprawiano na temat przeszłości Polski.

Poza zdolnością zawodową przyszedłgo pracownika naukowego, najwybitniejszą cechą charakteru Klemensu Żochowskiego był gorący, do białości rozżarzony patriotyzm, jego stały i nieugięty zamiar pomśzczenia w przyszłości krzywdy, jaką mikołajewskie rządy wyrządziły ongi jego zacnemu ojcu.

O tragedii krwawej, której ofiarą padł uczony profesor-przyrodnik-filozof Józef Żochowski, wiedzano jedynie z posłuchu. I do dziś dnia nieznane są dokładnie szczegóły epizodu, który się rozegrał w marcu 1848 pod nawą Katedry Św. Jana.

Stłumiony w lochach cytadeli warszawskiej, znalazł ów epizod ostateczne rozwiązanie w kopalniach syberyjskich Ujśkamiengorska, gdzie obito tysiącem kijów uczonego starca i wysłanego następnie do Omska, na śmierć zamęczono.

Józef Żochowski, magister filozofii, urodził się w r. 1801 we wsi Żochy, w powiecie Węgrowskim. Po ukończeniu szkoły wydziałowej, wstąpił do zgromadzenia księży Komunistów w Węgrowie, następnie do seminarium na teologię i filozofię, a, przeniósłszy się do zgromadzenia OO. Pijarów, przeznaczony został w r. 1822 do wykładów w szkole wydziałowej w Wieluniu. Nie pozostał wszakże w stanie kapłańskim. W r. 1824 porzucając suknię zakonną, wstąpił Józef

Żochowski do Uniwersytetu królewskiego, gdzie na wydziale filozoficznym i administracyjnym otrzymał stopień magistra i medal złoty za rozprawę w języku łacińskim.

W r. 1828, mianowany nauczycielem, wykładał w szkołach wojewódzkich w Radomiu, w Szczeczeszynie i w Warszawie, przy ulicy Długiej filologię, historię i nauki przyrodnicze: fizykę, zoologię i mineralogię. Był bibliotekarzem Banku Polskiego. Wśród tych zajęć zawodowych poświęcał się piśmiennictwu naukowemu i filozofii religijno-moralnej. Wydał w roku 1840 *Rys elektromagnetyczny systemu świata fizycznego*, w r. 1842 *Fizykę*, redagował w r. 1843 pismo przyrodnicze *Motyl*, w roku 1846 napisał rozprawę *Filozofia serca, czyli mądrość praktyczna*, wreszcie w roku 1847 *Życie Jezusa Chrystusa*.

W zawartym związku małżeńskim poświęcił się wychowaniu synów: Mieczysława, Władysława i Klemensa, oraz córki Honoraty, w których wpoił gorącą miłość ojczyzny i zasady ofiarności w sprawie wyzwolenia jej z jarzma rządów mikołajewskich. Te zasady krzewił i wśród młodzieży, której kształceniu i wyrabianiu w niej ducha patriotyzmu oddał życie całe.

Powiew wiosny narodów, który ogarnął Europę w roku 1848, porwał za sobą duszę i umysł nysłiciela. Widząc ogólne zobojętnienie wśród zahukanej i otoczonej szpiegami i zbierami ludności, postanowił śmiałym czynem pobudzić ją do działania, z poświęceniem życia własnego umiłowanej idei. W maju roku 1848, w czasie nabożeństwa w katedrze Ś-go Jana, wdarł się nadspodziewanie na piedestał sarkofagu marszałka Małachowskiego i podniesionym głosem wezwał tłum do ocknienia się z letargu, do zerwania pęt niewoli, za przykładem Europy, która właśnie absolutyzmowi wydała rozpaczliwą walkę.

Umysły ludu były podówczas tak

przygnębione, wspomnienie szubienic, które skrzypiały po całym kraju, tak silnie, że głos Żochowskiego pozostał bez echa. Rzucili się na starca siepacze, ściągnęli go z pomnika Małachowskiego i okrwawionego płazami szabel, powlekli do cytadeli, gdzie panował krwawej pamięci oprawca Leichte. Wyrok śmierci, z uwagi na sędziwy wiek Żochowskiego, złagodzone na karę tysiąca kijów, które miał w kopalniach Ujśckamiengorska otrzymać i do końca życia pozostać w ciężkich robotach na Syberyi. Wędrówkę odbył starzec, okuty w łańcuchy, pieszo. Egzekucji dokonano na miejscu. Pokrwawionego, z odbitymi kawałami ciała, zesłano następnie do Omska. Lecz i tu nie skończyły się męczarnie starca. Za niezdjęcie czapki przed tamiecznym dzikim „smotritielem” więzienia skazano go na nową bastonadę, pod której razami wyzionął w roku 1851 męczeńskiego ducha...

Pozostała w Warszawie żona z dziećmi głodową przynieriała śmiercią.

W roku 1863 wraz z synem Mieczysławem i córką Honoratą, wskutek donosu jednego z dawnych kolegów męża, zesłana została na osiedlenie do Orenburga i tam zmarła.

Dzięki litości sąsiadów, zajęto się losem osieroconej reszty rodziny. Synów oddano do szkół. Klemensa przyjęto do Gimnazjum Realnego, gdzieśmy mogli bliżej poznać wyjątkowe zalety jego umysłu i serca. Po ukończeniu wydziału chemicznego w roku 1861, gdy nastąpiły wypadki lat 1862 i 1863, Klemens, pomny przykazań ojca, porwał za broń i wzięty w niewolę, zesłany został z kolegami: Maryanem Hofmanem i Zygmuntem Migurskim do gubernii Jenisejskiej na osiedlenie. Po kilkunastu latach niewoli wrócił do kraju i otrzymał posadę na kolei Nadwiślańskiej. Lecz przebyte cierpienia i wspomnienie męczeństwa ojca, oddziały na umysł

nieszczęśliwego. Zmarł 21 października 1889 r., w zaćmieniu mózgowym...

Niemniej tragicznym był los jego braci. Władysław, schwytany w chwili, gdy chciał ująć przed poborem zagranicę, zesłany został do szeregów wojskowych, gdzie po latach dwunastu dosłużył się stopnia oficera. W r. 1863 zaciągnął się do zastępów powstańczych i zginął pod Koniecpolem.

Mieczysław Żochowski z siostrą Honoratą powrócili z wygnania i zmarli w Warszawie: Honorata w 1878, Mieczysław przed kilkunastoma laty, po utracie posady, w ostatniej nędzy.

Pozostała matkę, w ciężkiej doli, otoczyła opieka kolegów, co upamiętniła wdowa na pomniku, wystawionym zmarłemu mężowi.

Los rodziny Józefa Żochowskiego jest jednym z obrazów owej doli, na jaką było skazane całe pokolenie polaków w czasach srogiego ucisku moskiewskich rządów. To, co w czasach istnienia dawnej Rzplitej sprawiły najazdy tatarów, niweczając byt spokojnie oddanych pracy na roli ziemian-obywateli, to jeszcze przed kilkoma dziesiątkami lat, już za pamięci niewielu żyjących w czasach naszych niedobitków owej epoki, sprawiła gnębienie wszelkich objawów niepodległego ducha potomków dawnych rycerzy i bojowników, wiernych tradycji, jaką im o dawnej chwale Ojczyzny przekazały dzieje. Za ofiarnymi ojcami szli ich synowie, rokujący krajowi najpiękniejsze nadzieje i zapowiedź przyszłości lepszej. Marnowała się młodzież w wysiłkach z nieubłaganym losem, narówni z tymi, którzy byli jej przewodnikami na drodze nauki i obowiązku obywatelskiego.

Z owego grona nauczycielskiego Gimnazjum Realnego kilku najzdolniejszych padło ofiarą wypadków roku 1863. Władysław Gołemberski i Adolf Pieńkowski, przyrodnicy, członkowie Rządu Narodowego, zmarli na

obczyźnie. Bongard, nauczyciel języka francuskiego, lat kilkanaście, spędził w robotach ciężkich w Kudai, ks. Żukowski zmarł nad Bajkałem, Władysław Grabowski, nasz kolega, zginął pod Słupcą. Antoni Łazowski pod Rydzewem, Symeon Rapacki — pod Kobyłanką.

O nich jedynie zachowała się pa-

mięć w rocznikach naszej niedoli. Lecz najtragiczniejszym był los rodziny Żochowskich, która, pomna tradycyji swego nieszczęśliwego ojca, złożyła w osobach pozostałej po nim wdowy, synów i córki męczeńską ofiarę na ołtarzu Ojczyzny.

Cześć jej świetlanej pamięci!

Alexander Kraushar.

ZDOBYWCY.

I.

ALEKSANDER

*Goreje młode słońce. Ziemia się wypręża
Strojna w biele marmurów i szmaragdy hal,
W tonie morskich lazurów, w gór powietrzną stal,
Czeka na mnie, jak dziewa na kochanka-męża.*

*Spadam więc w świat, jak burza; jazgotem oręża
Przeszywam wskroś Helladę, mierzę w Wschodu dal;
Z stopą na karku Persji piję z Indu łał,
I wracam, jak cios, który nie padłszy, — zwycięża.*

*Otom cię rzucił, świecie, pod mych czynów rujeł
Celem mych żądz — bezkresy, kresem ziem — pustynie,
Europę z Azją sprzęgam w potwornej miłości!*

*Depcąc — dźwigam i kocham; szalejąc, — panuję — — —
I, — podobnie jak piorun, co w wybuchu ginie,
Ja — syn Zeusa Ammona — umieram... z młodości!*

* * *

II.

ATYLLA.

*Tam trawie nie porosnąć, gdzie mój koń przeleci!
Tam życiu się nie rodzić, gdzie świśnie mój bat!
W zwierzęcym bólu tam zatonie jestestw ślad
I spylą się w perzynach pomniki stuleci.*

*Z chaosu-m Azji wstał. Wśród dzikich hord zamieci
W pożogi łunach prę, ja — krwawej miazgi wład...
Pustynia państwem mem, bom—mór, bom—śmierć, bom—kat!
Wściekłości ślepej mej nienawiść w drodze świeci...*

*Gniewem mym — zabić słońce, co pierzcha przedemną!
Gniewem mym — Romę zmieść, że ma nad światem straż!
Dopałem... wzniosłem bat i potop czerni... — aż*

Stanął człowiek i drogę mi zagroził Bogiem, — — —
I było: przed Nieznanem, że nieznaną trwogę-m
Uczuł i... wraz z nią padł nawrotem w nicość ciemną.

* * *

III.

NAPOLEON.

Latami pracowata na mnie gilotyna,
Latami w krocjach armji gesty stał się trup
I napiętrzał wyniosły pomost dla mych stóp,
Bym ja dosięgnął bytu, co się przez nich wszczyzna.

Wszedłem. A siłą woli, co miądzy — nie zgina —
Chwycilem za sceptr świata. I złamawszy ślub
Ja — zdrajca praw człowieka — poprzez śmierć i grób
W zachłannej żądzy władztwa chciałem trwać przez syna.

Wybacz mi Królu Rzymski!... Moja wina, dziecko,
Żem przez ciebie odrodzić chciał się znów na świecie
Niepomny, że istnieje kres sile człowieczej...

Patrz: zato-m ot w niemocy, której nic nie zleczy,
Jako zbyteczny aktor, odrzucon ze sceny,
Starczo wędnę w pomroku skał świętej Heleny.

* * *

IV.

OSTATNI.

Słońce kona. Pokryte rany straszliwemi
Ledwie sączy ponikiem stęchłą światła krew.
Pod tą grobową lampą w nicość mroźnych stref
Jak lodowy sarkofag, płyniesz, globie ziemi...

Darzyłeś mnie, czem mogłeś — — — siłami wszystkiemi,
Od czeluści łon twoich do poszumu drzew,
I oto zmarłeś globie, — gdy tam... życia wiew
Miljonem słońc wybucha, miljon światów plemi!

Żegnaj mi więc, kochany!... Zostawiam ci zgon...
Po wichrach kultur — bezwład, po Słowie — milczenie...
Żegnaj mi z twoim losem obumarłej kłęski!..

A ja zasię — twój genjusz — wieczysty, jak On,
Poprzez śmierć pod słońc nowych dalekie promienie,
W nowe byty, w bój nowy przechodzę — — — zwycięski!

MŁODZIEŻ W TETRZE.

Serce mi się ścisnęło przed paroma laty, gdym widział, jak w Teatrze Wielkim uwijają się rosyjscy studenci warszawskiego uniwersytetu w kolorowych koszulach, z czapkami na bakier, z pod których wyglądały bujne, po kozacku uczesane czupryny. Popowicze, synowie czynowników, spędzeni z Rosyi zastąpili młodzież polską, którą bojkot szkolny wygnał z murów i sal dawnej Szkoły Głównej.

Przypomniało mi się wtedy, jak przez dziedzińiec naszej kochanej wszechnicy przechodził przed laty pierwszy i ostatni jej rektor, czcigodny dr. Józef Mianowski, jak od bramy do drzwi głównego pawilonu szedł z odkrytą głową, a przed nim z szacunkiem schylali się chłopczy jak świece w mundurkach granatowych ze srebrnymi guzikami i podwójnym galonem na kołnierzach.

Ja wtedy należałem do grupy studentów, która z zapałem uczęszczała do teatru — „w górne sfery”. Młodzież akademicka rej wodziła na paradyzie, nagradzała oklaskiem ulubionych artystów, podtrzymywała rzadko ukazujące się przed czterdziestu kilku laty na repertuarze poważne dramaty. Wyprawa na paradyz w dawniejszym Teatrze Wielkim i Teatrze Rozmaitości należała do przedsięwzięć nielada, zwłaszcza na widowiska cieszące się powodzeniem! Trzeba było zrana tłoczyć się przy kasie, aby kupić bilet, a potem od godziny szóstej po południu wartować na korytarzu na pierwszym piętrze na schodach przed drzwiami, które otwierano na godzinę przed widowiskiem. Gdy skrzypnęły te drzwi dolne, cała hurma pędziła przez parę pięter po schodach na wyścigi. Trzeba było skakać po kilka schodów, aby dopaść czempredziej miejsca w pierwszym rzędzie na paradyzie lub galeryi. Parade to były gonitwy! Śmiechy, krzyki,

wrzawa, piski kobiet, które także brały udział w tym szalonym turnieju!..

Mieli wtenczas studenci szacunek wśród teatralnych bywalców. Ja nawet wyrobiłem sobie taki przywilej, że chociaż przyszedłem czasami później na pół godziny lub kwadrans przed zaczęciem widowiska, robiono mi dobre miejsce na paradyzie, albowiem dawałem ciekawym małe objaśnienia, improwizowane konferencyjki z zakresu literatury dramatycznej.

Owymi czasy paradyz w Warszawie a parter w starym Teatrze Krakowskim grały decydującą rolę, gdy chodziło o powodzenie lub upadek sztuki. Pamiętam, jak w Teatrze Rozmaitości nasza paczka studencka urządzała kontrmanifestacye, gdy pewna koterya literacka chciała podtrzymać sztukę słabą forytowanego pisarza, którego nie lubili tak zwani „postępowcy”. Kiwano na studentów z dołu, machano rękami — a jednak owacya się nie udała, tylko artyści zostali nagrodzeni sutym oklaskiem.

Ulubieńcem młodzieży uniwersyteckiej wtedy był szczególnie mistrz Królikowski, który porywał i wzruszał głębokością uczucia, wirtuozostwem swej gry romantycznej, dosadnej, gorącej, a mimo to kunsztownie opracowanej. Znakomitego artystę wielbiło liczne grono zapaleńców, którzy za skromne oszczędności kupowali bilety, aby go kilka lub kilkanaście razy oglądać w jednej i tej samej roli. Żółkowski znowu więcej wielbicieli miał wśród publiczności krzesłowej, która stroniła od denerwujących wrażeń, ale zato po całodziennej pracy, albo po dobrym obiadku, rozkoszowała się pysznym humorem największego może komika na świecie.

Pamiętam jednak, że nasza „paczka” podczas ciężkiej pracy przed egzaminami ze szczególnem zamiłowaniem

chodziła na przedstawienia „Pana Jowialskiego”, w którym Żółkowski stwarzał idealną poezję zadowolonej z siebie głupoty — a Rychter był przedziwnie jowialnym staropolskim facecyonistą. Pierwszy występ Królikowskiego i jego benefis w „Zbójcach” w 1869 roku był dla pewnych kółek młodzieży taką uroczystością, że nawet jeden z moich przyjaciół nie poszedł wtedy na kolej, aby przywitać wracającą do Warszawy narzeczoną.

A potem już za czasów zrusyfikowanego uniwersytetu jakie to było święto, gdy komitet studencki organizował wielkie koncerty na wpisy, które się odbywały pod dyrekcją Moniuszki, później Müncheimera. Na tych koncertach popisywały się siły pierwszorzędne, śpiewał Mierziński w pełni potęgi fenomenalnego głosu, Królikowski deklamował cudnie „Farysa” Balińskiego, Modrzejewska porywała we wspaniałej „Hagar na puszczy”, przemile szczebiotała Romana Popiel, a Żółkowski powtarzał ku zadowoleniu smakoszków swą ulubioną scenę jedzenia kaszki z „Przyjaciół” Fredry. Później na tych koncertach studenckich odznaczyła się zapałem i siłą dramatyczną Helena Marcello, jako interpretatorka poezji Żmichowskiej i Konopnickiej, ja zdobyłem jako deklamator utworów poważnych, szlify oficerskie, a Marya Wisnowska i Jadwiga Czaki zbierały rześiste oklaski, deklamując lekkie jak pianka utwory estradowe Gawalewicza. Gdy Czaki mówiła umyślnie napisany wierszyk, w którym powtarzał się *refrain*:

„I któż się wykręci, gdy proszą panowie studenci?” — klaskali zawzięcie zwłaszcza gimnaziści, podzieleni i wtedy na dwa stronnictwa, wielbiciele naiwno-lirycznych ulubieńców publiczności.

Jednym słowem młodzież w teatrze była zawsze czynnikiem ożywczym, podnieętą zapału, ostrogą dla szlachetnych talentów. Co najważniej-

sza, młodzież uniwersytecka popierała artystów, pełniących służbę dla wyższej kultury. Nie było panów w mundurkach pomiędzy wielbicielami, rzucającymi wieńce i kwiaty *divom* z operetki.

Brak nam było bardzo tej młodzieży w czasach bojkotu szkolnego, gdy na koncertach studentów uniwersytetu rozlegały się przed paroma laty pieśni w oficjalnym języku, gdy salę Teatru Wielkiego wypełniała publiczność, złożona z antypodycznych czynowników, działaczy i rusyfikatorów. Brakło nam tej polskiej, kochanej młodzieży z wyższych uczelni nie tylko w teatrze, w sali koncertowej, ale w życiu towarzyskiem, w domach rodzinnych, na zebraniach i wieczorinach, na posiedzeniach po stancjach i pensjonatach prywatnych, gdzie czytano na głosy arcydzieła poezji, śpiewano po cichu pieśni narodowe albo prowadzono konspiracyjną propagandę.

Brakło w teatrze też młodzieży podczas niedawnego bojkotu, który podzielił młode pokolenia na dwa obozy, niepotrzebnie wrogie i nieprzejednane.

Z tej wczorajszej doby, pełnej bratnich swarów, ze smutkiem można przypomnieć takie przykre epizody życia teatralnego, gdy zacietrzewieni bojkotowcy przyjęli sykaniem i dwoma zgniełmi jajami. Gustawa z IV części „Dziadów” podczas wieczoru trzech wieszczów w Teatrze Wielkim, przed czterema laty. Dzisiaj młodzież obu uczelni występuje solidarnie, zbierając fundusze dla „Bratniej Pomocy”, a śród zamętu i wstrząśnień nie mogą się powtórzyć tak bolesne zgrzyty.

Młodzież polska nie potrzebuje czasu tracić na jałowe rozterki — ma wytkniętą drogę płodnej i ofiarnej pracy dla kraju. Szczególniejszej siły i znaczenia nabierają obecnie piękne słowa Konopnickiej w zakończeniu gorącej przemowy „Do młodszej braci”:

Idź, idź, idź naprzód—ta przyszłość

[słoneczna,

Na którą ludzie pracują—istnieją!

W mrokach my jeszcze—lecz w górze już

[dnieje.

Przed tobą droga *twarda*—a *konieczna*,—

Ty pierwsza musisz wdrzeć się na zszczyty,

Pierwsza zwiastować poranne błękity,

Wznieść sztandar pracy, wytrwania

[wśród znoju,

I być hejnałem świtu i pokoju,—

W słońce ludzkości zwróconą źrenicą—

Czuwaj strażnico!

Pisząc te słowa w czasach przygnębienia i niewoli, poetka miała jasnowidzące przecucie tego, co brzmieć powinno hasłem wiary w przyszłość w dzisiejszych czasach krwawej przemiany porządku świata.

Józef Kotarbiński.

Urywek z niewydanego rękopisu.

Przed laty kilkudziesięciu, jakoś we środku zeszłego stulecia, wielki poeta polski, w pieśni dziękczynnej, zwróconej do Boga, wołał w rozrzwinienu:

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie”.

Każdy ubiegający lat dziesiątek przynosi nam wyjątkowe doświadczenie. Gdy rozważam obecnie to, tak chlubne dla nas wołanie, kilka pytań ciśnie mi się do ust.

Czy w tych darach, iż ograniczę się właściwie do umysłowych, które prawdopodobnie poeta miał głównie na względzie, mieści się przede wszystkim *rozum*, wraz z zasadniczymi jego wynikami? Czy mieści się wypływająca z rozumu *rozwaga*, która zapewnia *powodzenie*? Czy dalej mieści się *przezorność*, która stwarza i jedynie warunkuje *bezpieczeństwo*? Czy nakoniec *mądrość*, która wyłącznie tylko nadaje *przodownictwo* w otoczeniu?

Czy te dary zawierają też w sobie *wolę*, której całą siłę stanowi *wytrwałość*, której wartość wszystka polega na *przedmiocie*, przez tę *wolę upragnionym*, w *wytrwałości osiąganym*, stale acz nierychło *urzeczywistnianym*?

Czy do tych darów wchodzi owo wyłączone, przynajmniej w takim stopniu umysłowości ludzkiej znamię, mianowicie *ciekawość*, która przez naukę prowadzi do *wiedzy*, przez wiedzę dosięga w pojęciach *prawdy*, w czynach — *twórczości*, w urządzeniach społecznych — *ładu*, *spokoju*, *wolności*?

Czy te dary zresztą, gdyby nie obdarzały nas *rozumem*, nie wzmacniały *wolę*, nie podniecały umysłu naszego *ciekawością*, na nazwę darów istotnych by zasługiwały?

Rzeczywistości i wartości darów dowodzą czyny, przez obdarowanych za ich pomocą dokonywane. Czyny, wypływające jedne z drugich i wiążące się z sobą, składają się na działalność. Działalność w przeszłości stanowiła spuściznę dziejową, zabezpieczającą potomnym pokoleniom istnienie w coraz to lepszych warunkach, niż te, w jakich istnieli ich przodkowie; działalność w terażniejszości przyszłość narodów wytwarza.

Otóż, gdy porównamy naszą tysiącoletnią spuściznę dziejową z takimiż spuściznami innych narodów europejskich, których o pośledniejsze obdarowanie przez Boga, znając ich dzieje i patrząc na ich stan obecny, podejrzyczyć nie mamy prawa; gdy ze stanu obecnego naszego narodu wnosić o przyszłości jego się odważymy, owych słów za poetą, bez

pewnego wahania się co do ich prawdziwości, czy też tylko ich bezwzględności, nawet stanąwszy na stanowisku wierzeniowem poety i z nim pospołu upajając się, o ile to zresztą możebne, uniesieniem podobnem, powtarzać już chyba nie jesteście zdolni...

Cóż bowiem w tej spuściznie głównie spostrzegamy, uczuwamy, doświadczamy? co z niej spada na nas, cięży nad nami, tłoczy na dół, spycha, przygniata?

Spuścizna nasza dziejowa nad wszystkimi zgola zjawiskami życia umysłowego i społecznego fatalnie zawisła. Macąc i tłumiąc to życie, czyni je, bez zaparcia się nie dość jeszcze godności ludzkiej, ale już i praw naturalnych człowieka jako tworu przyrody, wręcz niemożebnem dla istnienia.

Atoli, o zgrozo! jeśli obecnie wahamy się powtarzać za poetą owych słów natchnionych wdzięcznością i, co więcej, trzeźwieni rzeczywistością okrutną, powątpiewamy nawet w tych darów prawdziwość, wina to nasza, wina spotęgowana do przestępstwa.

Dary są, są prawdziwe, rzetelne, udowodnione. Udawadniają je, wykazują i stwierdzają liczne fakty dziejowe w przeszłości, nawet niezbyt odległej.

Wina, ośmielam się twierdzić, spotęgowana aż do przestępstwa, polega na tem, żeśmy sami, jakby dobrowolnie, zaniedbali, a raczej, przestali korzystać z tych darów i to właśnie podówczas, gdy inne narody rozpoczynały dopiero to korzystanie, co je doprowadziło do stanu obecnego. Żeśmy zaś przestali sami, świadczą dzieje nasze od ich początku, zwłaszcza zaś — przełomowy ich okres, przypadający na wiek XVI i ćwierć XVII-go.

Tak, powtarzajmy to sami sobie i innym, a powtarzajmy śmiało i głośno, z dumą uwydatniającą się na czole, choć z boleśnym na ustach uśmiechem, że nasz naród przed końcem tego okresu stał na czele wszystkich narodów europejskich pod każdym względem...

Tylko Polska potrafiła przyłączać do siebie ludy sąsiednie bez przemocy orężnej, dzieląc się jedynie z nimi wyrobionemi u siebie podstawami wolności obywatelskiej, osiągnęła więc rzecz dotychczas nieznaną w dziejach. Tylko Polska dostarczała schronienia mężom wszystkim o umyśle wyższym a niezależnym, którym na Zachodzie groził stos, ręką kata podpalany, dla pochłonięcia ich żywcem, na Wschodzie — więzienie dożywotne.

Poznający rozwój umysłowości polskiej w XVI stuleciu ze zdumieniem spostrzegają, że zagadnienia naukowe i społeczne, które za ledwie wiek XIX podjął za granicami naszej ojczyzny, znane już były w niej podówczas i, co więcej, w życie wprowadzane, w czynie urzeczywistniane...

Tak, korzystanie z darów umysłowych niczem nieograniczone i ich do praktyki życia zastosowywanie, wyrabiając nieznaną jeszcze nigdzie krytycyzm, pozwalało naszej ojczyźnie wyprzedzać pozostałą Europę w rozwoju umysłowym i społecznym, o całe stulecia, swym zaś ówczesnym synom zapewnić najpożądańsze owoce pracy ludzkiej: ład, spokój i wolność.

To wszelako tak dawne podjęcie się pracy tej sił kraju nie wyczerpało. Zaniedbanie korzystania z darów było raczej skutkiem okoliczności postronnych, niż ich przez wczesny i późniejszy wysiłek osłabienia...

Ignacy Radliński.

KSIĄŻKA.

Kiedy mowa o reformach w szkole polskiej, trudno pominąć sprawę książki, z której uczeń i uczennica od najwcześniejszych lat, bo już w czasie przedszkolnym od chwili zdobywania umiejętności czytania żywa się jak z dobrym przyjacielem. Musimy, niestety, stwierdzić fakt, że ani wydawcy ani kierownicy szkół nie zwracają do dnia dzisiejszego uwagi na wygląd książki szkolnej, na zgodność formy jej zewnętrznej z przeznaczeniem i treścią.

Jest to, niestety, w wielkiej części wynikiem ciężkiego niedomagania naszego drukarstwa wogóle, a warszawskiego w szczególności, bo Kraków w czasie wyjątkowo krótkim, w okresie mniej więcej dziesięcioletnim, od czasu wielkiej wystawy drukarskiej, urządzonej przez T-wo „Polska sztuka stosowana” i Muzeum Narodowe, uczynił olbrzymi postęp w kierunku staranności druków. Dzisiaj druk krakowski przepełniają półki księgarskie w Warszawie, a dzieje się to skutkiem metodycznej pracy i współpracy drukarzy z artystami, to jest skutkiem zrozumienia potrzeby wyzolenia drukarstwa z ohydneho rzemiosła, jakim było w Polsce przez okres tak długi, że trudny do uwierzenia, i uczynienia go sztuką.

Okres ten w Warszawie, niestety, trwa dotąd i nie można ruszyć tego ciężkiego kamienia z miejsca, dzięki absolutnemu nieuświadomieniu publiczności, co jej do rąk podają warszawscy wydawcy. Zaledwie kilka firm wydawniczych i drukarni zdobyło się na jaki taki ruch w tej dziedzinie, ale te wysiłki giną w powodzi tandety drukarskiej.

Ani jednego kroku w kierunku zdobycia pięknych czytelnych czcionek lub w zebraniu materyału, na którymby można uczyć pracowników

drukarskich, żadnej podniety, żadnych zrzesseń, brak wszelkiej chęci i energii w kierunku uzdrowienia tej, tak pięknej ongi w Polsce sztuki—słowem okropny, tępy, beznadziejny zastój.

Stan taki wpłynął deprymująco na smak czytelnika i zdemoralizował pracowników, uczynił z nich wyrobników, bez miłości swojego fachu, bez cienia jakiegokolwiek ambicyi w ich pracy, a z czytelników wytworzył stado, które pozwala bezkarnie strzydz z siebie wełnę niesumiennemu wydawcy.

Tak jak i w innych dziedzinach naszej wytwórczości, robimy tylko tyle, byle handel szedł, byle, prześliznąć się przez życie, nazywając jednak chętnie owoce wykoszlawionej działalności naszej dorobkiem cywilizacyjnym.

W tej chwili jednak nie ma czasu na długie nanysły. Wszyscy musimy zakasać rękawy, zabrać się do pracy i wspólnie zło wyplenić. Trzeba na moment zapomnieć o zabiegach żywnościowych, obsadzić wszystkie placówki ludźmi czynnymi, choćby o najznikomsze dziedziny życia chodziło. Gdy z okopów powrócą ci, co najlepszą obrali częśćkę w pracy narodowej, niechże znajdą nietylko pełne spiżarnie i całe podeszwy, ale piękne i mocne rusztowanie pod budowę przyszłego życia narodowego. W imię też tej przyszłości zwracam się do grona nauczycieli, a następnie do wydawców i drukarzy, aby krytycznym okiem spojrzeli na swój stosunek do książki.

Bo cóż my dajemy dzieciom naszym. Książki, z których się one uczą poznawać wielkie czarowne tajemnice przyrody, toż to łachmany niegodne czystej duszy dziecka, bez miłości dla niego stworzone. Czyż nie zniechęcamy ich temi nudnemi, bezdusznemi książkami do zdobywania wiedzy. Książ-

ka dziecka winna wszak być jego najukochańszym przyjacielem, a cóż my z niej robimy?

Nie wolno w dziecinnej duszy niszczyć ani odrobiny przynależności jej do najpiękniejszych zjawisk przyrody, nie wolno jej wypaczać przez podawanie wiedzy w formie zewnętrznej najelementarniejszego smaku pozbawionej.

Ci, którym kiedyś nieśliśmy cywilizację, są dziś naszymi nauczycielami na polu wydawania książki dziecinnej i szkolnej. Panowie wydawcy i drukarze, czyż nie zarumienicie się w świadomości tego upadku! Czybaż sami nie macie dzieci.

Doprawdy, krzywda, którą czynimy dzieciom naszym, domaga się, aby po nazwisku wymienić owych specjalistów, trucicieli duszy i organizmu dziecka, owych spekulantów na nędzę rysownika i pośredników firm obcych, które, nie mogąc zbyć tych różnych okropności w swoim kraju, już estetycznie wyrobionymi, zwalają to wszystko do nas, jakby do kraju dzikich zulusów. Bojkotem odpowiada się w uczciwym i mądrym społeczeństwie na takie zrozumienie obowiązków wydawcy.

Spójrzmy na książkę szkolną. Weźmy do ręki zbiór zadań arytmetycznych, książkę do nauki przyrody i geografii i t. p. Jak to niechlujnie drukowane, papier bibulasty, słaby, tandetna oprawa. Pomijając już niezbyt sumienną korektę błędów, zwrócić pragnę uwagę na dobór czonek najrozmaitszego gatunku, zbitych i nieczytelnych, na złe rozstawianie liter, ich skalę, małe od tępy, druk szary, mętny, krój pozbawiony wszelkiego wdzięku. Całość godna oficyny drukarskiej z jakiegoś Pacanowa, ale przynosząca hańbę drukarzom warszawskim. Choćbyśmy zapomniaли o moralnym wpływie złe wydanej książki, o przyzwyczajaniu do tandety, to czyż możemy pominąć milczeniem, ile wy-

dane u nas książki nakrzywiły dziecinnych kregosłupów i oślepiły niewinnych oczów dziecinnych?

Lekarze szkolni kategorycznie muszą zażądać innej książki w szkole. Mówię żądać dlatego, że żadna książka nie ma takiej pewności, iż będzie sprzedana, jak właśnie książka szkolna, a zatem niema dla nikogo wymówki, że się nie opłaci.

Ilustracje, podawane w książce szkolnej, ze starych zniszczonych klisz odbijane, brak w wypisach polskich lub historii kopii z obrazów polskich artystów lub portretów z pięknych starych polskich sztychów, wszystko to przyczynia się do odsunięcia miłości dziecka do kraju, przeszłości i wielkich czynów znakomych mężów naszych na daleką metę.

Na ścianach szkolnej izby zamiast widoków Neapolu, Colosseum lub świątyni greckiej winny wisieć kopie obrazów pierwszorzędnych polskich artystów, wizerunki wielkich Polaków w artystycznej technice graficznej przedstawione, a w braku tychże fotografie widoków polskiej przyrody, pamiątkowych budowli, pięknego starożytnego budownictwa polskiego i t. d., aby nic nie przepadało dla dziecka, co urabia duszę jego na polską. Dość będzie czasu, gdy w klasach starszych ukazemy młodzieży, co poza naszym krajem istnieje pięknego na świecie. Ale od rozbudzenia miłości do własnej ziemi zaczynamy, jak to czynią wszystkie mądre i mocne narody.

Jesteśmy wciąż konsumentami owoców pracy innych narodów, nie zawsze dobrze wybierając, a nie zastanawiamy się nad tem, czy jesteśmy narodem, mającym odrębne cechy i wartości duchowe, a choćby i wady, które naprawić trzeba.

Drukarze nasi dużo mają na sumieniu i czas jest wielki, aby pomyśleli o uzdrowieniu tej gałęzi pracy w sposób trwałe, to znaczy taki, któryby u-

czynił niemożliwym powrót do tego niskiego stanu, w jakim się dzisiaj drukarstwo nasze znajduje.

Niechże się stanie wreszcie książka polska nasieniem owego czynnego żywota, niech nie dotykają jej więcej brudne ręce oprawców i lichwiarzy drukarskich, niechaj zrozumie wydawca i drukarz jej cudowne posłannictwo w pracy narodu i ustroi ją w sukien-

kę, godną tego posłannictwa. Dajcie książce dziecinnej jasne czyste oblicze dziecka, idącego do pierwszej komunii. Niechaj zewrze się w mocnym uścisku jej wyraz zewnętrzny z cudowną potęgą polskiego słowa i niech promienieje doskonałością czynu sama w sobie, książka, która światło niesie.

Edward Trojanowski.

Pójdziemy do szkoły...

— ...*Deus in adjutorium meum intende!*...

Po nierównym, ostrym bruku, przez zaułki, zamieszkiwane przez nędzarzów, spieszy ksiądz, szepcząc urywane słowa modlitwy.

— ...*In adjutorium...* i gdzież to może być?... *meum...* — noga księdza potraça o jakiś łachman wstretny — *intende!*... na prawo, czy na lewo?

Kapłan idzie dalej. Już i ostrych kamieni nierównego bruku zabrakło, gdzie stąpisz, grzązkie, cuchnące błoto. Niekiedy obdartus jaki przejdzie przez drogę, a podniósłszy ku księdzu twarz wynędzniałą, lub od pijaństwa obrzękłą, patrzy nań świecącemi chytrąściami oczyma.

Ksiądz usiłuje przypomnieć sobie:

— Siostra mówiła: na prawo... potem wprost... znów na prawo... na lewo... parkan... ostatni, jakby w ziemię zapadły dom... *In adjutorium meum intende!*...

Ksiądz posuwa się wzdłuż parkanu. W oknach niskiego domku ukazują się głów kilka; ciekawe spojrzenia gonią za kapłanem.

— Patrzaj, Jóźka, ksiądz! — woła ktoś głośno.

— Gdzie?

— A dyć idzie...

— Musi, do starego Tomasza...

Ksiądz tymczasem wypytuje napotkaną babinę, która mu się mniej odrażającą wydała, o ostateczne wskazówki.

— Jak? Ogarek? nie znam... nie znam, proszę dobrodzieja... Tomasz? a już wiem!... te ten z krzywą gębą... tędy... proszę dobrodzieja... w tej sieni na lewo, ostatnie drzwi... takie niziutkie... w samym kącie...

*
*
*

Ksiądz puka do drzwi, wskazanych przez babinę — nie czekując zezwolenia — otwiera je. Wchodzi za próg, drzwi zamyka za sobą, lecz w tejże chwili cofa się. Uderza go tak ciężkie, przesycone złymi wyziewami powietrze, że go o zawrót głowy przyprawia. Czempredzej znów drzwi otwiera.

— Drzwi zamykać! drzwi zamykać!... — odzywa się gniewnie chrapliwy głos z kąta.

Pod ścianą, na żelaznem, kulawem łóżku, zaslanem łachmanami, otulony w brudne szmaty, leży człowiek, już do umarłego podobny.

Gdy kaszle, pierś jego wznosi się, wzdyma niepomiernie, zda się pęknać musi, poczem zapada z rżeniem straszliwym.

— Czy bardzo was boli? — pyta ksiądz z współczuciem, zbliżając się do łóżka.

Chory obrzuca pytającego niechętnem, nieufnem spojrzeniem i próbuje unieść się. I on jęczy i łóżko pod nim wtóruje mu żałością, jakby i ono dość już miało bezustannych wysiłków.

Ksiądz przysuwa sobie jedyne, połamane krzesło, mimowiednym ruchem unosi sutannę i poczyną mówić.

Dobry to człek, ten ksiądz, a taki jeszcze młody. Szybko przywyka do duszącej go atmosfery i mówi, mówi tak łagodnie, serdecznie...

Nędzarsz zrazu zachnął się z błyskiem dziwnej zaciętości w gasnących oczach, odwrócił się do ściany i słuchać nie chciał, — po chwili słuchał obojętnie, wreszcie zwolna twarz zwrócił ku mówiącemu i słuchał weń zapatrzony. A ksiądz mówił nieprzerwanie, z jednakiem zawsze serdecznem współczuciem, z jednaką dobrocią.

Skończył, zaległa cisza.

Chory przerwał ją pierwszy.

— Czy wiecie, co mnie trąpi okrutnie... okrutnie... to to, że ja stąd odchodzę w takiej nędzy... niemam nawet koszuli na grzbiecie... póki tu jestem, mniejsza o to... ale tak odejść... — szarpnął kościstemi rękami pierś wychudłą i z nowym wysiłkiem, z nowym buntem w zapadłych, cieniem śmierci przysłoniętych oczach, rzucił chrapliwie: — czy myślicie, że gdyby naprawdę Bóg był nad nami, pozwoliby mi tak zdychać... jak psu...? bez koszuli?... jakżeż mnie bez niej pochowają... — jak..?

Znać myśl o koszuli była ostatnią, upartą myślą, tkwiącą z chorobliwą zaciętością w mózgu umierającego.

— Czy tylko o to wam chodzi? — pyta ksiądz ze słodkim uśmiechem.

— Bogać tylko o to... Dobrze to mówić komuś, kto nie zapragnął niczego... ale my zdychamy z głodu... i mój Antek zdechnie... albo pójdzie kraść... może i jego pochowają bez koszuli... bez koszuli, jak mnie... jak psa...

Ksiądz nie namyśla się ani sekundy. W jednym mgnieniu oka zamyka drzwi na zasuwkę, staje w głowach łóżka, tak, żeby go chory widzieć nie mógł i po chwili... podaje mu własną swą koszulę.

— Co to?... dla mnie...? koszula... prawdziwa koszula... — bełkoce nędzarsz. — Zaraz ją wdzieję... zaraz... nigdy jeszcze nie miałem takiej w ręku... — mówi gorączkowo, jakby w obawie, żeby mu tego skarbu nie odebrano.

Ksiądz, zapanowawszy nad odrazą, dopomaga nędzarszowi wdziać koszulę. Dziecięca radość jaśnieje w oczach umierającego.

— A widzisz, biedaku — uśmiecha się kapłan z łagodną powagą, — widzisz, że jest Bóg nad nami... Trzeba Go przebłagać za winy wszelkie... I On był biednym i kochał maluczkich i nieszczęśliwych... Ty cierpisz... masz nędzną izbę... zabrakło dziś chleba... ale masz choć dach nad głową... On miał tylko krzyż... No, no, pogadamy jeszcze, przyjacielu, jak to tam bywało, będziemy mieli pewnie dużo do roboty...

* * *

W godzinę później, ksiądz powraca krokiem lżejszym, aniżeli był przyszedł. Towarzyszą mu znowu ciekawe spojrzenia, szepty, uwagi gło-

śne, ale on nie widzi nic i nie słyszy. Idzie w skupieniu, szczęśliwy, że na-
zajutrz powróci tutaj i spełni obowiązek swego powołania.

Jasne, wiosenne słońce rzuca na ziemię pierwsze gorące promienie, po-
wietrze w zaułku wydaje się księdzu mniej przykre, otoczenie mniej wstręt-
ne, wiosenne słońce to zawsze nowa radość życia, bezwiednie budzi nadzie-
je... Mija parkan, mija niziuteńki domek, gdy nagle, niewiadomo skąd, świ-
snęło coś w powietrzu i stłuczona butelka, napelciona brudną wodą, obryz-
guje sutannę.

Ksiądz zatrzymuje się zdumiony, wyjmuje chustkę, ociera ubranie
i rozgląda się, żeby dojrzeć, skąd mógł pochodzić nieprzewidziany pocisk.
Wtem, pod ścianą narożnego domku spostrzega wyrostka, może dwunastolet-
niego, napół schowanego za drzwiami odemkniętymi i schylającego się właśnie
po jakiś przedmiot, leżący na ziemi, którym zwykł się widocznie cisnąć
znowu w księdza.

Krew zakipiała w słudze Bożym.

Obiema rękami ujmując sutannę i puszcza się w pogoń za chłopcem. Gniew
zwykły, gniew człowieka niesłusznie skrzywdzonego, unosi go i dodaje mu
czyżości. Już, już dogania wyrostka, który umyka co ma sił.

Biegną wzdłuż parkanu, chłopak dopada wreszcie ostatniego domku,
znika w sieni i wrzeszczy przeraźliwie, jakby go zarzynano.

— Tatusiu! tatusiu! ksiądz chce mnie bić!..

Za chłopcem wbiega ksiądz zdyszany, czerwony, z kapeluszem w rę-
ku, z pozlepianymi włosami nad czołem.

— Co tam?... co się dzieje..?

Chory porusza się z wysiłkiem a w oczach jego widnieje śmiertelny
przestрах.

Ksiądz siada przy łóżku, ociera pot z czoła i mówi z prostotą:

— E, to nic... to tylko wasz syn chciał mi podziękować...

Oczy chłopca spotykają się ze wzrokiem kapłana.

Lecz w tym wzroku niema już gniewu, jeno jest wielka, bezmierna
dobroć i równie wielki smutek.

Chłopiec przez chwilę patrzy z podelbą, poczem posuwa się niezgra-
bnie i całuje księdza w rękę.

Ten zaś głowę chłopca tuli do piersi i szeptem mu do ucha:

— Ja tu wrócę jutro... pójdziemy do szkoły.*

Zofja Seidlerowa.

Nic tak nie wyczerpuje, jak wysi-
łek, którego cel jest nam nieznany lub
nienawistny. Gdy sobie uprzytomni-
my, ile godzin pracy trawili nasi uc-
niowie na przełamywanie trudności
językowych, na przyswajanie sobie
wiadomości, bądź nic wspólnego z nau-
ką nie mających, bądź też tendencyjnie
fałszywych, które potem samokształ-
ceniem dopełniać i prostować trzeba
było, to zubożenie zasobów energii
we współczesnym pokoleniu nie po-
winno nas dziwić.

Wszelkie dzisiejsze niedobory na-
szej zdolności czynu bilansować mo-
żemy na debet działania obcej szko-
ły i wszechwładnego w niej intruza
rzetelnej pedagogii, ducha polityki wy-
naradawiającej. Dopiero posiadanie na-
rodowej szkoły ułatwi nam poweto-
wanie strat i pozwoli gromadzić po-
trosze te kapitały duchowe, z których
obierała nas szkoła nacjonalistyczna,
ten potwór nowożytny, typowe na-
rządzie ucisku psychicznego.

Z. Bielicka.

Oświata rządowa w Polsce zaboru rosyjskiego.

Od początku XIX wieku Warszawa i Wilno, stołeczne miasta niegdy Korony i Litwy, zostawały nieustannie prawie pod władzą albo wpływem rządów rosyjskich, które zatem powinniśmy poznać i określić, jeżeli chcemy pojąć wyobrażenie o szkolnictwie naszym w tych dzielnicach Polski. Otóż natchnienie pierwotne i hasło ożywcze, przyjęte, ukochane i wciąż przez półtora wieku powtarzane przez naród wielkorosyjski, wyszło od Katarzyny II. W r. 1790 d. 4 października, gdy już rozszerzyła posiadłości swoje do brzegów morza Czarnego oraz na województwa polskie nad Dźwiną i poza Dnieprem, napisała ona w reskrypcie do ministra Mordwinowa, że historia Rosyi ma dążyć do wytworzenia jak największej sławy dla Cesarstwa i zachęty dla potomności (pour la plus grande gloire de l'Empire et servit à la postérité d'emulation).

Pozornie tak idealne patryotyczne pojęcie zawierało przecież całkowitą treść polityki wojowniczej, podbojowej, zdobywczej, a skoro się dostało na drodze wykonawczej w ręce wyćwiczonej biurokracji, wnet stało się gwiazdą przewodnią w akcyi wynaradawiania, wywłaszczania podbitych krajów z dobytku duchowego i materyalnego. Na wielką skalę przeprowadzone było nawracanie unitów na prawosławie w 1793 r. z niewielkim jednakże wpływem na szkolnictwo, gdyż sami unicy posiadali szkoły liczne bazylikańskie, a łacinnicy pijarskie, bernardyńskie, dominikańskie, protestanci kilka, wszyscy na ogół wyżej stu. Rząd rosyjski nie miał odpowiedniej liczby nauczycieli, żeby tych księży zastąpić, więc wysyłał tylko elementarze drukowane pismem słowiańskiem i grażdanką, katechizmy, krótkie wykłady historii rosyjskiej. Tym sposobem szkoły polskie w dzielnicach rosyjskiej wkroczyły w obręb XIX wieku prawie bez zmiany, tak co do programów, jak co do osób, o ile miejsc wakuujących nie pozajmowali przybysze z Rosyi.

Założono wszakże węgiel kamienny pod fałsz historyczny wiekopomny: urzędowo w każdym dokumencie instytucyi rządowych lub społecznych zamieszczano nazwę kraju „niedawno przywróconego” dla takich miejsc, które nigdy do państwa wielkorosyjskiego nie należały. Uzasadnienie dokumentalne tej nazwy polegało tylko na medalu pamiątkowym rozbioru Polski, mianowicie, na napisie, ułożonym również przez Katarzynę II: „Ottorgnutaja wozwratich”. Więc i Uniwersytet Wileński otrzymał taką samą metrykę, chociaż nigdy, nawet w czasach wojennych, nie znajdował się pod berłem carów.

Zresztą metryka ta nie miała praktycznego znaczenia w ciągu pierwszej ćwierci XIX wieku z powodu nienawiści, jaką jawnie okazywał cesarz Paweł I dla pamięci i polityki matki swojej, a następnie skutkiem czulej przyjaźni, jaką powziął Aleksander I do Adama Jerzego Czartoryskiego. Zdziwiająca to była przyjaźń, czy rozmiłowanie się samowładnego imperatora w jeńcu czyli zakładniku, sprowadzonym przez Katarzynę do Petersburga — zdziwiająca, szczególnie z tego względu, że Czartoryski z zupełną szczerością zwierzał się z marzeń swoich o wskrzeszeniu Polski przedrozbiorowej, a służbę na urzędzie rosyjskim przyjął pod niezwykłym warunkiem niepobierania pensyi etatowej i nieprzyjmowania orderów lub dekoracyi jakichkolwiek. Należał jednakże do najzaufañszej, tajemnej rady cesarskiej razem z 4-ma Rosyanami, nad którymi miał przewagę we wpływie na umysł cesarza. Z tej tajnej rady wyszły pierwsze reformy państwowe, jak utworzenie ministeryum w 1802 r. i 6-ciu okręgów szkolnych. Z tych dwa — Wileński i Charkowski objęły gubernie zachodnie, wówczas zwane jeszcze polskimi, i oddane były pod zarząd Polaków, mianowicie: Seweryna hr. Potockiego Charkowski i Wileński Adama Czartoryskiego. Mieli tytuł kuratorów i godnie ten tytuł nosili. Szczególnie Czartoryski upamiętnił się w ciągu długoletniego urzędowania 1803 — 1824 utrzymaniem nauk na wysokim poziomie, przy zupełnym samorządzie szkolnym pod kierunkiem rektora uniwersytetu i przy niezależności finansowej, gdy fundusze na wydatki płynęły z dóbr ziemskich, znajdujących się w posiadaniu tegoż rektora i rady uniwersyteckiej. Przełożeni szkół średnich i niższych składali rektorowi swoje raporty i wykonywali jego zarządzenia. Wizytatorowie sprawowali nadzór nad biegiem czynności, już to pedagogicznych, już administracyjnych. I nastal wówczas świetny okres literatury i nauki pol-

skiej: z Teorią Jestestw Organicznych Jędrzeja, matematycznymi pracami Jana Śniadeckich, z Algebrą Wyrwicza, Fizyką Drzewińskiego, botanicznymi dziełami Jundziła i Kluka, z geograficznymi i historycznymi badaniami Lelwela, Nauką o Handlu prof. Waskkiewicza, z poezjami Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, z niewdzięcznym zaprzaniem, ale wydatnym przecie orientalistą, Sękowskim. Zabłysło też lubo mniej świetne ognisko na Wołyniu — Lyceum Krzemienieckie, utwór przedwcześnie (bo w 1813 r.) zmarłego fundatora, Tadeusza Czackiego.

Tak więc na całej przestrzeni 8-miu gubernii litewsko-ruskich istniała szkoła polska jak za czasów Rzeczypospolitej, a nawet przewyższała ją i dosięgała niebywałego dawniej rozkwitu. Zasługi największe przyznać należy Czartoryskiemu, Janowi Śniadeckiemu, Czackiemu, ale stały się one możliwymi dopiero przy łaskawem, życzliwem zachowywaniu się zwierzchniczych władz politycznych. Z nizin biurokracyi odzywały się przestrogi o niebezpiecznym wpływie polszczyzny republikańskiej na monarchiczne pojęcia i uczucia Rosyan. lecz denuncyacyjne takie nie wywierały wrażenia na młodej radzie koronnej i na monarsze, wychowanym przez Szwajcara Laharpe'a, zwolennika literatury francuskiej filozoficznej. Pierwszy minister Oświecenia Narodowego, hr. Piotr Zawadowski, znał łacinę ze szkoły jezuickiej, mówił biegle po polsku i gości w domu swoim częstował potrawami polskimi. Zachwiał się Czartoryski po kilkunasto-miesięcznym sprawowaniu urzędu ministra spraw zagranicznych. bo odbudowania Polski nie osiągnął i niechętnie ku sobie uczucia Rosyan zawistnych zastrzył. ale po ustąpieniu z tak wpływowego stanowiska, wrócił do swych zatrudnień oświatowych bez przeszkody. Bywał tylko prywatnym doradcą, osobistym przyjacielem cesarza podczas wielkich wojen napoleońskich i na Kongresie Wiedeńskim urzędowego udziału w tworzeniu Królestwa Polskiego (kongresowego) nie miał. Ta przydzielona do Rosyi częśćka Polski otrzymała oddzielny własny Uniwersytet Królewski i utworzyła oddzielny Okręg Naukowy.

Punktem zwrotnym w stosunku Aleksandra I do sprawy polskiej, jakkolwiek jeszcze nie w zakresie edukacyjnym, wypadnie uznać zapewne list, wystosowany do niego przez Karamzina d. 17 października 1819 r. po ustnej rozmowie, w której poruszony był zamiar odbudowania Polski w „całości”, z obowiązku chrześcijanina, czyniącego dobrze nieprzyjaciółom. W tonie uroczystym „jak się mówi z Bogiem i sumieniem” autor Historji Państwa Rysyjskiego i utalentowany literat, zaszczycony niepraktykowanym dotychczas w Rosyi tytułem Historyografa, zaczął od rozbioru teologicznego przykazania o miłości bliźniego, ale zaraz zstąpił do obowiązków politycznych monarchy względem własnych współrodaków, przypomniał przysięgę monarsza, poręczającą zachowanie nabytych poprzednio posiadłości. „Czyliż mógłbyś ze spokojnem sumieniem oderwać od nas Białoruś, Litwę, Wołyń, Podole, zatwierdzone na własność Rosyi jeszcze przed Twem panowaniem, a będące niegdyś rdzennym dziedzictwem (korennyim dostojaniem) Rosyi łącznie z Galicyą. Jeżeli oddasz je, to zażądają od Ciebie jeszcze Kijowa, Czernihowa, Smoleńska, ponieważ to wszystko należało przez czas długi do wrogiej Litwy... Gdyby odrodziła się dawna Polska (Boże zachowaj) i wydała historyka godnego i szczerego, beznamiętnego, ten potępiłby wspaniałomyślność Twoją cesarzu, jako szkodliwą dla Twojej prawdziwej Ojczyzny, dobrej, potężnej Rosyi! Ten historyk powiedziałby wcale nie to, co mówić mogą Tobie dzisiaj Polacy”.

Dziś po upływie całkowitego stulecia „godny, szczerzy i beznamiętny historyk polski” orzeka bez wahania, że Karamzyn mylną dawał informację o „wrogiej Litwie”, która W. Księstwo tworzyła na pustkowiach, pozostałych, po niszczeniu najeździe Tatarów 1240 r., że za Kijów, Czernihów, Smoleńsk zaczyna z nią szereg wojen Moskwa dopiero od 1500 r., że zakończyła się ta walka tryumfem programu podbojowego, wojowniczego, traktatem tak nazwanego wiecznego pokoju w 1686 r. spisany, a w 1772 r. przez rozbiór zniweczonym. Aleksander wszakże nie wyrozumiał tego kilkuwiekowego proceduru i ugiął się pod powagę najznakomitszego, a właściwie jedyne go wówczas historyka Rosyi i zaniechał projektów odbudowania całkowitej Polski lub przyłączenia gubernii zachodnich do zdobytego na kongresie Wiedeńskim Królestwa Polskiego. Nie dotrzymał obietnic, danych Kościuszcze, który wówczas umarł (15 października 1817 r.), jako wygnaniec dobrowolny w republikańskiej Szwajcaryi.

Nad Okręgiem naukowym Wileńskim zaczęły się niebawem gromadzić gro-

żne chmury. W procesie politycznym Filaretów wynurzył się jako duch reakcyjny, zmieniony do niepoznania dawny członek rady tajnej młodzieńczej, Nowosilcow i Czartoryski, jego współtowarzysz, przyjaciel, protektor okazał się bezsilnym do obrony młodzieży uniwersyteckiej, skazanej na wygnanie do Rosji: więc na własną usilną prośbę otrzymał dymisyę z urzędu kuratora d. 5. kwietnia 1824 r.

W roku następnym 1825 zaczęło się panowanie Mikołaja I, który, pałając nienawiścią do rewolucyj i rządów konstytucyjnych, zamierzył wysłać armię polską w awangardzie przeciwko Francji i tem wywołał powstanie w Królestwie Polskiem. Uchwała sejmowa, odsądzająca od tronu polskiego całą dynastję Romanowów, uraziła ukoronowanego króla-cara tak głęboko, że już przez całe życie karał naród polski i zaszczerpał nienawiść do niego w sercach rosyjskich. Wykonawcą jego gniewnych ukazów i rozkazów był zdobywca Warszawy, Paszkiewicz hrabia Erywański, mianowany księciem Warszawskim. Konstytucya 1815 poszła w niepamięć.

Ciężkie, straszne były ciosy, zadawane odtąd narodowi polskiemu i wszelkiej osobistości, któraby do jedności z Polską poczuwała się. Wyszczególniać lub charakteryzować tę martyrologię nie będziemy na tem miejscu. Ograniczymy się do szkolnictwa i to w zarysach szkieletowych.

Szkoły wyższe, główne, a więc oba uniwersytety, warszawski i wileński zostały zniszczone. Ten ostatni za poduszczeniem gubernatora mohylowskiego, że należy zabezpieczyć Białorusinów od postępującej szybko polonizacji. Nie zdołali go uratować od takiego oskarżenia nawet dygnitarze rosyjscy i sam Nowosilcow. Uniwersytet ocalał niby: przeniesiony do Kijowa i nazwany uniwersytetem św. Włodzimierza, w rzeczy samej zatracił istotę swoją, gdy z polskiej stał się instytucją rosyjską z nowym personelem i językiem wykładowym. Biblioteka, archiwa i gabinety były przewożone i rozpakowane na nowej siedzibie. Zbiory Warszawskiego zabierane były po części do Petersburga. Zamknięto również Lyceum Krzemienieckie i Towarzystwo Przyjaciół Nauk czyli akademię naszą. Okręgi naukowe przekształciły się na kancelarye zapełniane biurokratami, wprawnymi do funkcji policyjnych, a nie obeznanymi z nauką lub literaturą. Z czasem urząd kuratora, po przeniesieniu Nowosilcowa do Petersburga, był piastowany przez generałów ze służby czynnej wojskowej. Tak np. w piątym dziesięcioleciu (około r. 1850) kuratorami dwu Okręgów (Kijowskiego i Wileńskiego) byli dwaj bracia Bibikowowie, generałowie-adjutantci cesarscy, zarazem generał-gubernatorowie, zwierzchnicy nad gubernatorami cywilnymi, waleczni (bo jeden z nich postradł rękę na wojnie) ale z naukami nie mający nic do czynienia. Nauki nawet były źle widziane, podejrzane o liberalizm i usposabianie młodzieży do rewolucji. Mikołaj I wykreślił filozofię całkiem z programów uniwersyteckich, pozwoili tylko na wykład logiki i psychologii przez popów prawosławnych. Inspektor ze swymi pomocnikami t. zw. subami (sub-inspektorami) pilnował starannie, żeby studenci chodzili po ulicach i audytoryach w mundurach przepisanego kroju, zapiętych na wszystkie guziki i haftki, żeby robili front przed oficerami i salutowali ich po wojskowemu. Przepisana była liczba 300 jako najwyższa do przyjęcia zgłaszających się kandydatów na trzy wydziały: matematyczny, prawny i historyczno-filologiczny; liczbę nieograniczoną można było przyjmować tylko na wydział medyczny, uznawany zawsze za potrzebny i pożyteczny dla wojska. Nareszcie przed wojną wschodnią 1853 r. kazano uczyć się musztry żołnierskiej na wyższych kursach wydziałów wyzwolonych. Polacy, nie mając własnego uniwersytetu, mogli udawać się do wszystkich, rosyjskich, o ile znaleźć zdołali wakanse wolne.

Łatwo jest domyśleć się, jaka była wartość wykładów z katedry, pracy w laboratoriach i literatury naukowej, trapionej nadto przez cenzurę. Zakłady specjalne, jak Akademię Duchowne rzymsko-katolickie i prawosławne, podnieść poziomu ogólnego nie mogły, zwłaszcza, gdy młodzież była źle przygotowana w szkołach średnich.

Bo cóż się działo z temi szkołami?

Już przed powstaniem w Kongresówce, za wpływem Nowosilcowa z woli Wielkiego Księcia Konstantego, zmniejszała się liczba szkół i uczniów; po roku zaś 1831 wciąż kasowane były szkoły przy klasztorach, potem same klasztory, a ministerjum oświecenia dążyło do możliwie najrychlejszego urzędziwistnienia uproszczonej tabeli: w każdej gubernii mają być szkołyki jednoklaszowe parafialne dla pospółstwa do nauki czytania i pisania, w każdym powie-

cie jedna szkoła 4 lub 5-klasowa t. zw. powiatowa dla mieszczaństwa i szlachty wiejskiej; stąd żądni wiedzy młodzieńcy mogli przedostawać się do gimnazjum gubernialnego 7-klasowego, jednego na całą gubernię, chociażby bardzo rozległą. Rządzący tym kompleksem dyrektor gubernialny obowiązany był wizytować podwładne szkoły, lecz do dalszych miast nie zdążył dojeżdżać latami, zwłaszcza przy uciążliwych podróżach na wózkach pocztowych, bez dróg żelaznych. Dobór nauczycieli zwykle był nieudatny, bo ręką niewykształconego zwierzchnika robiony, z lekceważeniem kwalifikacji pedagogicznych; nastęrczał tylko materiału dla uczniów do wyszydzenia swych nauczycieli nieuków. Skracano kursy przez wykreślanie zbyt technicznych jakoby ustępów z podręcznika, a dla ukrycia szacherki profesor leniuch zawierał z uczniami podstępne umowy co do znaczenia biletów egzaminacyjnych, zaginania stronie na tłumaczeniach autorów i t. p. Za pomocą takich figlów udawały się weale pomyślnie egzamina, odbywane przed komisjami z paradą, za stołem przykrytym purpurą, czasem z frendzlą złotą.

Przy takich praktykach o rozkrzewianiu i podwyższaniu poziomu wiedzy nie mogło być mowy. Raczej zagrażało młodzieńcowi polskiemu zanurzenie w barbarzyństwo, co było nawet dla rosyjskich polityków pożądane. Wszak z czasem słynny Katkow, w zapędzie polemicznym odezwał się otwarcie: „my was dogłupimy do swego poziomu”. Oddziaływanie samoobroncze wychodziło z łona samej młodzieży. Jak niegdyś w Wilnie, tak później w Rosyi, w Moskwie i Petersburgu, potworzyły się stowarzyszenia polskie, które składowym grosem fundowały do swego użytku biblioteki—jedną nawpół jawną i drugą ściśle sekretną, z dziełami zakazanemi przez cenzurę.

Wojna Wschodnia 1853 — 1856 stała się zamknięciem panowania Mikołaja I. Za nim w ślad zeszedł do grobu Paskiewicz. Okazało się, że wyrządzili oni wielkie szkody i nieoszacowane straty narodowi polskiemu, ale pozabawili też Rosję uroku tej wszechpotęgi, jakim cieszyła się na Kongresie Wiedeńskim 1815 r. Kongres paryski 1856 był dowodem jej porażki przez mocarstwa zachodnie głównie wyższością oświaty.

Aleksander II wstępował na tron z uznaniem i zamierzeniem reformy. Więc i do Polaków zwrócił się z łaskawemi gestami, słowami, nawet czynami. Bala w Wilnie i w Mińsku były opłacone przypuszczeniem jednego nauczyciela do kompletu gimnazjalnego, acz z mniejszą od innych płacą, ale z prawem wykładu języka i literatury po polsku. Blizszemu porozumieniu z narodem przeszkodziło wyrzeczone w Warszawie nieszczerne słowko: Point de réveries. W tem słówku ukrywała się wyrzeczenie się dawnej, niedotrzymanej przez Aleksandra I obietnicy o przyłączeniu gubernii Zachodnich do Królestwa Kongresowego. W tem też tkwiła istotna przyczyna niepowodzenia polityki margrabiego Wielopolskiego. Uzyskane przez niego instytucje samorządowe i świetny system szkolnictwa ze szkołą Główną na szczycie podobały się powszechnie, ale wyrzec się dla nich Litwy, Podola i Rusi nie chciała młodzieży, piastująca „réveries” i kierująca ruchem powstańczym. Zbrojne powstanie wybuchło w styczniu 1863 r., dotrwało do wiosny 1864 r., zakończyło się klęską zupełną, która pochłonęła niebawem świeżo utworzoną z rodzimych elementów szkołę polską.

„ Nastąpił nowy okres w stosunkach rosyjsko-polskich, nowa faza martyrologii polskiej. Zaostrzyła się nienawiść plemiennie-tradycyjna narodu rosyjskiego, pomnożone zostały sposoby ucisku i udręczeń, lecz tych wylizać ani poruszać tutaj nie będziemy. Wspominamy tylko o działalności Murawjewa na Litwie i Komitetu Urządzącego w Kongresówce. Nowe ukazały się teraz hasła i cele wytyczne polityki. Do prawosławia i samowładztwa przybył nacjonalizm (prawosławie, samodierżawie i narodność) pod zaklęciem niewzruszalnych jakoby wymagań państwowości (gosudarstwiennost’). Tej strzeżła żandarmerya, przywłaszczająca dla siebie nazwę policji państwowej (gosudarstwienaja policija). Stąd wysnuła się zasada wcielenia wszelkich prowincjonalnych odmian i odmianek do organizmu wszechrosyjskiego, który miał powiększyć się i rozrosnąć przez przyłączenie Słowiańszczyzny w myśl ideału-stowianofilów moskiewskich. Polska ze swą kulturą i mową nie była do takich widoków przydatną, więc miała być wynarodowiona doszczętnie i poddana rusyfikacji (obrusnieniu). Najłatwiej przychodziła Rosyanom akcja niszczenia Polaków i polskości. W gubernjach zachodnich przybijano ogłoszenia wszędzie, gdzie przechodzili ludzie, zakazujące mówienia i pisania rachunków po polsku.

W Kongresówce zakaz mówienia stosował się tylko do szkół, w biurach zaś rządowych trzeba było składać podania w języku rosyjskim na piśmie. Uchybienia przepisom nakazanym podlegały karom, które ścigał policyjant na posterunku, przechodząc na ulicy, pop w wagonie.

Nie wstydzili się Rosyanie rządów takich i owszem pysznili się nimi, ponieważ znajdowali aprobatę albo i podniecie u swych uczonych. Poważany profesor uniwersytetu moskiewskiego, Sołowjow Sergiusz, wynalazł terminologię i teorię historyczofizyczną o „zbieraczach ziem ruskich”, poczynając od Iwana Kalety, przypadającą doskonale do wyżej wspomnianego listu Karamzina z r. 1819. Inni badacze historycy przyjęli ten pogląd jednomyślnie, przejęli się nim sami i przeszczepili go w swoich słuchaczów, uczniów, czytelników. Z błędu chronologicznego powstał kanon historyczny narodu rosyjskiego, uznawany bez wahania przez działaczy rządowych zarówno jak rewolucyjnych, zarówno Dekabrystów, jak Spiskowców Żelabowa, którzy zamordowali Aleksandra II. Wrazło się też im do mózgu pojęcie, że skoro jakiś płat ziemi należał chociaż przez kilkanaście lat do jakiegoś pana, to już ma stanowić własność jego potomków i poddanych na wieki, na zawsze. Ceniła się jeszcze krew lub jakie inne cechy etnograficzne, a nie nie ważyła praca rozumowa, kulturalna. Więc też uczeni Rosyanie zapuszczają się gorliwie w badanie wiosek i grodów w Chełmszczyźnie, poszukują osad ruskich pod Duklą, o kilka mil od Krakowa, na Węgrzech, w Turcyi i t. p. (Szczebalskij, Barsow, Filewicz, Dobrjanskij i t. d.). Nie zaniedbywali też bliższej ludności, mianowicie Wielkiego Księstwa Litewskiego, które nazywać zaczęli od r. 1870 państwem Litewsko-Rosyjskiem (Litowsko-Ruskoje Gosudarstwo). Nie było to bezcelową igraszką filologiczną. Słusznie zauważył pewien bardzo sumienny historyk krakowski (Wiktor Czermak), że Rosyanin, zaczynając badanie, wie odrazu, jaki mu wypadnie rezultat. Jakoż pracowity badacz archiwów i autor kilku wielkich monografii, rektor uniwersytetu moskiewskiego, Lubawskij, wygadał się w I rozdziale zamykającego długoletnie studia traktatu p. t. Oczerk istoty Litowsko-Ruskiego Gosudarstwa (1910. str. 4), że już czas, aby Litwę, politycznie wcieloną od stu lat z górą do Rosyi wschodniej, zjednoczyć z nią w pojmovaniu naukowem. A był już i taki badacz (Barbaszew, 1891), który w wojskach Jagielly i Witolda, prowadzonych pod Grunwald czyli Tannenberg, dorachował się 43 chorągwi ruskich na 40 polskich i zawnioskował, że sławne zwycięstwo było tryumfem sił plemienia rosyjskiego, zgrupowanych dokoła Wilna „swego zachodniego centrum” tak samo, jak pierwsze zwycięstwo nad Tatarami na polu Kulikowem, wygrane było przez Rosyan wschodnich, zgrupowanych dokoła Moskwy.

Wprawdzie wszyscy owi uczeni uznawali istnienie Polski etnograficznej, która powinna by w imię idei panslawistycznej używać własnego języka, ale jej obszar czynili przedmiotem sporu, a biurokracya wytrwale i pomysłowo niweczyła wszelkie zarządzenia niedogodne dla rusyfikacyi. Cesarz Aleksander II wydał ukazy 1864 r. o szkołach parafialnych dla ludu z nauką w języku polskim, a kurator okręgu warszawskiego Witte chwalił się ustnie, że „wbil nóż w serce polonizmu” (wonił nóż w serdecie polonizma) swojemi zarządzeniami i ukaz nie był wykonany wcale do końca XIX w. pomimo skarg, zanoszonych do generał-gubernatorów, otwierano bowiem szkoły, ale nauczycieli mianowano Rosyan przeważnie wojskowych, nie władających mową polską. Tenże kurator przerabiał w Warszawie Szkołę Główną na uniwersytet Cesarzski-rosyjski, dając nominacye na profesorów tylko tym, którzy władali bez zarzutu językiem rosyjskim, o czem decydował sam, przychodząc osobiście na wykład próbny. Na tej zasadzie odmówił zatwierdzenia profesorowi procedury cywilnej, znakomitemu prawnikowi-cywilistcie, prokuratorowi nacelnemu senatu Chwalibogowi, ponieważ ten akcentował wyrazy rosyjskie mylnym iloczasem, nie dostrzegając wielu znaczków ostrzegawczych w rękopisie swoim.

Rusyfikacya gimnazyów i szkół niższych postępowała szybko i bez oporu. Próbowano pozyskać lud polski i litewski za pomocą elementarzyst, książek do nabożeństwa i powiastek drukowanych w języku rodzimym, ale czcionkami rosyjskimi (grażdanką). Następny kurator Apuchtin, przybywszy z głębi Rosyi do Warszawy, wkrótce zapowiedział, że się spodziewa doczekać czasu, kiedy matki będą z dziećmi swojemi rozmawiały po rosyjsku. Czas taki zakreślał liczbą 20 lat urzędowania swego. Młodzież przygnębioną została ogromem pracy i najuczciaźliwszą rachunkowością stopni egzaminacyjnych

tudzież cenzurowych. Do tyranii prześladowczej przyczyniła się reforma kierunku realnego na klasycyzm, przeprowadzona w całej Rosji przez ministra Dymistra Tołstoja z niepraktykowanym nigdy i nigdzie pośpiechem a gwałtem, ponieważ miała zabezpieczyć cesarza od zamachów skrytobójczych.

Pod koniec swego panowania Aleksander II zezwolił, aby na uniwersytecie warszawskim była wykładana literatura polska i podpisał nominację profesorską na imię Piotra Chmielowskiego, ale Apuchtin zażądał, aby wykład odbywał się w języku rosyjskim. Chmielowski odpowiedział na to żądanie podaniem się do dymisy. Zastąpił go inny kandydat, stypendysta uniwersytetu, Teodor Wierzbowski. Po śmierci Aleksandra II syn jego, Aleksander III, nacjonalista, czytający z upodobaniem historyzofię Danilewskiego o wyższości Rosji nad Europą, nad „zgniłym Zachodem”, nie pilnował wykonania myśli ojca swego o wykładach literatury polskiej, a w narodzie rosyjskim zyskał powszechne uwielbienie, spędzając z tronu bułgarskiego Aleksandra Battenberga, jedną depeszą telegraficzną. Przeprowadzenie zwłok jego z Krymu przez Moskwę do Petersburga wspaniałością őrszaku pogrzebowego i liczbą kondolencyj miało starczyć za dowód jego wszechpotęgi. Był to imponujący finał wielkości Rosji z XVIII i XIX wieków.

Panowanie Mikołaja II spotykało się z pasmem niepowodzeń i zaburzeń: wojna japońska, nieporozumienia z Dumą Państwową czyli parlamentem, rewolucje wewnątrz Wielkorosji, wreszcie wybuch obecnej wojny wszechświatowej, strasznej, niewidzianej i nie wyobrażanej dotychczas. Wypadło powołać wszystkie siły mocarstwa, wyzyskać wszystkie zasoby materyalne i umysłowe ludów rządzonych samowładnie. Wypadło porachować się też z Polakami, którym w XX-ym wieku udzielono tylko pozwolenia na wykłady niektórych przedmiotów po polsku w szkołach prywatnych, z groźną składkowego utrzymanywanych i to z wyłączeniem powiatów nadbużańskich, zaliczonych do gubernii nowej, Chełmskiej, zmniejszono liczbę posłów do Dumy i nie dopuszczano języka polskiego do rozpraw samorządowych w radach miejskich.

I oto w chwili rozpoczęcia groźnej walki wódz naczelny wszystkich armii, stryj cesarski, Mikołaj Mikołajewicz, pod dniem 1/14 sierpnia przemówił następnymi słowy w odezwie do Polaków: „Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, iż nadejdzie godzina zmartwychwstania narodu Polskiego i jego pogodzenia się braterskiego z Wielką Rosją. Wojska rosyjskie niosą wam błogą wieść tego pogodzenia. Niech znikną granice, które rozdzieliły na kawałki naród polski. Niech złączy się on w jedną całość pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska wolna pod względem wiary, języka i samorządu... Z sercem otwartem i bratersko podaną dłoń, idzie do Was na spotkanie Wielka Rosja. Wierzy ona, iż nie zardzewiał miecz, który rozgromił wroga pod Grunwaldem. Od brzegów oceanu Spokojnego do mórz Północnych dają hufce rosyjskie. Jutrzenka życia nowego świata dla Was”.

Tu zatrzymajmy się na tej spowiedzi publicznej, na wyznaniu winy dziejowej przed całym światem. Nie tylko rezultatu, ale przebiegu tej wojny kreślić nie można jeszcze. Zreasumujemy tylko dzieła przeszłości i oszacujemy ich wartość, porównując zamierzenia z rezultatami,

Hasło Katarzyny II natrafiło w duszy Rosyanina na wybujałe oddawna dążenia zdobywcze: więc się krzewiły w niej i rozrastały. Chwiejną i krótkotrwałą okazała się ideologia Aleksandra I i rozprysnęła się pod argumentem Karamzina, że klęską dla Rosji byłoby odbudowanie Polski. Eksterminacja jej, jako buntowniczego narodu, stała się celem polityki Mikołaja, której poparcia ideowego dostarczali historycy wielko-rosyjscy, ale nie udało się w wykonaniu skutkiem przytępienia umysłowego wojsk i wodzów, ujawnionego w wojnie wschodniej z Turcją, Francją, Anglią i Sardynią. Więc od czasów Aleksandra II eksterminacja została przetłomaczona na rusyfikację i przeprowadzała się delikatniej, subtelniej, skutkiem reform naśladowanych przeważnie podług wzorów Europy Zachodniej, ale bez należytego zgłębienia. Nie udało się także jak tyrania mikołajowska. Apuchtin w ciągu lat 18-tu urzędowania (1879—1897) nie nauczył matek rozmowy rosyjskiej ze swemi dziećmi przed nastaniem nowej ery — parlamentarnej czyli dumskiej. Po pierwszych niepowodzeniach wiel-

kiej wojny odkryła się mozaika niezrusyfikowanych narodowości: polskiej, rusińskiej, białoruskiej, litewskiej, niemieckiej, żydowskiej, że nie dotknijemy finlandzkiej, tatarskiej, ormiańskiej. Te wszystkie narodowości musiały przyjmować z radością i upragnieniem słowa Wielkiego Księcia. Musiały wierzyć, że obietnice jego obowiązują Rosję do zadośćuczynienia za grzech wyznany. Więc w cóż się obróciły dotychczasowe wysiłki mężów stanu rosyjskich i działalność popów, i praca szkół duchowieństwa prawosławnego, zwłaszcza klasztorów męskich i żeńskich, i agitacja czasopism, i wszelkie wywody uczonych? Czy miały wydać ostatecznie jedno tylko olbrzymie złudzenie, groźące utratą zdrowego rozumowania i zmarnowaniem zdobytej potęgi? Wszak zapowiadała się wielka krucjata Słowiańszczyzny przeciwko Germanom: czy znajdzie się dla tych maszerujących milionów wódz godny, któryby rozterki plemienne zażegnał, nienawistne uczucia wypenił i miłością braterską te rzesze zjednoczył?

Pierwsze wrażenia źle wróżyły. Wprawdzie prasa rosyjska pisała przez parę tygodni o „wskrzeszeniu” Polski, ale cenzura nie dopuściła swobodnej dyskusji nad odezwą Wielkiego Księcia, a rządzący biurokraci wyszydźali ją, nazywając: „Literaturą” t. j. utworem literackim, a nie aktem politycznym. Idea Jagiellońska, unia Lubelska Litwy z Polską 1569 r. zawsze była przez Rosyan odpychana ze wstrętem. A jestto jedyne w historii Europy zjednoczenie dużej gromady ludzi, dokonane bez oręża i utrzymywane wytrwale wśród doznanych prześladowań i niedoli. Jakkolwiekbyż możemy już dzisiaj orzec, że źle obsługiwała wychowawców swoich szkoła rosyjska zarówno przez wydawnictwa ludowe i żołnierskie, jak przez uniwersytety i przez najwybitniejszych przewodników narodu, którzy nauczyli go patrzeć daleko i nie widzieć nic jasno dokoła siebie, kłamać i nienawidzić dla patriotyizmu. Takiego ducha nie żywiła nigdy szkoła polska i niechże na przyszłość nie wyrzeka się tych skarbów miłości, które pociągały Rusinów i Litwinów do polonizacji, które tchnęły nawet w serca wojowników polskich, stojących pod bronią wobec nieprzyjaciela, szlachetne wezwania do braterstwa w imię wolności wspólnej.

Warszawa, 15/IV 1916.

Tadeusz Korzon.

STARY OBRAZEK.

Odludnego głąb zaścianka.
 Niepochwytną pełną mowy,
 Z pogrążonej w mrok alkowy
 Płynie cicha kołysanka.
 Z pogrążonej w mrok alkowy
 Płynie piosnka, rzewna, słodka,
 Cicha — jako w dzień zimowy
 Furkotanie kołowrotka...
 Płyną dźwięki, płyną, płyną,
 Monotonne dźwięczą słowa...
 Pochylona matki głowa
 Nad uspiętą drży dzieciną.

A zostawił w pustym dworze
 Zapłakanych oczu dwoje;
 A zostawił w pustym dworze
 Nad dzieciny tej kołyską
 Zbladłe w bólu i pokorze
 Czoło, co się chyli nisko...

Płynie piosnka; czasem łkanie,
 Jak łza w oku w piosnce wzbierze.
 Dźwięczy powieść o ułanie,
 O ułanie—bohaterze...

Noc grudniowa. Śnieżną bielą
 Powleczona pusta droga,
 Chłodem zionie noc złowroga.
 Chmury się na niebie ścielą.
 Zadzwoniła w próg ostroga...
 Z domu ułan wyszedł młody.
 „Żegnaj miła... w imię Boga!
 Na rycerskie lecę gody!”

Dni mijają korowody.
 Codzień zachód wieści krwawy
 Smutne wróżby i obawy —
 Nie powraca ułan młody...
 Czyż nie wróci już z wyprawy?
 Nie! niedługo, jutro może
 Wróci ułan pełen sławy,
 W opuszczonym stanie dworze!
 Może jeszcze tego ranka
 W dali ozwać się podkowoy...

Jak dalekie echo gromu,
 Końskich kopyt tętent kona...
 Postać smutnie pochylona
 Do pustego wraca domu...

Z pogrążonej w mrok alkowy
 Płynie cicha kołysanka...

Poszedł ułan, hen, na boje,
 Gdzie się chwały krwawąj zorze...

Michał Karcki.

Z dziejów tłumienia polszczyzny.

Wiadomo, że w Królestwie za czasów Apuchtina język polski w gimnazyach należał w programie szkolnym do liczby przedmiotów nadobowiązkowych, czyli pozostawiony był do woli każdego ucznia i w spisie urzędowym przedmiotów na cenzurach i świadectwach zajmował miejsce ostatnie. Sama zaś nauka tego języka zasadzała się na czytaniu i tłumaczeniu tekstu polskiego z wypisów Dubrowskiego na język rosyjski. Wypisy były liche, polszczyzna nieosobliwa, a czytanie jej i uciążliwe przekładanie na język rosyjski nie mogło się nazywać nauczaniem języka polskiego. A jednak taką przewrotną dydaktykę stosowano z polecenia Apuchtina przez szeregi lat od klasy wstępnej do 8-mej, wbrew obowiązującej ustawie i bez najmniejszej dla uczniów korzyści.

Niedosyć na tym. W przeprowadzaniu tego systemu gorliwi wykonawcy rozkazów kuratora szli jeszcze dalej. Jeden z nich, dobrze zapisany w pamięci, dyrektor gimnazjum II-go na Nowolipkach, Nikołaj Miefodicz Troickij, powziął myśl zupełnego usunięcia nauki języka polskiego z klasy 7-ej i 8-ej i uczynił to pod pozorem koniecznego wzmocnienia nauki matematyki w tych dwu klasach. Wkrótce projekt ten uzyskał aprobatę kuratora i Troickij przedstawił go radzie pedagogicznej gimnazjum, jako sprawę do wykonania konieczną. W ten sposób dwie godziny, przeznaczone w programie obowiązującym na język polski, zabrano na matematykę. Wyrządzony uszczerbek polszczyźnie miał trwać rok tylko jeden. Po roku jednak postanowienia nie zmieniono, i dalej „wzmocniano” matematykę kosztem polszczyzny przez lat kilka aż do końca rządów apuchtinowskich. Dopiero, gdy władzę kuratora objął Ligin, o którym wieść niosła, że jest zwolennikiem zasad sprawiedliwości, sprobowano dotychczasowe bezprawie usunąć.

Jeden tedy z ojców w liście, zwróconym do nowego kuratora, przedstawiał owe wyjątkowe traktowanie języka polskiego w gimnazjum II-em, gdzie przez szereg lat nauka tego języka kończy się w klasie 6-ej, a z dwóch ostatnich klas usunięto ten przedmiot zupełnie, pomimo, że ustawa obowiązująca przeznacza nań parę godzin w klasie 7-ej i 8-ej.

Treść listu, sama przez się wymowna, nie pozostała bez skutku. Niebawem Troickij wezwany był przez Ligina dla wyjaśnienia istniejącego stanu rzeczy. Postuchanie miało charakter ściśle urzędowy, sztywny, odmienny od tego, jaki nieraz bywał za Apuchtina. Motywy Troickiego o potrzebie „wzmocnienia” matematyki kosztem upośledzonego przedmiotu nie trafiły do przekonania kuratora, zwłaszcza, że owo wzmocnienie trwać miało rok jeden, a tymczasem przeciągnięto je na kilka lat następnych. Winowajca w zakończeniu rozmowy — jak twierdził świadek naoczny — otrzymał przypomnienie trzymania się obowiązującej ustawy, oraz bezzwłocznej naprawy popełnionego nadużycia. Wskutek tego Troickij, wróciwszy do gimnazjum, skierował się zaraz do obecnego Stefana Okołowa, wykładającego języki starożytne w tymże gimnazjum, z propozycją, by od dnia jutrzejszego, oprócz języka greckiego, rozpoczął wykład literatury polskiej w klasach 7-ej i 8-ej, jak tego wymagał plan nauki tego przedmiotu i... nowy kurator Ligin. Jakoż nazajutrz niezwykle wśród uczniów powstało zdziwienie, gdy do klasy 8-ej w oznaczonej godzinie, zamiast Rosyanina, „wzma-

cniającego” matematykę, wszedł Polak Okołów, który po krótkim objaśnieniu tej niespodziewanej zmiany, rozpoczął wykład historii literatury polskiej — przedmiotu w gimnazyum II-em nieznanego w planie szkolnym, dzięki samowoli dyrektora i przebiegłej jego gorliwości w tłumieniu polszczyzny.

A. A. Kryński.

MICKIEWICZ.

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą.
„Improwizacya“.

I.

Ilekrć czarne chmury lśnią na naszym niebie,
Zawsze mój duch strapiiony zwraca się do ciebie:
W Alkoran twój się wgłębiam, coś go w mroku nocy
Śpiewał, a przecie pełny jest słonecznej mocy.
Było w wyrokach naszych to stulecie twarde,
By w nas na ból spiszową uwiecznić pogardę,
Że choćby najsurowsze wały nas ciosy,
Naród umiał bez trwogi patrzeć w swoje losy —
I wiecznie-śmy czekali, że w końcu zaświeci
Ten, coś go prorokował ziemi swej — Dzień Trzeci.
Żywot nasz pełzał w cieniu tajemniczej chmury,
Co kryła niewiadome piekła lub lazury
Jutra. I gdy wokoło płamiły nas ścieki
Pospolitości — jaśniał nam ów sen daleki
Skoś mgły rzeczywistości, pełnej trosk i brudu.
Myśmy w cud nie wierzyli, a pragnęli cudu.
Duch nasz się załamywał rozdwojony w sobie.
Urodzeni w niewoli, myśmy żyli w grobie.
Niewola nasze dusze trawiła boleśnie,
Aby się z niej otrząsnąć, krążyliśmy we śnie,
Choć już utraciliśmy wiarę w sen wyzwolin.
Lecz ów sen snu był światłem naszych czarnych dolin.
Czy zakwitnie zielenią ta martwa pustynia?
Czy przyjdzie koń turecki pić wodę Horynia?
Czy ten świat się ubarwi w zmartwychwstań kolory
Podług słów księdza Marka i wróżb Wernyhory?

II.

Aż oto paszcze armat z hukiem się rozwarły.
Potęgi wszystkie w jeden huragan się zwarły.
Miliony idą przeciw milionom wrogów:
To Ragnaröck nadchodzi — to krwawy zmierzch bogów,
Co przez swoich wewnętrznych egoizmów sprzeczność
W otchłanie mroku dawną strącają społeczność.

.

III.

.

IV.

Ty, który z empirejskich patrzysz na nas dziedzin;
Ty, który widzisz jutro słonecznych nawiedzin
Tej ziemi, co w straszliwych męczarniach się łamie,
Jak matka, kiedy dziecię rodzi, mów, Adamie,
I oświeć nas, bo w ogniach wielkiej zawieruchy,
Jak liście gnane wiatrem, błądzą nasze duchy.

Już to nam złota jutrznia w oku się zapala,
Już jeno czarne zgłiszcza dostrzegamy zdala.
Ty, coś wyzywał Boga, mów nam: ta pożoga
Toż ku nowemu słońcu czy ku nocy droga?
Ty, coś mówił, że większe niż Bóg stworzysz dziwo,
Że zaśpiewasz pieśń szczęśliwą;
Ty, co w dalekie jutro zapatrzony wzrokiem,
Rycerzem byleś sprawy bożej i prorokiem:
Mów, czy godzina zbliża się, kiedy poeta
Uderzy w struny lutni hymnem Parakleta
I zabrzmi pieśnią szczęścia — w zmartwychwstań weselu!
...Gdybyż nad twoim grobem — w podziemiach Wawelu
Zabłyły ognie życia! Może niespodzianie
Geniusz twój na to wielkie święto zmartwychwstanie,
Gdy nad ziemią, co przeszła męczarnie stuletnie
Zapłoną kwieciami wiosny nieśmiertelne Kwietnie —
I gdy złocistą falą żyzne łany zboża
Zasumią wielką pieśnią od morza do morza.
A twój duch nad te złote unosząc się pola
Zagrzmie światu: umarła, umarła niewola!
Umarły mięsożerne ludzkie pokolenia!
Błysnął dzień człowieczeńskich duchów przemienienia.
Ty, coś umiał natchniony, jak orzeł skrzydlaty
Śpiewać, kiedy w tryumfie krew twą piły katy,
Jakąż byś pieśń zaśpiewał, pełną ech niebieskich,
Gdybyś ujrzał wcielenie swoich snów królewskich;
Gdyby się twe pielgrzymkie ziściły prorocstwa,
Że skończone już lata męki i sieroctwa.
Może czas w złotostrunne liry już uderzyć?
Może już czas uwierzyć?...

V.

Wiem, że nie wyjdiesz z grobu. Wiem, to baśń jest nowa.
Ale dusza pożąda wciąż objawie słowa.
Z klęsk i łez i męczarni, z żywej krwi narodu
Powstaje pieśń! Lecz nie czas jeszcze słońca wschodu.
Tak, i przemienie jeszcze wiosen szereg długi,
Zanim się purpurowe krwi ustoją strugi,
Zanim się odbudują siód spalonych chaty,
Nim świeżemi zapachy od łąk wioną kwiaty,
Nim obeszna lży sierot i wdów i kochanek,
Nim echa gromów staną się dzwonkiem sielanek;
Zanim ludzkość zrozumie, czym była ta burza,
I co się z utajonej treści jej wynurza!
Aż, gdy się z samowiedzą połączy bezwiedność
I gdy się przeciwieństwa stopią w białą jedność;
Gdy zbłękitnieją wszystkie grozy i otchłanie:
Wtedy uderzy dzwon na twoje zmartwychwstanie.
W ten dzień historia świata jawnie się rozłamie
Na dwoje. Wtedy z grobu powstaniesz, Adamie.
Geniusze zmartwychwstają w płomienne godziny.
Eschylos wyszedł z krwawych zmagañ Salaminy.
Pieśń Kastylska zagrziała na zgłiszzczach Grenady.
Z Napoleońskich ogni rodzą się Konrady
I ty zjawisz się żywy i jak bóg promienny,
Urodzony z tej wielkiej i długiej Gehenny
Stu lat krwawej niewoli — i tych lat ostatnich,
Które musiały hukiem wystrzałów armatnich
Odkupić starych grzechów ludzkości nieczystość —
I nową ludzkość w nową przybrać promienistość —
I będzie to najwyższa duchów uroczystość,
Gdy ty, zmartwychpowstały — stworzysz wielkie dziwo:
Gdy zaśpiewasz pieśń szczęśliwą!

Słuchajcie, gwiazdy, słońca, morza, huragany,
 Adam pieśń nową śpiewał Już nie ów wygnany
 Pielgrzym, już nie ów więzień, już nie ów męczennik,
 Już nie ów oniemiały od przymusu lennik:
 Duch wolny — odrodzenia przepelniony wiosną,
 Duch wolny — Adam śpiewa — śpiewa pieśń radosną,
 Nową pieśń, która wszystkie ogarnia zjawiska:
 Drga, dzwoni, tęczą plonie, promienieje, błyska.
 Iskra w niej w nieskończoną żarzy się słoneczność,
 Chwila się w niej rozdała w nieskończoną wieczność,
 A Miłość w niej jednoczy wszystkie przeciwieństwa:
 Najwyższa to jest pieśń nowego człowieczeństwa.
 Kto jest ten nowy geniusz? Jakiż duch przemawia
 Jego usta? I jaka moc się w nim objawia?
 Nie Konrad, nie Irydyon to jest, nie Anieli!
 To inny duch, jakiego dotąd nie widzieli
 Śmiertelnicy! Dziś nie zna nikt jego imienia —
 I nikt dziś nie przeczuwa jego objawienia.
 Lecz zaiste w nim będzie promiennie duch boży,
 Co naród swój jak żywą pieśń radości stworzy.

A. Lange.

Tragiczny człowiek.

W okresie prawdziwego szału „apuchtinady” najokrutniejszym wcieleniem tego systemu był dyrektor gimnazjum lubelskiego, Sengalewicz. Miał dobrze zasłużoną „sławę” tępicieła polskości, Heroda dzieci polskich. Był zarazem modelowaną figurą dyrektora i przewodnika szkoły rusefikatorskiej, zalecaną przez Apuchtina jako wzór wszystkim gimnazyom w Polsce. Prawa ręka kuratora — jak go nazywano — ręka ta stawała się mniej sroga wówczas, gdy otrzymywała sowite poręczenia od rodziców gnębionych uczniów. W całej Polsce głośne i groźne było to nazwisko. Symbol ten płoszył sen dzieciom polskim, ilekroć zanosilo się na nowe prześladowanie według wzoru „szkoły Sengalewicza”.

Gdy Apuchtin runął, upadł jego satelita. Zmiana była zresztą tylko osobista. System trwał. W bojkocie szkoły rosyjskiej przez młodzież polską tkwiły do końca motywy nienawiści, rozbudzone przez Apuchtina i głównego wykonawcę jego zleceń. Na razie jednak zeszała z „jaśni” figura Sengalewicza. Nagle ukazała się znów... w komitecie cenzury warszawskiej. Exdyrektor za dawne zasługi otrzymał, prócz

emerytury, urząd starszego cenzora. Wśród innych pism pozyskała jego opiekę prasową ówczesna „Gazeta Handlowa”. Z cenzorami, kreślącymi całe kolumny dzienników, kontakt był nieunikniony. Redaktor musiał się więc zapoznać z nowym opiekunem. Podczas pierwszej wizyty, wywołanej całym szeregiem dokuczliwych przekreślań, przekonałem się, że jest to człowiek już bardzo stary, nieco zniedołężniały i, wbrew moim obawom nieugiętości — skłonny... do kompromisu. Odtąd pożył z cenzorem było znośne. Miało tę tylko bardzo facygującą stronę, że Sengalewicz lubił odwiedzać redakcję i czynić poufne zwierzenia, którymi chciał zrehabilitować swoją przeszłość. Ponieważ były to czasy „liberalizmu” po zabójstwie Plehwego, można się było w tem dopatrywać próby naginania się do nowych prądów.

Dn. 31 października 1905 r. po wydaniu ówczesnego „manifestu konstytucyjnego”, część prasy odmówiła od razu przesyłania pism do cenzury. Pamiętam przy tej sposobności następujący zabawny epizod: Sengalewicz przez telefon dopominał się o cenzurę, a otrzymawszy odpowiedź, że

jej nie prześlemy, zatelefonował po raz wtóry, że sam przybędzie, by ją przejrzeć w redakcyi. Na to sekretarz Gazety parsknął mu śmiechem w telefon: „Nie trzeba się fatygować”.

Krótko jednak trwała radość ustroju bezcenzuralnego (przerwana zresztą narazie zawieszeniem gazet). Cenzorowie stali się niebawem, przy pozorach wolności prasy, panami życia i śmierci pism. Cenzurę rewencyjną zamieniono bowiem na cenzurę wstępną. Kontrolujący dane pismo cenzor wytaczał skargi do władzy administracyjnej lub do prokuratora. Jedno i drugie pociągało za sobą bądź wysokie kary pieniężne, bądź kary więzienia.

W r. 1906 wytoczono mi proces „o godzenie na ustrój państwa rosyjskiego” za artykuł, zamieszczony w rozgwarze rewolucyi. Przed sądem stanął jako świadek z urzędu, Sengalewicz. On oczywiście był też instygatorem. Podejrzywałem w tem odwet. Redakcja utraciła z nim wszelki kontakt od czasu zniesienia cenzury rewencyjnej, a właściwie od owej rozmowy przez telefon, która uwiadomiła go, że nie jest potrzebny.

Podczas zeznań jednak zaszła osobliwa niespodzianka. Sengalewicz począł z niezwykłą gorliwością i z całą siłą dość trudnej swej wymowy, bronić redakcyi pisma, dowodząc, że wyrokroczenia były wówczas powszechne a myśl artykułu nie jest tak zbrodnicza, jak głosi akt oskarżenia. Prokurator izby sądowej żądał, mimo to, zastosowania kary zesłania. Wyrok wypadł jednak stosunkowo łagodnie, bo skazał mnie tylko na 200 rb. grzywny.

W parę dni później przybył do redakcyi Sengalewicz. I wówczas po raz pierwszy począł mi się zwierzać z przemiany duchowej, która się w nim dokonała podczas rewolucyi. Nie wiem, czem zasłużyłem sobie na tę spowiedź, ale była ona istotnie znamienna. Opowiedział mi, że jest z urodzenia Ukra-

iniecem, że ukończył uniwersytet lwowski i wiedeński ze stopniem doktora filozofii i że gdy jako młodzieniec przygotowywał się do karyery naukowej, emisaryusze rosyjscy rozpoczęli handel o „jego duszę”.

— „Kupili mą duszę za dwa tysiące guldenów” — mówił z drżeniem w głosie. „Byłem ubogi, młody, niedoświadczony. Sprowadzili mnie do Polski, abym uczył rosyjskiego języka, ale najpierw samego mnie „okacapili”. Staczałem się po pochyłości”. Starość i rewolucya rozbudziły po niewczasie skrupuły i tęskne uczucia ku odległej przeszłości...

Potem mówił jeszcze długo, jak nie-nawidzi Moskali, którzy zdemoralizowali go i życie mu zepsuli.

Pomimo oryginalności tych wynurzeń, nie przywiązywałem do nich wagi. Nie wierzyłem w ich szczerłość. Odtąd Sengalewicz coraz częściej mnie nawiedzał i wciąż wracał do tego samego tematu. Wizyty były natrętne i trzeba je było czasami nieuprzejmie przerywać.

W październiku 1914 r., gdy nad Warszawą grzmiały salwy pierwszej ofenzywy niemieckiej, otrzymałem nieczytelnem piśmie nakreślony list od Sengalewicza. Donosił mi, że jest umierający i że pragnie przed zgonem czegoś ważnego dowiedzieć się odemnie. Gdy ociągałem się, przybył do mnie jeden z jego bliskich, ponawiając prośbę. Nie można było odmówić. Znalazłem się na ulicy Hożej w brudnem mieszkaniu Sengalewicza. Na postaniu leżał prawie już kościotrup. Kiedy chory starzec spostrzegł mnie, zwrócił się do obecnych w pokoju osób, aby nas samych pozostawiły, a potem szeptem mówił.

— Panie, ja chcę wiedzieć, co się dzieje we Lwowie. Czy *oni* są naprawdę we Lwowie i pastwią się nad tem miastem? Mnie żal mojego Lwowa. Ta mara skonać mi nie pozwala.

Tym razem czułem szczerść i tragizm w tych słowach. Widziałem, że w tym umierającym człowieku naprawdę coś mocnego się poruszyło, że ten półtrup wzbudził w sobie głęboką troskę o swoje miasto rodzinne, o swoich rodaków i że przez ostatnie dni swego życia zieje nienawiścią do „zwycięzców”, którym za srebrniki oddał się kiedyś w niewolę.

Powiedziałem mu kilka słów uspa-

kających, których bodaj już nie rozumiał, gdyż opanowała go śpiączka.

W kilkanaście dni potem umarł.

Dziś, gdy przypominamy sobie wszyscy tragiczne dzieje dawnej szkoły moskiewskiej w Polsce, odtworzyłem sobie w pamięci tę *podwójnie* tragiczną figurę — dla polskiej kultury wychowawczej i dla własnej duchowej istoty.

St. A. Kempner.

D O P O L S K I.

Tyś niema, Polsko?

Dziś, gdy się gwiazdy w otchłaniach walą,
gdy ziemia w wieńcu piorunnym stoi
a tyś w jej dłoniach krwawym sztandarem,
głównią, co gore nad światą męką,
gdy jak ocean wróg zrył cię falą,
a na twem niebie głuchom i szarem
los światów pisze się gromów ręką, —
tyś niema Polsko? I—li pisklęca
skarga nad tobą bezsilność kwili,
lichą cię lud twój stroi piosenką,
pigmeje tobie ligawki kręcą,
z gardzieli piekiel, z krateru chwili,
z najtragiczniejszej krainy świata,
w krwi kłębach szczebiot dzieciąt polata!

O wstydzie!

Tyżeś to jest, coś ongi z nad więzionej
[cieśni
rozdarła płaszcz niebiosów krzykiem Pro-
[meteja?

Tyżeś to z Alp nadchmurza, w snach o
Winkelriedzie
brała w płomień uścisku podolny szczep
[ziemi?

Ciebie czarna z mar Danta nie strachala
[knieja.

zali cię dziś Tytanów hejnał nie opieśni?
Gdzie dłoń, co twemi żyły zatarga krwa-
[wemi?

tak ninie wichry duchów w piersiach
[twych pomarły,

że nie drzysz, gdy w herojów struny brze-
[kły karły?

Zgłuchłą cię widzę, bezgłosa,—o wstydzie!
ciebie, Rozę Wenedę narodów...

Ojczyzno moja, nie byłaś ty białą ofiarą,
kiedy w błękit świętości owili cię wieszczce,
kiedy w drzewa Golgoty stroili twe dole,
i światu bok twój włóczęnią jawili przekłóty.
Wtedy nad twoich dziejów pieniącą się czarą
spomnienie przewin w dymach kłębiło się
[jeszcze,

dawny grzech ci nie zbiałał na męczeń-
[skiem czole,
a biodra jeszcze powróż okalał pokuty.
Teraz już dopelniono.

Patrzcie! Ponad sadyby w rumach, zga-
[słe zgliczszca,
nad krwi młodej potopem, rodnych dzieci
[męką,

Polska błyska ku ludom zbawienia stanicą!
Oto się głuche Słowo o Przymierzu ziszczca,
a ona zórz przyszłości skrwawicną poręką,
Niech ludy zbiegną, kłęknią, sztandar z rąk
[jej chwycącą...

Znów u dziejów zarania chmurną dziewa
[Róża,

z nad dymiących powalin wrózego ogniska,
u zdeptanych ukochań cmentarnego stosu,
witeziom jutro jawi! zwyciężkiego woza
kieleza w łunach rumaki! Z jej wdowiego

[głosu,
z jej lkań sierocych innym jutrzenny świt
[błyska...

Lecz wkoło głusza... Gdzie wy, har-
[fiarze,

coście idącą na śmierć królowę
zegnali gędźbą w wózów pieczarze?
aż na głos wróżki harfy wam śpiewne
zadźwiękły życia hymn?

Gdzieście Bojany, piewce górnej chwały?
Niemi? — — O, Święta, skrzyknij hufce
[swoje,

wskrześ z urn popiołu wenedzkich rycerzy,
rwij puklerz z piersi niewolą skarłalej,
jak Mojżesz w skałę, bij w pierś twego ludu,
niechaj ożywcze srebrem jękną zdroje,
purgura męczeństw w kwiat zapłonie cudu
i niech dwanaście harf nam zrów uderży!

Julia Dicksteinówna.

Kartka z dziejów wsi polskiej.

Wieś, z której przeszłości pragne kilka ogólnych rysów nakreślić, należała do szczęśliwych wyjątków. Wcześniej od innych pozbyła się gnębiącego jarzma pańszczyzny, należała bowiem do kompleksu dóbr narodowych, w których zasada własności gruntowej została już uchwalona w r. 1784 a przeprowadzona w r. 1794 po Sejmie Czteroletnim. Złotniki, położone w ówczesnym województwie Sandomierskiem a obecnie w gub. Kieleckiej, oczekiwały się więc wcześniej tej reformy, a ponieważ było ogólną tendencją niestworzenie osad głodowych, karłowatych ale większych 15—20 morgowych „kolonii”, więc je i tu potworzono, pozostawiając jednak znaczną część gruntów na „obszar dworski”, wydzierżawiany sąsiednim obywatelom.

Włościanie złotnicy szybko się zagospodarowali, pobudowali sobie obszerne trzyizbowe chaty, ogródkami otoczone, poprawili drogi, okopali rowami pola, z instytucji jednak kulturalnych zabiegali jedynie o szkołę, do której mieli szczególne przywiązanie, nie szczędząc na nią kosztów. Starali się też usilnie, aby ona miała typ gminny nie parafialny. Nawet w tak trudnych i pełnych ograniczeń dla szkolnictwa początkowego czasach, jak lata 1850—56, widzimy, że w Złotnikach uczą się wszyscy, rozwinięte jest bowiem silnie samokształcenie. I oto przychodzi rok 1861, a z nim ogniowa próba „obywatelstwa” włościan.

Okolica pomiędzy Jędrzejowem a Małogoszczą jest prawie ośrodkiem powstańczego ruchu, bliskość gór Świętokrzyskich z ich leśnymi ostępami, obfitość lasów w najbliższym otoczeniu sprzyjają partyzantce, mijają się więc rekonesanse, przeciągają oddziały Krzywdy (Rzewuskiego), przechodzi większa już armia Langiewicza. Podczas, gdy inne wsie, a z tych nawet Żar-

czyce, miejsce urodzenia Konarskiego, są obojętne i głuche, włościanie złotnicy biorą żywy udział w powstaniu. Idzie do niego młodzież, a starsi przychodzą jak mogą z pomocą walczącym. Płynie przez okolice „Wierna rzeka” Nida, oni jedni znają te miejsca, przez które można przeprowadzić oddziały, wiedzą, które przesmyki wiodą przez otaczające ją błota, znane im są wszystkie leśne kryjówki. W całej tej akcji odznacza się rodzina starego Czupryna, patriarchy wsi, człowieka o niezwykłej prawości i mocy charakteru. Nie wahał się on własnego zięcia oddać pod sąd, gdy ten dopuścił się kradzieży i żądał dla niego surowej kary: w ten to twardy sposób pojmuje on swój obowiązek dla ojczyzny. Dzień i noc jest w drodze, gromadzi zapasy żywnościowe dla powstańców, a gdy w sąsiednim Wygnanowie ziemianki zakładają szpital dla rannych, za jego wpływem cała wieś się nań opodatkowuje a włościanki znoszą tyle płótna na opatrunki, że daje się niem cały oddział zaopatrzyć w bieliznę.

Blizki i serdeczny stosunek łączy rodzinę Czupryna z mieszańcami białego dworu wsi sąsiedniej. Chowa się tam gromadka dzieci, która chłonie sercem i umysłem to wszystko, co widzi dokoła; a przez dwór dzień i noc przepływa fala powstańcza, żywi się tam ich i odziewa, ratuje w każdej potrzebie. Największa jednak radość dla dzieci jest, gdy widzą na podwórzu zbliżający się wózek starego Czupryna; on to najlepiej wszystko opowie, żeby tylko wolno było posłuchać. I dzieci wciskają się w kąciki najmniej widoczne i słuchają, ach jak słuchają! Wspomnienia tych chwil mają przecież przepoić ich dusze, wykreślić linię całego ich życia...

Gdy Czupryn jest w drodze, przychodzi do dworu szczerzy przyjaciel

dzieci, wnuk jego, Jaś Prawda, na księdza przeznaczony, i w tej myśli się chowa, ale wie dużo, bardzo dużo. Zawsze jakoś szczęśliwie dopatry odział powstańczy, wie, gdzie była potyczka, gdzie niebezpieczeństwa unikniono.

I epopeja rycerska, którą przeżywał ten zakątek kraju, zakończyła się klęską, „wierna rzeka” zafarbowała się krwią, a jeden z jej dopływów nazwany został od tych czasów Trupieńcem, tak wiele bowiem pochłonął ciał poległych pod Małogoszczą. Zaczęło się na całym obszarze Królestwa „uspakajanie” opornych a z niem dobrodziejstwo rządu dla włościan, „uwłaszczenie”. Dla Złotnik odbiło się ono w ten sposób, że przez obdarzenie „obszarem dworskim” Milutina zamknięto drogę do rozszerzania przez nabycie osad, które przy rozrządaniu się ludności dzielone były do ostatecznych dozwolonych granic, i że potworzono jeszcze pewną ilość kilkunasto prętowych gospodarstw głodowych.

Co gorsze jednak, odjęto włościanom dzieciom możliwość oświecenia się, do szkoły bowiem sprowadzono aż z gub. Tułskiej nauczyciela, p. Czernobykowa. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy ten „oświeciciel”, przybywszy do wsi, przechadzał się po niej z rękami w tył założonemi, samym swoim obcym wyglądem przerażając uciekające od niego dzieci. Na razie odpór był silny, poszło hasło: nie posyłać dzieci do szkoły! niech się uczą w chałupach, jak kto może. Nie porachowano się jednak z prawem o tajemnem nauczaniu, pan Czernobykow znał je jednak dobrze i pilnie jego wykonywania przestrzegał; z czasem więc zapełniła się izba szkolna i zaczęła się najboleńsza z operacji nad mózgiem polskim, ogłupianie niezrozumiałym, obcym balastem. Jaś Prawda w tym czasie poszedł wraz ze swymi przyjaciółmi, chłopcami z białego dworu, do gimnazjum kieleckiego, aby tam prze-

chodzić innego rodzaju tortury, z tych, które ujął tak świetnie Zych w swoich „Szyfowych pracach”. I miały lata, Złotniki były coraz biedniejsze a wzrastająca ciemnota nie pozwoliła im się dźwigać, nie umiano bowiem szukać jakichkolwiek środków zaradczych; jako jedyna pociecha w niedoli, [rozwinął się tylko nieistniejący tam przedtem fanatyzm religijny.

Troskliwie dla osobistych celów podsycany, zabił on wszystkie narodowe i społeczne aspiracje, na rzecz suto, ostatnim nieraz groszem, opłaconych uroczystych nabożeństw o deszcz lub pogodę, lub wspaniałych pogrzebów — spotęgował bierność nie broniącą się już zupełnie fali życia, a składającą wszystkie swoje nadzieje w istności pozagrobowej. Prawda wykształcił się na księdza, przyjął też święcenia drugi wnuk starego Czupryna, ks. Augustyniak, ale, gdy jednego z nich władze duchowne wysłały do akademii duchownej do Petersburga, przeznaczając na profesora, drugi dostał stanowisko w Dąbrowie Górniczej i tam się niepospolicie jako działacz społeczny odznaczył. Złotniki jednak zostały pozbawione najlepszych o ojczyustych tradycjach narodowych, swoich synów. Odezwały się one jednak w chwili, gdy ks. Prawda, już jako profesor, do seminarium kieleckiego powrócił. Zostaje tam wytropiony przez władze straszny wśród alumnów występki: oto znajdują one pieśni patryotyczne, pomiędzy którymi jest ta, która mówi każdemu polskiemu pokoleniu, że „jeszcze nie zginęła”. Profesor Prawda zostaje uwięziony i skazany na wywiezienie do Kańska, na kraniec Rosyi Europejskiej.

I rodzina odwołuje się wtedy o pomoc do dawnych przyjaciół od dzieciństwa; ojciec przyjeżdża do Warszawy, gdzie mieszka zamężna już wtedy towarzyska z białego dworu: „zamknęli go na Pawiaku”, skarży się, „ze złodziejami razem, a on to wszystko

znosi, jak święty”. Cóż było jednak robić, gdzie szukać ratunku; zdołano go tylko uchronić od podróży etapem, a potem zebrać kaucję na wcześniejsze uwolnienie...

I znów dziś, jak dawniej okolica Małogoszczy była widownią krwawych zapasów. Wierna rzeka odbijała je

w swoich nurtach, Trupieniec pod Bolminem zafarbował się krwią. Czy nie sie ona wyzwolenie?...

Powstała już tam jednak nowa, polska szkoła. Może z niej także, jak niegdyś pokolenie wyrosnie...

I. W. Kosmowska.

Szkoła rosyjska i przerost wyobraźni.

Kto z nas nie pamięta wrażenia, z jakim przestępował po raz pierwszy progi szkolne za czasów apuchtińskich? Kto z nas nie zdrzży na wspomnienie chłodu, jaki owiał jego dziecięcą duszyczkę w pierwszym zetknięciu się z życiem szkolnym?

Stulaliśmy się, jak kwiaty mrozem zwarzone, na widok brodaczy, nieprzyjaznym okiem nas mierzących, w obcym, niezrozumiałym języku dających nam pytania. Żeby nie ten mundurek, nie ta czapka uczniowska, wyróżniająca nas z pośród szarej dziatwy, smykami już dla nas będącej, niejeden z nas z płaczem wróciłby do domu i rzuciłby się w objęcia matczyne, by w nich zapomnieć o pierwszym prawdziwym bólu życia.

Idąc do szkoły rosyjskiej, szedłeś już, jakby na obczyznę. W zaraniu lat swoich, niby pisklę z gniazda wyrzucone, szło już pacholę polskie na wygnanie. W ósmym, dziewiątym roku życia, samo, samiusieńkie w szczupłej gromadce współwygnańców zdane już było na łaskę i niełaskę obcego pana i władcy. Żeby choć po lekcjach w domu, u siebie można było o tem wygnaniu zapomnieć. Gdzież tam! Trzeba było myśleć o przygotowaniu lekcji dla „nich”, a nieraz drżało się na myśl łaskawej wizyty którego z tych panów pedagogów, chodzących po stancyach uczniowskich, by i tam przynieść duszną atmosferę szkolną.

A więc nietylko w szkole, ale i poza szkołą, dziecko polskie, ile razy po-

myślało o szkole, tyle razy czuło, że mu gdzieś odjeżdżać trzeba, że z kimś żegnać się musi, że wchodzi w świat obcych zimnych spojrzeń, w jakiejś puste mury niezamieszkanymi domów, co chłodem wieją i strachem samotności przejmują. Ale coż było robić? Uczyć się trzeba było. Tak mówili rodzice. Tak mówiło starsze rodzeństwo. To samo zresztą i inni rówieśnicy robili. I brało się polskie pacholę do nauki, jak do katongi. I nabierało już w dziesiątym roku życia smutnego przeświadczenia, że tak być musi, i mgłą zachodziły mu już oczy, a w duszy łął się już robak przedwcześnie zrodzonego marzenia. I im dalej posuwał się chłopiec w latach, tem bardziej obcą wydawała mu się nauka, a tem ponętniejszy świat dziecięcych marzeń. W nim już bezkarnie mścił się za doznane krzywdy, w nim stwarzał dla siebie maskę obłudy, by poza nią ukryć swe dziecięce tajemnice przed „ich” szpiclowskimi spojrzeniami. Powierzał je czasami swym towarzyszom niedoli szeptem po kątach, drząc na myśl ich wykrycia. I oto w zaraniu lat swoich tłumił swą szczerłość, a żył tajemnicą. Miast otwartości rodziła się w nim konspiracja, a z nią strach, nerwowość, bezład, wszystkie grzechy główne dzieckaniewolnika. To też coraz częściej uciekał w zawrotny świat wyobraźni, gdzie już ani „Wasilja Iwanowicza”, ani dwójek, ani rosyjskiej „imperyj” niema, gdzie mu nie mają za złe, że jest polakiem.

I co straszniejsze, chłopiec, który z porządku rzeczy szkołę identyfikował z życiem, nabierał coraz wyraźniejszego przekonania, że Polski w życiu jego nie ma.

I ją też przeniósł do swych marzeń, do których raz w raz ukradkiem, konspiracyjnie, chwytając dorywczo książki, lub słuchając potajemnie organizowanych wykładów, uciekał, by oderwać się od swego niepolskiego życia. I im bardziej, im dotkliwiej odczuwał siebie, jako ofiarę przemocy, tem mocniej miłował swą Polskę—marzenie.

Tu właśnie jest może największe zło, jakie szkoła rosyjska nam wyrządziła. Nie w radości i w szczęściu potęgowała się i rosła w nas miłość do Polski, lecz w bólu, w męce i ofiarnictwie. Nie w życiu widzieliśmy tę naszą ukochaną Polskę (bo życie to był mundur, „zasti gnutyj na wsie pugowicy”, lecz w marzeniu i wyobraźni. Rozkapryszeni jej pięknem, rozpieszczeni i rozkołysani marzeniem o niej, stawaliśmy się już w pierwszej młodości niezdolni do planowego wcielania jej nakazów w życie. Zdobywaliśmy się jeno na nerwowe wybuchy protestu.

Doświadczwszy, że w cierpieniu ją jeszcze mocniej kochamy, poczęliśmy na wzór rosyjski uwielbiać cierpienie dla cierpienia, ofiarę dla ofiary, nie licząc się zupełnie z tem, czy się ona rzeczywiście sprawie naszej przydać może.

W życiu naszym pozostawało wszystko po dawnemu i już niejednemu z nas przyrastał „mundur” do ciała, w wyobraźni zaś naszej paliło się od poświęcenia dla jakiegoś ogromnego czynu. Gorzej takimi płomieniem, wierzyliśmy w potęgę naszego ducha, ciało mdłe zostawiając w niewoli rosyjskiej szkole. Stąd płynęła nasza niechęć do wszelkich sportów, ćwiczeń cielesnych i gier. Myślący chłopiec w naszym pojęciu musiał być słaby fi-

zycznie, błady, przeżarty życiem duchowem. Wobec przemocy fizycznej ratowaliśmy się pogardą wszelkiej siły cielesnej.

W takim usposobieniu i z taką wiarą dorastaliśmy w szkole, ucząc się dla patentu, marząc dla Polski i rozleniwiając w gnuśnej beczynności swe ciało. O, bo zbyt wielkie były nasze marzenia, by im „mdłe” ciało podolać mogło.

I wielu z nas, gdyby nie ciągnęła, męcząca praca nad sobą, po skończeniu szkół, gdyby nie zorientowanie się w szkodzie, jaką nam wyrządzono, poszłoby po linii najmniejszego oporu, marząc jeszcze, ale coraz słabiej, wybuchając jeszcze, ale coraz rzadziej, i wreszcie skończyłoby na tanim zdartym frazesie, poza którym tak cudnie brak woli ukryć się potrafi.

Niedołężstwo, brak zmysłu organizacyjnego, anemia znacznej części naszej inteligencji da się tylko wpływem rosyjskiej szkoły wytłómaczyć. Uczono ich na obczyźnie, cóż dziwnego, że w własnym kraju się znalazłszy, gubią się i dróg swych znaleźć nie mogą. Cóż dziwnego, że programy swe aż nazbyt często na lotnych piaskach abstrakcyi budują.

Szczęściem, że w naszym narodzie są jeszcze warstwy, nie muśnięte nawet zabójczym wpływem szkoły rosyjskiej.

Na nich i na przyszłej młodzieży szkół polskich, jak na opoce, budować będziemy *rzeczywistą* Polskę.

Strzeżmy więc naszej szkoły, pałając, że naród, pozbawiony szkoły narodowej, nie umiera wprawdzie, lecz wynaturza się i wykoszlawia, rodząc ludzi bezdarnych i kalekich duchowo.

Jan Cieśliński.

~~~~~

*Tylko abstrakeye mogą tworzyć sztukę.*

Edward Wittig.

## RESURRECTURUS.

Stoi, wśród brzasków porannych purpury,  
A oko jego—błękitny przenika — —  
Na czole jego tych nawałnic chmury,  
W których drga przyszłych potopów mu-  
[zyka.

A w piersi jego wśród tego Zaranja,  
Żyje już Słowo, co stać się ma Ciałem,  
Co ma być Polsce gwiazdą Zmartwych-  
[wstania,  
Praw jej do bytu—z Boga—piedestalem.—  
I choć mu w serce ta hydra się wżera,  
Której na imię — narodu udręka,

Ból, ponad bóle! — On tam już spoziera,  
Kędy pierś żywa bólu się nie lęka.  
I choć mu stopy podmywają piany,  
Które wytacza jad grobów mogiły,  
On trwa, jak trwały ludzkości tytany,  
Przeciwno którym młot czasu — bezsilny!  
W Czyn idzie, z męki ogromów—w bez-  
[brzeża,

Z okiem, co nie ma lzy u męskich powiek,—  
A pierś mu — miłość gorąca rozszerza,  
Tego, co z Ducha, czem żyje ten Człowiek!

**M: Cz. Przewóska (Helia).**

## Z martyrologii Szkoły w Polsce.

Jedną z pierwszych ofiar apuchtinowskiego systemu szkolnego u nas był Ignacy Neufeld. Przebieg wypadków, które spowodowały śmierć 16-letniego chłopca, opisywany był wprawdzie niejednokrotnie — poświęcił mu wspomnienie autor „Towarzystwa warszawskiego”, wspomniła o nim Modrzejewska w pamiętnikach swoich, ale szczegóły podane, nawet we wzmiankach bezpośrednio po spełnionym fakcie w prasie nasz j zamieszczonych, wszędzie odbiegały od istotnego stanu rzeczy. Wytworzyła się nawet legenda, że Modrzejewska była na pogrzebie i wieniec, jaki jej uczniowie ofiarowali, złożyła na grobie Neufelda. Artystka sama temu zaprzecza w pamiętnikach swoich wyznaniem, że dowiedziała się o tragicznym zgonie jego dopiero po pogrzebie. Dzisiaj, gdy narazie szkoła polska jest wyzwolona, gdy spadły z niej kajdany ucisku rosyjskiego, gdy młodzież nasza w mowie polskiej polską myśl rozwijać i serce polskie kształcić może—poczytuję sobie za święty obowiązek względem pamięci brata mojego podanie istotnych szczegółów tej tragedii gimnazysty polskiego.

W końcu roku 1879, przyjechała Modrzejewska z Ameryki na występy gościnne. Młodzież postanowiła uczcić wielką artystkę i w gimnazjum V-em (przy ul. Zielnej) klasa VI-ta zakupiła wieniec, który miał być Modrzejew-

skiej ofiarowany na „Damie kamelowej”. Władza gimnazjalna o zamierzony owacy wiedziała — gospodarz klasy VI-ej, Maziukiewicz, ostrzegwał nawet jednego z uczniów, by w niej udziału nie brał, bo „będzie źle”. Czy nie prościej zatem było wręcz zabronić? ale drogą prostą nie chodziły nigdy władze rosyjskie. Owacy doszła do skutku a do wręczenia wieńca artystce (wówczas istniał jeszcze zwyczaj podawania kwiatów osobiście przez ofiarodawcę z orkiestry na scenę) wybrano między innymi mego brata, bo... miał nowy mundur i parę złotych w kieszeni na białe rękawiczki. Wyboru dokonano już w teatrze na przedstawieniu. Jednakże owi delegaci młodzieży, zanim wieniec wręczyli, udali się z zapytaniem o pozwolenie do obecnego w teatrze oberpolicmajstra, Buturlina, który do prośby ich się przychylił.

W kilka dni po tem „przestępstwie”, rozpoczęło się śledztwo i badanie winnych przez władze gimnazjalne. Badanie to trwało szereg wieczorów, brat wracał nieraz o 11-ej, zmęczony, rozdrażniony indagacją, żalił się, że mu się w głowie mąci, nie wie co odpowiadać, bo chcą koniecznie nadać owacyi piętno polityczne, charakter demonstracyi narodowej. W końcu sąd profesorski, któremu przewodniczył dyrektor gimnazjum, Choroszewskij, oznajmił delikwentom, że będą z gimnazjum wydaleny z t. zw. „wilczym

biletem", który zamykał wstęp do wszystkich zakładów naukowych w państwie rosyjskim. Rodzice i rodziny „skazańców” próbowali stosunkami prywatnymi wpłynąć na dyrektora Choroszewskiego — daremnie. Brat mój, według późniejszych opowiadań kolegów — powiedział im wówczas: „Ja sobie w łeb palnę ale Apuchtina dyabli wezmą”. Marzyicielem był z natury urodził się w roku 1863...

Nikt do słów jego wagi najlżejszej nie przywiązywał — żaden z kolegów o czyn podobny go nie posądzał, był bowiem bardzo łagodny i pogodny. A jednak on tych słów strasznych na wiatr nie rzucił.

Dn. 17-go stycznia r. 1880, po skończonych lekcjach brat mój udał się do gabinetu dyrektora Choroszewskiego i miał z nim rozmowę krótką ale gwałtowną — z pokoju dochodziły podniesione głosy. Tu dodać muszę, że pan dyrektor od pewnego czasu specjalną powziętą był dla brata mego antypatyę i prześladował go. Przyczyna była prosta: matka nasza odmówiła panu dyrektorowi „pożyczki” w sumie 300 rub., jakiej od niej zażądał.

Jaka była treść owej rozmowy ostatniej z bratem — nikt nie wie. Choroszewskij widocznie jednak lękał się czegoś, bo w chwilę po wyjściu mego brata z gabinetu pan dyrektor wy-

biegł wzburzony i kazał go szukać. Odnaleziono go szybko, kierując się echem... strzału. A strzał był celny — w same usta — brat leżał w klasie, za tablicą.

Gdy zawiadomione przez obcych przybyliśmy z matką do gmachu gimnazjalnego, zepchnięto nas ze schodów, przemocą wdarliśmy się do klasy — wezwani lekarze, d-rzy Benni i Lubodzicki, stali bezradni przy konającym — do domu przywieźliśmy już zwłoki.

Pan dyrektor zamknął się szczerlnie w mieszkaniu, w obawie przed tłumem, który zebrał się na ulicy. Apuchtina „dyabli nie wzięli”, ale wszyscy skazani na wydalenie koledzy brata mego tego dnia jeszcze zawiadomieni zostali, że wyrok zniesiony i do klasy powrócić mogą. Pogrzeb brata zamienił się na manifestację, jakiej od lat dziesiątków nie pamiętano — cmentarz otoczono wojskiem w obawie rozruchów. Nic jednak nie zakłóciło powagi i uroczystości pogrzebowej, jaką Warszawa uczciła pamięć jednej z dziesiątków tysięcy ofiar przemocy rosyjskiej.

Jakże szczęśliwą czuć się winnaś, Młodzieży, której dzisiaj obchodzimy święto tak wielkie, że dane Ci jest kształcić się i rozwijać w tak odmiennych warunkach, z nadzieją jasnej dla Ojczyzny przyszłości!

Bronisława Neufeldówna.

## Ucz się, o dziecię...

Ucz się, o dziecię, kochać swój kraj,  
dziś nieszczęśliwy—ongi, przed laty,  
potężny, silny, możny, bogaty;  
i jego przeszłość rycerską znaj.

Zachowaj w sercu należną cześć  
dla tych walecznych ojczyzny synów,  
co nie dla sławy, nie dla wawrzynów,  
umieli życie w ofierze nieść.

Ucz się, o dziecię, jak trzeba czcić  
ziemię ojczystą, krwią przesiąkniętą,  
i kochać mowę tę naszą świętą,  
zawsze i wszędzie Polakiem być...

Jan Sokolicz Wroczyński.

## Do młodzieży.

Idź wytkniętą życia drogą,  
Nie kłam i nie krzywdź nikogo,  
Kraj swój, pracę kochaj szczerze —  
A w przyszłość Polski uwierz.

Więc chrońcie się już w młodości  
Od hańby ducha konania,  
Bo tylko z mroku, z podłości  
Niema — niema zmartwychwstania!

Zofia Cieszkowska (Sarjusz).

Szczerześć jest zdrowiem ducha.— Jest ona piorunochronem od śmieszności i zapewnia życie — nawet dziełom przestarzłym. — Więć bądźmy szczerzy, to pierwszy warunek, aby się stać sobą — aby być kim... i być pożytecznym.

M. z Przeździeckich Walewska.

Z cyklu „Warszawa w sonetach”.

## Ruiny kościołka Opatrzności.

(Ogród Botaniczny).

Wiosenne drzewa szumią o tem święcie jeszcze,  
Gdy tu król złotą kielnię brał z prymasa dłoni, —  
I kładł kamień węgielny... A po ceremonii  
Poświęcenia kościołka — pomruki złowieszcze

Burzy szły nad ogrodem wtedy... Zła to była  
Wróżba w dzień Konstytucji majowego święta,  
Gdy wezbrała w narodzie radość niepojęta — —!  
Dziś te gruzy omszałe — to smętna mogiła

Rozwianej wiary w jutro... Na drodze zwaliska  
Młodzi tu świeże fiołki rzucili przed laty,  
W tę majową rocznicę... Za to w kazamaty  
Poszli drogą krzyżową...

I znów wiosna dyszy  
W tym ogrodzie, gdzie tyle słońca — kwiatów — ciszy — ...  
A z ruiny kapliczki — bujna zieleń tryska!...

Zuzanna Rabska.

## SKALA.

Ze wspomnień szkolnych.

Nasz inspektor nazywał się Troickij.

O takich wychowawcach szczęśliwi wychowañcy szkoły polskiej, mogą jedynie pośrednich nabrać wyobrażeń, czerpiąc dane ze szkolnych opowiadań mniej szczęśliwych ojców, wujów i stryjów.

Pamiętam dobrze inspektora Troickiego. Zmieniałem o nim parokrotnie sąd w czasie mojego szkolnego życia i te zmiany przedstawiają mi się dziś, gdy do wspomnień sięgnę, jakby kreski na skali rozwoju młodego mego umysłu.

W pierwszej, w drugiej klasie lubiłem go bardziej, aniżeli innych profesorów.

Dlaczego?

Ponieważ nas wcale nie uczył swego przedmiotu.

Jego przedmiotem był, oczywiście, język rosyjski. Przedmiotu tego uczyliśmy się jakoś sami, słuchając innych lekcji, wykładanych nam po rosyjsku i po rosyjsku je wydając, czytając książki z uczniowskiej biblioteki, kując podręczniki szkolne, recytując wreszcie

przed inspektorem „*Skazkę o rybakie i rybkie*”, jedyny punkt programu, który wypełniał lekcje rosyjskiego języka w pierwszej, a bodaj i w drugiej klasie.

Można było zresztą i tej bajki nie umieć.

Inspektor Troickij, przychodził na lekcję w trzy kwadransy po dzwonku, a te minut dziesięć, piętnaście, jakie poświęcał na wglębenie nas w język państwowy, w większości czasu obracane były na luźne pogawędki, wolne żarty i wypytywanie uczniów o ich domowe stosunki. Przyczem chłopcy rodziców bogatszych interesowali go dłużej i widocznie w gruntowniejszy sposób.

Gdy nadeszła więc w planie dnia lekcja rosyjskiego języka, mieliśmy trzy kwadransy mniej więcej faktycznej paazy.

Było to więcej, aniżeli *balszaja piermiena* nawet... Jakże mieliśmy nie lubić takiego nauczyciela, my, prymaki, secundaki?!

A dodać jeszcze muszę, że jeżeli

nawet kto z nas nie odpowiadał skromniutkiemu minimum wymagań pana inspektora, i o tyle tylko zdołał wyjąkać jedną albo dwie strofki ze „skazki o rybaki i rybkie”, o ile mu miłośnierny sąsiad podpowiedział z pamięci albo z książki, nie oszpeciło to bynajmniej „dniewnika”. Pan inspektor nie stawiał bowiem stopni w ciągu kwartalu. Poprzestawał na ustnej, wysoce pedagogicznej ocenie leniwego ucznia, kwalifikując go doraźnie i lapidarnie:

— *Durak!*

albo czasem:

— *Batwan!*

Zdarzało się jednak niejednokrotnie, że, zatopiony we wczorajszych, przyjemnych wspomnieniach i uśmiechając się do jutrzejszych, obiecanych rozkoszy, największego próżniaka, który wypłół coś trzy po trzy, bez sensu i rymu, a tylko z tupetem, pochwalił:

— *Charaszol!*

Jak to się działo, że na cenzurach, jedni z rosyjskiego otrzymywali dwóje, inni tróje, a ktoś tam i piątkę, to dopiero znacznie później, w doroslejszym już wieku odgadłem. Oto, gdy przyszło stawiać stopnie kwartalne, pan inspektor przeglądał uważniej „dniewnik” i swój stopień stosował do przeciętnych stopni ucznia z innych przedmiotów. Bezpieczna to była metoda i żadnego pedagogicznego trudu nie wymagająca.

Tak oto zachowywał pan inspektor u nas opinię „dobrego”.

Być może, iż który z kolegów, nad wiek swój i swoją klasę rozwinięty, żywił niejakie wątpliwości, ażali wychowawca ten jest istotnie tak *dobry*, jak to wokoło się głosi, ale przekonanie powszechne nie pozwalało takim sądom zyskać posłuch. I w pierwszej klasie gimnazjum panuje opinia publiczna.

Wyraźniejszymi i powszechniejszemi stały się nasze wątpliwości dopiero w czwartej a tembardziej w piątej klasie. Bystrzejsi z nas, szybciej się rozwijający, wyrabiali sobie gruntownie-

szą opinię o Troickim, przecież i bardziej tępi poczynali również wątpić o jego „dobroci”. Rzadko kto z nas bowiem uniknął jego interpelacyi:

— *Ty gawaril pa polski?! Saznajsia...*

Przyczem stawało się pewnem, że pan inspektor posiada na swoje usługi jakieś tajemnicze uszy, funkcyonujące w miejscach jego nieobecności, interpelacye jego bowiem były zawsze uzasadnione faktami. Kończyły się zaś one mniejszą albo większą porcją godzin *tiomnawo karcera*, popsutym stopniem ze sprawowania, a nieraz nawet wydaleniem z gimnazjum.

Moje wątpliwości o dobroci pana inspektora powstały w mojej młodej głowie nagle, nakształt błyskawicy. Przed egzaminami z czwartej klasy do piątej pomagał mi nieco w nabyciu sztuki rozwiązywania równań pewien siódmoklasista. W przerwach wypożyczynkowych gadało się o tem i owem, najczęśćniej o życiu gimnazyalnem i pewnego dnia wtajemniczyłem go w moje sympatyje dla naszego inspektora.

Zmarszczył brwi ma to.

— Ty go lubisz? — zapytał.

— Bardzo.

— A za co?

— Bo jest dobry.

Korepetytor pomilczał chwilę, po czem rzucił krótko:

— On jest *pies*.

I nie dając mi żadnych objaśnień, zawrócił do tajemnic równań algebraicznych.

Tych objaśnień nie śmiałem żądać aż do końca naszych lekcyi. Stałem się od tej chwili lęklwym wobec korepetytora; czułem instynktownie, że on i na mnie pośrednio wydał pewien stanowczy wyrok, w ciągu wakacyi zaś nie raz jeden zapytywałem siebie, bezskutecznie zresztą:

— Dlaczego jest on *pies*?

W piątej, a głównie w szóstej klasie, rozjaśniła mi się ta tajemnica w głowie. Szczególniej zaś przyznałem całą słuszność sądowi korepetytora

w *tiomnom karczerie*, gdzie spędził sześć okrutnie nudnych godzin za jeden naj-niewinniejszy wykrzyknik do kolegi na progu gimnazjum:

— Zaczekaj!

W szóstej klasie należałem już do tajnego Kółka Patryotycznego i na rocznicy listopadowej deklamowałem z ogniem:

„Nam strzelać nie kazano. Sta-  
łem na działo...

Nabrałem wreszcie dość uświado-  
mienia, aby zrozumieć, jaki stosunek  
łączy Troickiego z instytucją wycho-  
wawczą w polskim kraju i jak harmo-  
nicznie działalność jego pedagogiczna  
zlewa się z trudami administracji, wy-  
siłkami policji i czujnością władz wię-  
ziennych.

Staął w moich oczach wreszcie  
Troickij tem, czem był: zawziętym wro-  
giem polskiej młodzieży szkolnej, któ-  
rą pozornie miał kształcić i wychowywać.

Moment, w którym dojrzałem do  
jasnego objęcia tej myśli, do dokład-  
nego zrozumienia duszy i roli tego czło-  
wieka, był chwilą obudzenia się we  
mnie obywatela kraju, syna ojczyzny,  
pierwszą istotną, poświęconą maturą,  
wolną od wszelkiego formalnego stem-  
pla, — czerwoną jakby kreską na ska-  
li mojego rozwoju.

...Kiedy po raz pierwszy zająłem  
miejsce w klasie siódmej, dowiedzia-  
łem się, że Troickij awansował.

Dyrektorem został.

Było nas już z dziesiątek w klasie,  
którzy ten awans uważaliśmy za zu-  
pełnie naturalny. Apuchtin wtedy rzę-  
dził „Okręgiem Naukowym Warszaw-  
skim”, — a czyż mógł być dyrektor  
gimnazjum w Polsce bardziej po jego  
myśli od tego nieugiętego wroga pol-  
skiej młodzieży?

Wincenty Kosiakiewicz.

## M Ł O D O Ś C I !

Słychać lot ptaków—zdaleka nam niesie  
Wieści radosne—szemrzą nasze drzewa—  
Życie się budzi w zamarłych dusz lesie  
I nowe hymny radośnie nam śpiewa...  
Słychać szum skrzydeł, słychać serc wołanie  
Że coś nowego, wielkiego się stanie.

Witaj młodości, aniele świetlany!  
O! witaj, światło naszej bujnej wiosny!  
Niech śmiechem twoim brzmią ponure ścia-  
Niech usłyszemy krzyk uciech radosny! [ny!  
Witaj nam wiosno!—niech słońce tve pło-  
[nie!

Niechaj nas pieścżą tve czary, tve wonie!

Witaj młodości, o, wieku skrzydlaty!  
Płomieniem wrzałaś w dni ciężkiej żaloby,  
W cudne, promienne zapatrzona światy,  
Ty z białym kwiatem zstąpiłaś na groby...  
Ku ziemi górne ściągano tve łoty,  
W dni szare smutku, w dni łzawę tęsknoty.

Wówczas mówiono, że światła tve zgasną,  
Że przeszłość leży już w prochach mogiły...  
Lecz ty w dni dawne spoglądałaś jasno,  
Na twoich skrzydłach ich duchy odżyły...  
Gdy ci mówiono, że milknie twa mowa,  
Ty w kwiaty wplotłaś swe ojczyste słowa.

I nas wieńczyło jasne wiosny kwiecie,  
Nas także młodość zapałem wołała...  
Lecz przyszły wichry, przybiegły zamiecie,

W ciemność się szata pograżyła biała...  
O! myśmy gorzkie wychylali czary,  
W dni ciemne smutku, w dni krwawe ofiary.

Przeminął wiek nasz, wiek górny, wiek du-  
We łzach widzimy dolę niebogata... [mny..  
Nasze mogiły, nasze smutne trumny  
Przyszłość męczeńską niech otuli szatą!  
Żyjąc, gniliśmy w martwym ciszy grobie,  
Wiek nasz przeminął w męce i żalobie.

Młodości! Zbieraj z pól ojczystych ziele!  
Niechaj cię wiosny spiorunuje chmura!  
Nuć hymny życia w zadumy kościele!  
Niech nas okryją skrzydeł twoich pióra!  
Kładziemy dzisiaj na szatę twą białą  
To życie, które w nas niegdyś tak wrzało.

O! spójrz na pola, spójrz na wioski nasze,  
Na sadów białą, kwiecistą osłonę!  
Wzleć z pieśnią, wolna, jak swobodne pta-  
Na szczyty życia, bujne, uskrzydłone! [szę,  
Niechaj z tej ziemi rodzinnej wyrośnie  
Kwiat, który дума o wieczystej wiosnie.

Już minął marzeń kraj pusty i cichy,  
Życie naokół swe czary rozdaje,  
Wrą jego ogniem spienione kielichy,  
I jego hymny nucą nasze gaje...  
Słychać szum skrzydeł, słychać serc woła-  
Że coś nowego, wielkiego się stanie. [nie,

Antoni Pilecki.



## P R A W O.

Otrzymałem wezwanie od inspektora szkolnego, znanego pana N., olimpijczyka z Mokotowskiej. Zostałem wezwany w tak niezwykłej porze, że domyśliłem się powodu. Okoliczności ogólne uległy właśnie w tym czasie zasadniczym zmianom. Dnia 1 lipca 1914 roku została podpisana przez cara nowa ustawa szkolna, ustawa, chromająca na obie nogi, znośniejsza jednak, niż poprzednie bezprawie, gdyż, tak nam się przynajmniej zdawało, rozszerzała ona znacznie teren pościgu, jeżeli się tak można wyrazić, pozwalała na wymykanie się chwytlivym rękóm władzy i w ten sposób zapewniała pewną swobodę ruchów. Na kilka tygodni przed wezwaniem powiadomiłem urzędownie inspekcję szkolną o zmianach, które zgodnie z brzmieniem nowego prawa zamierzałem wprowadzić w szkole. Spodziewałem się, że tematem rozmowy z inspektorem będą zaprowadzane przezemnie zmiany.

O oznaczonej godzinie stawiłem się w inspekcji. Otworzył mi drzwi brudny woźny, który uśmiechnął się do mnie dość przyjaźnie i natychmiast cofnął się do pokoju w głębi. Poszedłem za nim i zastałem kilku innych woźnych, grających w karty.

— Jest inspektor?—zagađnłem.

— Nie izwolili pritti, oboźditle! -- odburknął mi przez ramię jeden z grających i zawołał — nasza wzięła, ura! gdyż właśnie wyszedł był w asa.

Udałem się do właściwego biura inspekcji, w którym rezydował u-przejmy sekretarz inspekcji, K. w domu polak, w biurze niemiec obrusitel, mąż zaufania i prawa ręka inspektora. Obaj uzupełniali się wzajemnie, uosabiając dwa pierwiastki czynownictwa rosyjskiego. Pierwszy, inspektor był pijanym władzą, szalonym nieokiełznaną mocą Gromodzierzcą, — drugi udawał Prometeusza, który radby Zeuso-

wi wykradł ogień, by nim uszczęśliwić ludzkość, a jeżeli tego nie czyni, to jedynie z obawy o swą wątrobę i szkodliwy wpływ klimatu Kaukazu, którego nie znosił.

Rozmowny zazwyczaj K. odpowiedział na moje zapytanie półgębkiem, dając mi do zrozumienia, że sprawa, dla której zostałem wezwany, jest ważna i że źle sobie postąpiłem, narażając się na niezadowolenie pana inspektora.

Czekałem, czekałem długo, to znaczy spełniałem swój obowiązek interesanta w biurze rosyjskiem, gdzie czekanie kilkogodzinne należy do ceremoniału, towarzyszącemu załatwianiu interesów chociażby najbliższych. Nareszcie usłyszałem w przedpokoju szuranie nóg i po chwili woźny otworzył drzwi kancelaryi i zawołał:

— Pożałujtie, inspektor prosiat!

N. przyjął mnie stojąc przy biurku, Brodatą twarz przystojnego djaka, który dzięki stosunkom z gubernatorką robi świecką karierę, przybrał w wyraz oburzenia, gniewu i syknął:

— Pan z miejsca galopem?

Nie zrozumiałem tego głębokiego powiedzenia i milczałem. Inspektor uderzył dłonią w mój raport i zawołał:

— Nowe prawo pan sobie wymyślił, nowe programy pan wprowadza, nowe przedmioty pan chce wykladać? Bez mojego zezwolenia!

— Nowe prawo? — zdziwiłem się. Ustawa szkolna została podpisana przez cesarza.

— Pan się cesarzem nie zastaniaj! Żadnego nowego prawa niema i nie będzie, rozumiesz pan, nie będzie!

— Jako? Czyżby pan inspektor nie czytał? — spytałem.

— Niech to pana nie interesuje, co ja czytam! Żadnych nowatorstw, żadnego nowego prawa! U mnie „wsio budiet po staromu“.

— A cóż będzie z ustawą?

— Ustawa! Ustawa jest, każdy o tem wie, że jest. Ale gdzie to pan czytałeś, że ustawa jest dla pana, dla was, dla „zdzieszniawo kraja“? Dla warszawskiego okręgu? „U nas jest' swoi ustawy“.

— Według brzmienia prawa, rozciąga się ono na całe imperyum.

— „Nie mudrstwujcie“. Wszystko po dawnemu, albo zamknę, zaraz zamknę szkołę—powtórzyl.

— Uprzedzam, że decyzję niezgodną z prawem zaskarżę do władz wyższych.

— „Kak“? wrzasnął. — Czy to też według nowej ustawy? Ja panu pokażę,

Mało dotychczas zwracano uwagi na fakt niezwykle ciekawy: oddziaływanie niektórych jednostek na umysły kolegów szkolnych. W każdym zespole kształcącej się młodzieży, czy to będzie pierwsza klasa czy uniwersytet, akademія, czy jaka szkoła specjalna — uwidaczniają się zawsze silniejsze organizacje duchowe, które są przez współtowarzyszy uznawane za swych przywódców. Miłość i szczerze uznanie kolegów wynoszą wybrańca na czołowe stanowisko... młodź szkolna czuje, że ten, a nie inny jest jej prowodyrem —

co to grozić skargą? Od tej chwili już pańska szkoła nie istnieje!

Wyszedłem. N. wypadł za mną do przedpokoju i wołał:

— „Wasze ucziliszcze zakryto, ponimajecie, zakryto! Odin dla was zakon — eto ja“!

.....  
Częste, a przymusowe wyjazdy inspektora nie pozwoliły mu na rozwinięcie w całej pełni zasady: prawo — to inspekcja szkolna, nie zaś ustawy, ogłaszane w formie najbardziej urzędowej. Z tej zapewne przyczyny, nie otrzymałem urzędowego zawiadomienia o tem, że utraciłem prawo prowadzenia szkoły. **Jan Grabowski.**

ze ten a nie inny najbardziej charakteryzuje generację, która go wydała, środowisko, w którym się obraca.

I rzecz dziwna: ten *vox populi* jest nieomylny. Z prowodyrów szkolnych wyrastają w dalszej swej karierze ludzie o szerokim społecznym znaczeniu.

Nieomyślność sądu młodzieńczych umysłów polega na tem, że źródłem jej jest nie wyrozumowanie, lecz bezwiedny impuls instynktu.

**Henryk Piątkowski**

## ISTOTA WYCHOWANIA.

Wychowanie — to święta i dostojna praca, rozwijająca osobowość ludzką.

Wychowanie polega na hodowaniu człowieka, t. j. na podnoszeniu go od ziemi, na wznoszeniu go, na doprowadzaniu do wzrostu należytego.

Dziecko, przychodząc na świat, jest słabe i niedołężne ze względu na swe ciało, co samo niezdolne sobie zapewnić niezbędnych potrzeb fizycznych, na swą wolę instynktom tylko posłuszną, na swą wrażliwość, która się skłania do osobistych i raczej złych skłonności czy popędów.

Należy pomagać wzrostowi tego ciała nie przez chybiającą celu miękkość, ale przez dobrze zrozumianą higienę i rozsądny spartanizm,

Należy przyczyniać się do rozwoju tej duszy przez dostarczanie jej rozumowi wiedzy solidnej, która mu do prawdy dojść pozwoli, przez należyte kierowanie jej wolą, która w następstwie dobro umiłuje, przez skoordynowanie wzruszeń uczuciowości i wyrabiania charakteru.

Wychowanie winno być tkiwe i surowe zarazem, a nie zimne i zniewieściale.

Wypełniać to wszystko — to tworzyć człowieka, którego starożytni określali: „zdrowy duch w zdrowem cielem“. A tworzyć człowieka — to właśnie wychowywać go. Kto więc pracuje nad tworzeniem człowieka, nazywa się wychowawcą.

**Ks. Jan Szmigielski.**

## Zjednoczeni miłością.

— Krzycki, do Melitona Sergiejewicza!

Uchylone drzwi od korytarza zamknęły się, srebrne okulary na fioletowym nosie nadziratela znikły. Wszystkie oczy zwróciły się na ławkę, którą zajmowaliśmy we dwu z Antosiem Krzyckim.

On stał pochylony, nerwowym ruchem grzebiąc się w pulpicie.

— Masz tu! — szepnąłem, podsuwając mu czapkę, do której nie mógł trafić. Ale co ci jest? Nic przecie nie zbroiłeś chyba?

— Daj!

I chwyciwszy czapkę drżącą ręką, wyszedł z klasy ślaniającym się krokiem, z głową w dół schyloną, jakby go przytłaczał jakiś ciężar.

Kolega, siedzący z tyłu, szturchnął mnie w plecy.

— Słuchaj ty! Co mu jest? Nie wiesz?

Ruszyłem ramionami, nie odpowiadając, bo Ilija Spiridonowicz odwrócił się właśnie od tablicy i wzrok skierował w moją stronę. Nie miałem zresztą istotnie pojęcia o tem, co działo się z Krzyckim, choć żyłem z nim blisko. Przybył do naszego gimnazjum z Warszawy i to odrazu postawiło go w oczach całej klasy, bo co Odesa, to nie Warszawa. Przedewszystkiem oczywiście wśród garstki Polaków, którym wolno było korzystać z przywileju oświaty w stosunku 5%, ogólnej ilości uczniów. Ale przybysz z nad Wisły sprawił zawód. Nie próbował imponować ani przewodzić. Zdawało się przeciwnie, że z umysłu pragnąłby ukryć się i dać o sobie zapomnieć. Był zamknięty, milczący, jakby wystraszony. Nie mogliśmy nic dowiedzieć się odeń ani o jego stosunkach osobistych, ani o Warszawie. Wiedzieliśmy tylko, że mieszka u jakiejś starej krewnej. Wytworzyła się nawet cała komiczna legenda o tej ciotce. Żartownisie tłumaczyli sobie zaleźnioną minę Krzyckiego strachem przed nią. Mieliśmy przekonać się niedługo, jak odmiennie i jak słuszne były powody zaleźnienia biednego chłopca.

Ze mną jednym Antoś żył bliżej, nie zwierzał mi się jednak. Dostrzegłem tylko, że od kilku dni zdawał się bardziej, niż zwykle, osowiałym i niespokojnym. Wzywano go też raz po raz do inspektora. Po co? Uczył się dobrze, prowadził wzorowo, wpływu wśród kolegów nie miał. I każde wezwanie przyprawiało go niemal o stratę przytomności. Co to być mogło?

Następowała lekcya „Zakona Bożija”. Skorzystałem z tej pauzy, żeby spróbować, czy mi nie uda się podsłuchać czegoś z kancelaryi, byłem bowiem o Krzyckiego niespokojny. Na szczęście, pierwsze drzwi były niedomknięte. Nasz „miodopłynny”, jak nazywaliśmy Siemipriannikowa, wykladał coś z namaszczeniem i słodyczą. Był to popowicz, lisem podszyty.

— Bo zważcie, miły, że to, przed czem wzdragacie się, jest największą łaską i błogosławieństwem dla was. Uwikłała was, nieszczęsne-go, polska intryga, zbałamuciło kłamstwo jezuickie! Toć wiara samego monarchy i on ją wam ofiaruje, jako dar drogocenny, a wy upieracie się przy swym błędzie. Pomyślcie jeno: wiara całego narodu rosyjskiego, najpotężniejszego z narodów, wiara samego monarchy, który wam ją ofiaruje, jako dar drogocenny, wiara słowiańszczyzny całej. A przeciw niej co? Garść chłopstwa, panów i „ksiondżów”, którym sierp rosyjski pod-

ciął harde skrzydła. I wy, przyjacielu drogi, odtrąćcie bratni szczep, wyciągający ku wam ramiona?

Krzycki odpowiedział coś, czego nie dosłyszałem. Meliton Siergiejewicz podniósł fistułowy głos o ton wyżej.

— Wolność sumienia, mówicie? A gdzie jej tyle, ile u nas? Gdzie indziej nienawidzą inowierców, my im otwieramy naościę serce rosyjskie i naszą cerkiew prawosławną! I niety ko przygarniamy ich, ale i nagradzamy. I was też... A jakże! I stypendyum dostaniecie zaraz, i protekcyę przy egzaminach, i „posobie” na podróż zagranicę i stanowisko piękne... A to, że wy z polaków, że ojca „ksiendzy” chowali, to nic. Pradziady wasze musiały być prawej wiary, skoro najświętszy synod rozstrzygnął w waszej sprawie i kazał na prawosławie zapisać. Mówicie, że sprawa ta zniszczyła był waszej rodziny, że przyprawiła ojca waszego o śmierć ze zgrzyoty, żeście spodziewali się ukryć tutaj? A ot widzicie sami, do czego doprowadza zaślepienie fanatyzmu i jak przed okiem Bożem nie ukryjesz się!

Głos Siemipriannikowa brzmiał iście ojcowską czułością.

— Idźcie więc, przyjacielu drogi, na „Zakon Boży”, jak na prawego rosyjanina przystało. Ojciec Nikanor zajmie się wami poza szkołą, a sam Preoswiaszczeny raczył przyobieczać, że was przylączy w niedzielę do prawdziwej cerkwi. A tu oto... przygotowałem wam podarek... na pamiątkę... piękny podarek złoty...

Głos urwał się i równocześnie coś zabrzęczało dźwiękiem rzuconego silnie metalu. I znów rozległ się głos inspektora, ale ochrypli i zgrzytliwy, jaki słyszeliśmy przy „wygovorach” i wymiarach kary.

Co to? Odmawiasz? Bunt?!

Chwilę trwała cisza, pełna grozy. Serce zamarło we mnie. Wreszcie posłyszałem głos Antosia. Cichy był i drżący, ale wyraźny.

— Katolikiem jestem i katolikiem zostanę. A rosyjaninem też nie będę, bom polak.

Myślałem, że zerwie się burza. Ale nie. Meliton Siergiejewicz milczał chwilę, potem przemówił głosem równym i spokojnym. Tylko było w głosie tym coś złowrogiego.

— Kto nie słucha wezwania miłości, mówił, tego przynagli bat i wędzidło. Co ty sobie myślisz, „skwiernyj poliaczyszka”!? Wojować będziesz z Rosją, z prawosławiem? Z jednej strony stopięćdziesięcimilionowy naród, wojsko, niby piasek w morzu, skarby, za które świat można kupić, a z drugiej kto? Szesnastoletni „malczugan”, którego ja sam złamać potrafię, jak drzazgę! Co tobie roi się, szaleńcze? I czy ty myślisz, że uciekniesz od twego losu? Jakże! Uciekłeś z Warszawy do Odesy — pomogło? Może zagranicę, do Galicyi? Nie bój się! Kordon wojska strzeże dobrze granicy: nie prześlizniesz się! I my ciebie nie wypuścimy z rąk! Lepszy w katordze zgnił!

Inspektor zatrzymał się, jakby czekając odpowiedzi. I znów w cizy podniósł się głos Krzyckiego, teraz już zupełnie uspokojony i pewny.

— I na katorgę jestem gotów, ale wiary, ni ojczyzny nie zaprę się, tak mi Boże, dopomóż!

— Ach ty „swolocz”! — syknął przez zaciśnięte zęby Siemipriannikow.

Przez chwilę przerywały milczenie tylko ciężkie kroki Melitona Siergiejewicza, przechadzającego się po kancelaryi. Wreszcie kroki zatrzymały się: dygnitarz począł mówić cicho, głosem zdławionym złością:

— Słuchaj ty! Ostatnie słowo. Jeżeli jutro rano nie opamiętasz się, to... ja po swojemu wezmę się do ciebie...

Zniżył głos bardziej jeszcze, do syku węża podobny.

Zaraz jutro dostaniesz różgi. Tak, tak! W szóstej klasie! Całe gimnazjum będzie wiedzieć! Kar cielesnych nie zna nasz kraj humanitarny, ale, gdy idzie o politykę, o bunt, to co innego. Dostaniesz różgi, jak uliczny łobuz! A jeśli i to nie pomoże, dostaniesz „wilczy bilet” i nie to jedno tylko, bo wraz z wydaleniem z gimnazjum, otworzy ci ramiona więzienie dla małoletnich przestępców, a potem gdybyś trwał w oporze, Sybir i tak dalej! Rozumiesz?

I znów cicha, ale stanowcza rozległa się odpowiedź:

— Rozumiem.

— Słuchaj, Antoś, mówiłem tego wieczora, siedząc na łóżku w izdebce Krzyckiego, podczas gdy w sąsiednim pokoiku krzątała się, wdychając i poplakując cicho, poczciwa jego ciotka, tak niesłusznie oczerniana w gimnazjum. Przyniosę ci ojcowski rewolwer. Palnij jutro w łeb temu moskalowi. Wszystkie jedno! A chesz, ja to zrobię! Ginać, to ginać!

Ale Krzycki poruszył przecząco głową.

— Nie — odrzekł z bladym uśmiechem. Nie zrobię tego i tobie nie dam zrobić. Mam wiarę. Ojcu przed śmiercią obiecałem jej strzedz, cierpiąc dla niej, za Polskę!

Zamyślił się, patrząc w przestrzeń, jakby przywoływał w pamięci daleki jej obraz.

— Dwa lata temu! szepnął. On już dogorywał wtedy, u kresu męki długiej, a teraz ja...

Rodzice moi byli bardzo szczęśliwi aż do czasu... Ojciec, ceniony prawnik, miał szeroką klientelę, znaczne zasoby, mir u ludzi. Trzebaż nieszczęścia, że raz podjął się bronić słusznego procesu przeciw jakiemuś oczajduşy z czynowniczej sfery. Proces wygrał i za wygraną zapłacił drogo. Rodzina nasza nigdy nie była tnicką, ale pochodziła z Podlasia. Mściwy urzędnik kazał wertować stare szpargały, metryki... Znalazł... jakiegoś pradziadka nie w prostej linii nawet ochrzcił paroch unicki. Wtedy zaczęła się męka. Ojciec porzucił swą kancelaryę, siedział w Petersburgu, stracił całe mienie, zdrowie, życie. Na nic! Nie pomogły dowody, zabiegi, łapówki. Szło o zasadę, wyższą od łapówek. I fala ojcu biednemu przeszła ponad głowę. Mnie matczyśko chciało tu ukryć: nie pomogło! Synod rozstrzygnął, prośbę na najwyższe imię odrzucono. I ot... koniec.

Panowało przez chwilę głucho milczenie. Nagle jakby błyskawica przeleciała mi przez głowę.

— Uciekaj! powiem ojcu! Znajdziemy pieniądze, pomoc... Byle zaraz!

On uśmiechnął się gorzko.

— Myślisz, że mnie nie strzegą? Wiem, jak strzegli ojca. Nie bój się! Nie dadzą mi wysliznąć się! Słyszałeś, co o tem mówił inspektor? Miał słuszość!

— Więc gdzież sprawiedliwość?—wybuchnąłem. Gdzie Bóg, który na takie krzywdy zezwala?

Antoś położył mi rękę na ramieniu.

— Jest Bóg i jest sprawiedliwość — rzekł poważnie i stanowczo.

Tylko godzina sprawiedliwości niezawsze jest naszą godziną i wielu musi paść w ofierze, nim owoc ich męki dojrzeje — nie dla nich. Owszem, dla nich, ale nie tu... Nie na ziemi...

Spojrzałem na niego i poczułem coś, jakby lęk. Ten chłopak cichy i lekceważony wydał mi się nagle innym zupełnie, jasnym i wielkim, i pomyślałem sobie, że bohaterowie Homera i sławni mężowie Plutarcha nie dosięgali mu do kolan...

Program Melitona Sergiejewicza wykonany został ściśle.

Krzycki otrzymał nazajutrz różgi i został uroczyście wykluczony z gimnazjum. Potem zniknął. Słyszałem, że zmarł po paru latach w poprawczym więzieniu.

I minęły lata...

Długie, ciężkie lata, w których panoszyła się przemoc i wołała o pomstę, krzywd, a miliony serc znękanych powtarzały straszliwe pytanie, rzucane niegdyś przedmnie Krzyckiemu:

— Gdzie sprawiedliwość? Gdzie Bóg?!!

Aż wreszcie na zegarze dziejowym wybiła godzina sprawiedliwości. Bóg przemówił. Daleko na krawędzie ziem polskich odstąpił wróg odwieczny, wróg niszczyciel, wróg gwałciciel sumień.

I kości męczenników poruszyły się radośnie w swych grobach i odpoczęły w Panu...

Jan Łada.

Czy pesymizm jest uzdrawiającym lekiem na bóle nasze dzisiejsze?

Czy wyrabia on tężyznę ducha, czy zmniejsza serca udrękę?

Czy dostatecznie przeciwdziała zaślepienemu optymizmowi, — a także, czy na całe masy biernych, apatycznych, bezmyślnych działa pobudzająco?

Pesymizm, który jakoby jest rzecznikiem krytycyzmu, czy jest zawsze dostatecznie logicznym, jakim być powinien?

Czy skarłałych on podniesie, — czy w biernych tchnie prąd życia; czy ganiąc, lekceważąc, ironizując, krytykując wszystkich i wszystko, daje w zamian z siebie jakąkolwiek moc odporną, taką, która byłaby lepszym wskaźnikiem życia dla tych, którym odbiera wiarę w przyszłość i wiarę w siebie.

Nie — po stokroć nie!

Szerzy on tylko w koło przygnębienie. Jest on czynnikiem rozkładowym. Grozi utratą sprężystości ducha.

Im dotkliwszą jest niedola ogólna, tem niebezpieczniejszą trucizną staje się pesymizm.

Zabija wszelką twórczość, do walki nie staje, bo w zwycięstwo nie wierzy. A dotknięci nim sądzą się silnymi, jedynie jasno patrzącymi i trzeźwymi sędziami tych zaślepionych, którzy, niezrażeni bolesnymi faktami cudzych upadków, własnych niepowodzeń, — nie ustępują z szeregu pracowników i idą dalej, krzepiąc się wzajemnie.

Jak smutnie brzmi tryumf pesymisty, gdy widzi, że przepowiadane przez niego załamanie się słabszych jednostek było prorocze.

Jak bezbożnie on działa na młodość, wchłaniającą słowa jego, które zabijają najdroższe skarby uczuć szlachetnych, pięknych, ofiarnych, uczuć, które ona miała przekuć na zbroję ze stali, aby iść mogła mężna i czysta poprzez żywot cały.

Pesymista rzuca jej wtedy cyniczne przed oczy swój stargany na strzępy szary szmat życia.

Ciężki to grzech przed społeczeństwem naszym.

Cięższy teraz, niż kiedykolwiek.

Ewelina Badowska.

## Gdyby mury umiały przemówić...

W gmachu koło Wizytek (obecnie № 36) mieściły się w latach po 60-ych gimnazya niemieckie, męskie i żeńskie, przeznaczone dla dzieci licznych podówczas urzędników Niemców z prowincji nadbałtyckich i z rdzennych Niemiec. Garstka uczniów i uczennic rosyjskich, mała grupa polek i polaków, oddanych dla wyszkolenia się w języku niemieckim, dopełniały zespołu.

Nastrój wśród młodzieży panował apolityczny. Cały wysiłek sentymentalnych podlotków z 5-ej i 6-ej klasy zwracał się w kierunku jaknajsprytniejszej wymiany bilecików z trubadurami 7-ej klasy, z których każdy wypatrywał sobie po dwa, trzy ideały i więcej.

Dziecko polskie ze swoją wrażliwą, zbuntowaną od niemowlęstwa duszą, czuło się tutaj źle. Obcość i twarde wyrzucanie poza nawias ideałów życia kaleczyło myśl, wykołysaną gniącym echem filareckich pobudek.

W 1874 r. pod naporem „prawdziwie” rosyjskich żywiołów, które wypowiedziały walkę obcym kierunkom oświatowym, niemieckie uczelnie przekształciły się na III żeńskie i IV męskie gimnazya ogólnego typu rządowego. Zapanował momentalnie system „wilczych biletów”. Koza, pałki ze sprawowania lub nawet wypędzenie groziły za jeden wyraz, rzucony w „przywiślańskiej gwarze”. Polskie dziecko musiało wykuwać pamflety Iłowajskiego na swój własny naród. Szpiegowane przez pedli i ultra-patryotów nauczycieli, wciskało się w ławkę z bólem swoim, z pomrukiem krzywdy i starczym bezwładem oporu.

To polskie dziecko, od urodzenia na pale Golgoty wbijane...

Dudniały ściany III i VI gimnazjum wrzawą „uprzywilejowanych”. Padały z katedr chwalby na cześć „wielkiej, niezwykłej mateczki Rosyi”.

‡ Przyniesł 1905 rok. Mury gmachu koło Wizytek patrzyły na rzeczy dziwne: prości ludzie wyprzęgali konia z dorożki, którą jechał pan generał, zabraniając posłańcom nieść za nim walizki. Od krzyku na wiecach „precz z biurokracją... hańba!... na latarnię!...” trzęsły się szyby okien.

Spotulniał pan dyrektor i pani przełożona. Pokryli się po kątach dumą i głosiciele chwali „niezwyciężonej mateczki Rosyi”. Osowały bandy najkrzykliwszych petersburskich i nadwołżańskich działaczy. Ścichły mury zasuniętych na rygle uczelni.

Gdy rozwarło je z powrotem, już nie było w nich „przywiślańskich” dzieci”. Znalazły swoje własne ostoje. Powiały nad miastem sztandary prywatnych szkół polskich. Skończył się jeden etap Kalwarii. Ale duch Eulogjuszków panował jeszcze, grożąc zdobytym placówkom.

Zabroniono polakom wykładania historii i geografii powszechnej; wprowadzono rządowe komisje egzaminacyjne. Likwidacja konstytucyjnej wiosny zbliżała się ku końcowi, gdy nagle wybuchnęła wojna i mury gmachu koło Wizytek patrzyły znowu na rzeczy dziwne. Ruszał się środkiem ulic las bagnietów; grzmiały po bruku haubice; fruwały welony krzyżanek, obwożonych po Krakowskim przez uprzemych gwardzistów. Pierwsze tabory rannych, jeńcy, konie zielone, pułki kozaków z obręczami w nosach stanowiąły sensację dni, w ciągu których było śródmieście jak jedna długa filma kinematografu. Przewalało się złoto. Rosła ciekawość. Na ulicy — pod gradem bomb — żył tłum.

Aż powoli zaczęły zmieniać barwę i nastrój obrazy. Powiało grozą przegranych bitew. Cofały się wojska. W okna gmachu, koło Wizytek zajaśniały łuny palonych dokoła Warszawy osad i wsi. O mury te odbił się jęk

zdejmowanych cerkiewnych dzwonów. Wreszcie pewnego sierpniowego ranka wstrząsnął nimi piorunowy huk: w słońcu wschodzącem poszedł budzić miasto znak, dawno czekany.

*Ich odejścia...*

Stężało powietrze, jak gdyby stępiał mur wyrósł nagle dokoła gwarnych ulic. Opustoszały chodniki. Zaszły się w izbach rozwałęsany tłum. Zniknęły sensacje. Żółtemi ślepiami zajrzał głód.

Ale — im posepniej i ciszej w mieście bez dorożek i samochodów, tem jaskrawszym płomieniem budzi się światło wewnątrz nas. Nie wiemy, co będzie jutro, ale wyciągamy ręce po zbawcze siewy chwil najbliższych.

W każdej przełomowej godzinie

troski oświatowe wysuwały się u nas na plan pierwszy.

Szkoła polska święci tryumf w grozie dni nędzy. Zajeliśmy wszystkie, opustoszałe po nadwożańskich działaczach placówki.

W gmachu Kółki Wizytek rozłożyły się uczelnie Związku kobiet katolickich. W wielkiej sali, która co rok z końcem wiosny błogostawiła zastępy przyszłych opiekunów „zabranych prowincyi”, brzmi dziś słowo polskie, otwarły się źródła poznania prawdy o Polsce...

Gdyby mury umiały przemówić... Gmachy nasze byłyby żywą kroniką przełomów polskiej Golgoty, polskich nadziei...

C. Walewska.

## T U Ł A C Z.

Skądkolwiek idę, dokądkolwiek dążę,  
Po jakiegokolwiek w oddal śpieszę drodze—  
Wszędzie i zawsze zapóźno przychodzę...  
I oto widzę—czarnych smętków księżę—  
Przez szkła zciemnione tęsknic i boleści,  
Ze życie moje — bez celu i treści,  
Ze w niczem, w niczem szczęścia nie zna-

[chodzę.

Zawsze mnie jakaś obłąkana chmura  
Żalu owinie — czarna i ponura,  
Żalobne zewsząd słyszę jeno wieści —  
I idę, pielgrzym bez dachu i domu,  
To w deszcz siekący, to w błyskanie gromu  
Ku ostatecznym — celowi i treści,  
Które — grób w sobie zapomniany mieści,  
Idę, nie skarżąc się na los nikomu...  
Któż wie, jakimi ścieżkami się ściele  
Licha ma radość, bezsumne wesele...  
Któż wie, jakimi szlakami się wlecze  
Ma żądza szczęścia... moje sny człowiecze...  
Jakie w me serce godzą codzien niecze...  
Czasem, gdy życia groźna zawierucha  
Na krzyżu cierpień porozpina ducha...  
Gdy w jakieś zorze wpatrzony ogromne,  
Czym umarł — nie wiem, czy żyję — nie

[pomnę...

Sny oplątują serce — wiekopomne

Sny o wyżynach, którem śnił za młodu  
Do życiowego wezwany pochodni!  
Migają wtedy w mroku oddalenia  
Twarze przejasne, ukochane twarze,  
Z których się żadna oczom nie ukaże...  
Snują się w duszy zapomniane słowa:  
Młodych serc — młodych dwu płomieni—

[mowa...

Śnią mi się jakieś kwietne wirydarze,  
Słodkie uściski, głębokie spojrzenia  
I o kochaniu długie zamyślenia...  
To los mój w życiu — po mieliznach brodzić,  
Głębokie nurty omijać życiowe,  
Lub się w odmęty zanurzać po głowę...  
Po świecie, szczęścia szukając, przechodzić  
I zawsze, wszędzie — zapóźno przychodzić...  
Mieć żalność w duszy, żeś nie przyszedł

[wcześniej,

Daleko szukać, gdy szczęście jest obok...  
Jak ćma, wplomienia zamknięta czworobok,  
Sen ściagać, co się tu nie ucieleśni,  
I z opalonem skrzydłem żyć — do chwili,  
Aż śmierć się wreszcie litośnie pochyli  
I zdmuchnie żywot — ludzki, czy motyli?..  
..I nie zostawić tutaj nic, prócz pieśni...

Tadeusz Kończyc.

Jedyną polityką przystojną młodzieży jest: miłować ojczyznę swoją przez usilne staranie zdobycia możliwie wielkiej sprawności ducha i odporności ciała  
A sprawność ducha to: prawy charakter, miłujące serce, dzielność zmysłów, głębokość i bystrość umysłu.

Henryk Nusbaum.



# Tragedya Zaimka Dzierżawczego.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Stefan Kłoński wyszedł z bramy, którą stróż za nim zatrzasnął. Drobnuchny śnieżek prosił bezszeslestnie, osypując niby mialkim cukrem postawę już ulice i trotuary.

Kłoński szedł szybkim, elastycznym krokiem młodości i szczęścia, bo młodość i szczęście miał w piersiach. Wracał od narzeczonej i najpiękniejsza przyszłość otwierała się przed nim. Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności mógł od czwartej klasy gimnazyalnej kształcić się dalej zagranicą i skończyć na politechnice w Dreźnie uміłowaną architekturę.

Zaledwie przed rokiem wrócił, by pracować wśród swoich, a już uwieńczony pierwszą nagrodą projekt jakiegoś gmachu publicznego wysunął jego nazwisko, początkującego praktykanta, w pierwsze szeregi. Miał zapewnione powodzenie, lat dwadzieścia pięć zaledwie, kochał i był kochanym.

Teraz, w ten listopadowy, chłodny wieczór życie pachniało mu wiosną, a upudrowana na biało, do snu już układająca się Warszawa, wydawała mu się dziwnie piękną. Okiem artysty gonił jej perspektywy i zaludniał je wizjami swoich pomysłów...

Wtem przechodzeń jakiś otarł się o niego zbliżka, a jednocześnie Kłoński uczuł rękę, lawirującą niedwuznacznie koło kieszeni jego paltota. Uchwycił ją silną dłonią.

— Ach! ty złodzieju! — krzyknął.

Tamten szarpnął się gwałtownie, lecz ujrzawszy w tem poruszeniu twarz Kłońskiego, na którą padło światło latarni, znieruchomiał nagle.

— Stefan! — wymówił głucho i jakby mimowoli.

Kłoński osłupiał.

Ten sam blask latarni oświecał niezmiernie obfite, dziwnie płowe włosy nieznajomego, dobywające się z pod zmiętoszonego kapelusza, nasuniętego na same brwi, które jeszcze dziwniejszym kontrastem były zupełnie czarne.

I w jednej chwili Kłoński uprzytomnił sobie wielką, brzydką salę, o lakierowanych na żółto ścianach, szeregi ławek, nad niemi szeregi krótko ostrzyżonych, młodziutkich głów a wśród nich jedną, tuż przy nim, dziwnie płową i pomimo ostrzyżenia obfитоścią porostu nadmiernie zjeżoną.

— Modrzycki! — wymówił z kolei i palce jego, ściskające dotąd silnie dłoń nieznajomego, rozwiodyły się ruchem bezbrzeżnego zdumienia i wstępu. Ale teraz tamten uczeplił się go rozpaczliwie.

— Stefan! Byliśmy przyjaciółmi!

— Puść! Nie przypominaj!

— A ty, nie potępiaj! Klnę ci się na nasze czyste dzieciństwo, to był pierwszy krok... Krok rozpaczy ostatecznej... Przyjrzyj mi się...

Kłoński, jak zahypnotyzowany wpatrzył się w tę twarz tak młodą jeszcze, a już jakby zżartą przez chorobę i nędzę. W przepaścistych ogromnych oczach palił się przykry ogień krańcowego wyniszczenia.

— Tyś głodny! — zawołał Kłoński, uderzony nagłą myślą.

Dawny kolega pochylił głowę, jakby pod ciężarem ujawnionej raptem hańby.

— Tak — wyszeptał, — od dwóch dni nie jadłem.

Nic nie mówiąc, Kłoński pociągnął go za sobą. W pobliżu był bar

drugorzędny z bocznem wejściem do maleńkich klitek, zwanych szumnie gabinetami.

Gdy usiedli przy stoliku, Kłoński kazał podać dwie mięsne porcje i przez delikatność udawał, że sam je, by nie patrzeć, jak tamten pożerał łapczywie. Drugiego dania już nie tknął, odsunawszy talerz w stronę towarzysza. Modrzycki zawahał się; ukradkiem spojrzął na Kłońskiego i nieopisanie bolesnym, jakimś zawstydzonym ruchem, sięgnął po talerz.

Nasyciwszy się wreszcie, oparł głowę o ścianę i przymknął oczy. Ceglaste rumieńce wystąpiły mu na zapadłe policzki, oddychał ciężko i zdawał się drzemać. Kłoński siedział z oczyma posepnie wbitemi w ziemię.

— Stefanie! — przemówił po niejakej chwili Modrzycki — Czy mam ci podziękować, żeś mnie nie oddał w ręce policji, jak rzezimieszka, żeś mnie nakarmił, jak żebraka i odejść; czy też wyświadczysz mi jedno więcej dobrodziejstwo i porozmawiasz ze mną, jak z dawnym przyjacielem? Kłoński podniósł żywo głowę. Ten głos, zmieniony, ochryply tyle mu przypominał!

— Ależ, naturalnie! — zawołał. — Ty! chluba naszego kółka, nasz entuzjasta, nasz poeta!... Jakim sposobem —

— Wykierowałem się na niedoszłego złodzieja — podchwycił Modrzycki z goryczą. — Nazywałeś mnie waszym poetą... Nie wiem, być może... ale to pewna, że byłem waszym zbuntowanym duchem, że szarpałem się najboleśniej... Wyście wszyscy czuli obrozę na szyi, a ja... nie wiem, czy miałem gardło nadmiarem tego buntu wzdęte, ale jam się wprost dławiał. Jak wiesz, byłem synem biednej wdowy i ten wpis gimnazjalny, który za mnie płaciła, był ceną jej bezsennych nocy i wyślepianych nad igłą oczu...

Pamiętałem o tem, ale i o tem pamiętałem także, że ojciec mój zginął w powstaniu, a wuja zamęczyli w kopalniach i... łamałem się w sobie, hamowałem, jak mogłem. Zresztą, alboż raz otwierałem przed tobą moją duszę, tak jeszcze dziecięcą, a już zatrutą jadem nienawiści, już zmęczoną potworną wewnętrzną walką.

Twój wyjazd zagranicę stworzył dokoła mnie straszną pustkę. Tyś był mi najbliższym z kolegów, powiernikiem jedynym. Wszystkie tłumione uczucia spotęgowały się we mnie wtedy bez ulgi zwierzenia, bunt kipiał i rozsadzał piersi.

Aż przyszła taka chwila, że struna pękła... Mieliśmy egzamin z historii Rosyi. Na mnie wypadło opowiadać o zwyciężkach czynach Suworowa w 1831 r. W pewnym miejscu, prawie bezwiednie, zamiast *nasze wojska*, jak mi to rozkazywał pan łowajskij, powiedziałem *rosyjskie wojska*. Profesor podchwycił to natychmiast.

— Jak pan powiedziałeś? — zapytał ostro.

Krew buchnęła mi do twarzy. Błyskawicznie, jak na jawie ujrzałem przed oczyma duszy Warszawę, tratowaną kopytami kozackich koni, nahajki, spadające na plecy bezbronných kobiet i dzieci, rzeź Pragi, trupa mego ojca, wuja, wszystkie okropności stuletnich gwałtów i okrucieństw — i to co było bezwiedną prawie omyłką, przypadkową zmianą tekstu, stało się nagle czemś niezbitcie świadomem, niezachwianem pewnem.

— *Rosyjskie wojska* — powtórzyłem spokojnie.

— Co? wrzasnął profesor — jak pan śmiesz? Nie wiesz, kto jesteś? Poddany rosyjski. To były *nasze wojska*, a więc i twoje... słyszysz?

Milczałem.

— Przywótcz natychmiast, że *nasze*, ty... buntowszczyku!

Czułem doskonale, że w tej jednej chwili waży się cała przyszłość moja, że gdy otworzę usta i powiem tak, jak wiedziałem, że powiedzieć muszę, coś się podemną zawali, coś runie w przepaść niepowrotnie.

A jednocześnie ogarniała mnie jakaś nieopisana błogość, jakby skrzydła wyrastały u ramion, jakby dusza rozpowyjała się z pęć, jakby z członków spadały okowy.

Podniosłem głowę. Ja, chłopak piętnastoletni, miałem w tej chwili w sobie całą dojrzałą godność człowieka, powołanego do złożenia świadectwa prawdzie.

Oczy moje spotkały się z zaiskrzonym wzrokiem profesora. W sali zaległa wielka cisza... Czułem, jakby oddechy wszystkich tych chłopięcych piersi zawisły na moich ustach..

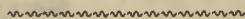
— Nie!...—rzekłem stanowczo i wyraźnie. — Nie przywótcz, bo to nieprawda. *Nasze* — tu zatoczyłem ręką nad głowami kolegów — *nasze* wojska to były ..... tamte!

Co się dalej stało, odgadnąć łatwo. Wydalono mnie z gimnazyum bez prawa wstąpienia raz na zawsze do jakiegokolwiek uczelni rządowej. O kształceniu się dalszem w szkołach prywatnych nie było co marzyć!... Biedna moja matka rozchorowała się ciężko ze zgrzyoty, straciła swoje marne zarobki i po paru latach umarła. Co do mnie, miałem chwile, w których byłem blizki obłędu. Wszystkie moje dążenia, nadzieje rozbiły się w puch... Na razie, gdyby nie wzgląd na matkę, byłbym sobie odebrał życie... Potem i do tego zabrakło woli.

Po wielu staraniach otrzymałem posadę subiekta w sklepie bławatnym. Stałem za ladą, rozkładałem, mierzyłem towary, zachwalając je klientkom i wdzięcząc się do nich z piekłem w duszy... Byłem ładnym chłopcem. Jedna z nich, znacznie starsza odemnie, piękna, trzydziestoletnia mężatka, upodobała mnie sobie... Ten romans wysłał ze mnie resztki energii i dokończył dzieło wewnętrznego rozkładu, jakie zapoczątkowało gimnazyum. Po zerwaniu z moją Messaliną, zacząłem pić, straciłem posadę i już nigdzie miejsca zagrać nie mogłem... U samego wstępu do życia życie stało się dla mnie czemś bezwartościowem, beztreściwem, czemś, co trzeba przepychać z dnia na dzień, skoro się nie umie strząsnąć z siebie tego łachmana i skończyć... Głód dźwignął mnie z dna nędzy i pchnął sięgnąć do cudzej kieszeni. Oto wszystko.

Umilkł wyczerpany i w ciasnej klatce baru zapadła głucha, ciężka, jak wieko trumienne, cisza.

Hajota.



Pragnąc drzewkom młodym nadać kształt żądany, ogrodnik nagina je powoli, ostrożnie, ale ich nie łamie przez nacisk zbyt gwałtowny.

Podobnie wychowawca postępować winien z wolą dziecka, która przejawia się zwykle bardzo wcześnie.

Od pierwszych tedy jej w dziecku przeblysków czuwać należy nad jej rozwojem, zwracać ją w kierunku właściwym, bez stosowania jednak zbytnej surowości, ta bowiem wyradza upór w dziecku i tamuje prawidłowy rozwój jego woli.

Ks. H. Skimborowicz.

Czy znasz ten kraj? Kraj walki i ofiary,  
Co przeszłość swą w potokach skąpał krwi,  
Od dawnych lat praojców bronił wiary—  
Czy znasz ten kraj? Kraj walki i ofiary?  
W minionych dni zwycięskie swe sztandary  
Spogląda rad i przyszłą wolność śni.  
Czy znasz ten kraj? kraj walki i ofiary,  
Co przeszłość swą w potokach skąpał krwi?

Czy znasz ten lud? czy znasz ten lud siermię-  
Co lemiesz swój przekuwa w ostrza kos? [źny,  
Ojczyzny swej miłością przepotężny.

Czy znasz ten lud? czy znasz ten lud sier-  
[miężny?  
O ziemi szmat iść gotów w bój orężny,  
Bo w zagon swój wrósł niby pszenney kłos.  
Czy znasz ten lud? czy znasz ten lud sier-  
[miężny,  
Co lemiesz swój przekuwa w ostrza kos?  
O baśni, wstań! i mów o ziemi mojej!  
Niech jawi się w potędze swych kras!  
Niechaj się w tęcz uludne barwy stroi!  
O baśni, wstań! i mów o ziemi mojej!

Marja Gerson-Dąbrowska.

## Z U B I E G Ł Y C H D N I.

Mam wrażenie, że to już było tak bardzo dawno. Byłem wtedy uczniem klasy szóstej, a inspektorem w naszej szkole był Siemion Iwanowicz Niesławiew. Uczył on w naszej klasie algebry.

Pamiętam te godziny męczącej nudy, podczas których w ciągu pół roku wyprowadzaliśmy niewiadomą z równania drugiego stopnia. Niełatwe to było zadanie znaleźć formułę dla niewiadomej według sposobu Siemiona Iwanowicza. Ta tajemnica była wiadoma tylko samemu panu inspektorowi i jednemu tylko uczniowi w klasie, ale ten uczeń to był t. zw. „prymus”.

Pół roku trwała ta nauka algebry i przez te pół roku, trzy razy na tydzień podczas lekcji Siemiona Iwanowicza zastanawiałem się nad tem, w jaki sposób można znaleźć formułę dla owego, zagadkowego X, by wszystko było tak, jak tego żądał Siemion Iwanowicz.

Już na sam widok Siemiona Iwanowicza ogarniała mnie dziwna cześć, nuda, jakaś męcząca pustka, która rodziła się w mojej duszy na dźwięk jego głosu, na widok białą kredą na czarnej tablicy napisanego symbolicznego znaku X w drugiej potęgze.

Kiedyś przy sposobności wygadałem się panu Andrzejowi, dawnemu memu profesorowi matematyki, że ani

rusz sposobem Siemiona Iwanowicza równania rozwiązać nie mogę.

Pan Andrzej nazwał Siemiona Iwanowicza osłem i w kwadrans nauczył mnie rozwiązywania równań drugiego stopnia.

Z Siemionem Iwanowiczem miałem nie tylko na tle algebraicznym liczne nieporozumienia. Chodziło bardzo często o kuszak (pasek), który zapomniałem wziąć z sobą do szkoły, to o halsztuk (krawat), nakoniec o rozmowę po polsku na korytarzach.

Ilekcję schwytał mnie Siemion Iwanowicz na podobnym przestępstwie mówienia po polsku, ostrzegał życzliwie: „Znów pan mówisz w szkole po polsku, w domu pan mówisz po polsku, w ten sposób postępując, nie nauczy się pan nigdy mówić po rosyjsku, a zresztą zobaczymy, czy po trafi pan zdać egzamin z rosyjskiego ua świadectwo dojrzałości.

Skóra mi cierpła na taką zapowiedź. Odtąd ilekroć zbliżał się ku nam Siemion Iwanowicz, wallenrodyczenie u-dawaliśmy, że rozmawiamy po rosyjsku. A wówczas oblicze Siemiona Iwanowicza jaśniało radością. Ale nadszedł czas, że przestałem się li-czyć z Siemionem Iwanowiczem.

Pamiętam ten radosny, zimowy dzień w 1905 roku. Już od kilku dni przygotowywaliśmy się do strejku.

Dziwnie się troszczył w tych dniach przełomowych o spokój naszych polskich dusz, o nasze nerwy Siemion Iwanowicz.

Nakoniec, przyszła chwila, że wybiegliśmy sami bez zapytania z klas, przerwaliśmy lekcye i z kilkuset ust wydarł się młodzieńczy krzyk: precz ze szkołą rosyjską!

Stanął wówczas przed nami błady i drżący Siemion Iwanowicz.

Powitaliśmy go gwizdaniem i tupotem nóg. I słyszę dziś jeszcze po tylu latach te wołania, te krzyki: wypuścić! wypuścić nas!

I rozwarliśmy na ścieżaj bramy znieawidzonej szkoły rosyjskiej, by nigdy już do niej nie wrócić. A w murach szkoły został sam Siemion Iwanowicz, inspektor.

Minęło lat dziesięć od tamtej chwili. Nadeszła wojna europejska. Byłem nauczycielem w jednej ze szkół polskich w Warszawie. Uczniowie moi mieli zdawać egzamin nie tak, jak innych lat przed władzą szkolną polską, lecz przed delegatami rosyjskimi, bo to przecież było po odezwie wielkiego księcia, była wojna europejska i armie państw centralnych stały o 50 wiorst od Warszawy.

Polska wolna w języku, wierze i samorządzie, miała mieć w szkołach polskich na egzaminach w tym właśnie owym roku 1915-ym, po raz pierwszy od lat dziesięciu delegatów rosyjskich.

Dziwnym trafem, ku nieprzyjemnemu memu zdziwieniu, delegatem został Siemion Iwanowicz; poznaliśmy się odrazu, udaliśmy jednak, że się nie znamy.

Gdy nadszedł dla moich uczniów dzień egzaminu, już armia austriacka zbliżała się ku Lublinowi. Nie wątpiłem w to, studyując skrupulatnie mapę, że oddanie Warszawy jest kwestyą kilku tygodni czasu.

Gdy szedłem tego dnia na egzamin, wojska rosyjskie, cofające się z nad Bzury, Pilicy i innych obronnych miejsc, zatarasowały mi drogę i uniemożliwiły przejście przez ulicę. Siemion Iwanowicz już był w kancelaryi, zamieniliśmy kilka słów o wojnie, w sposób bardzo uprzejmy.

Gdy patrzałem na zafrasowaną, niepewną minę Siemiona Iwanowicza, miałem wrażenie, że tą wiadomością o cofnięciu się armii rosyjskiej z lewego brzegu Wisły biorę częściowy odwet za tamte z przed dziesięciu lat ostrzeżenia i napomnienia, bym mówił do kolegów po rosyjsku.

I znów przypomniał mi się Siemion Iwanowicz, gdy podczas jednej z potyczek na Wołyniu chwilowo zakwaterowałem się w jednej ze szkół cerkiewnych. Armia rosyjska uchodziła wciąż dalej i dalej na wschód, za Stochód, za Styry; zdawało się, że nie oprze się, aż gdzieś daleko nad Dnieprem.

Gdzież jest teraz Siemion Iwanowicz, myślałem, patrząc na poprzewracane ławki, na zrujnowane urządzenie szkoły cerkiewnej.

Gdy poszedłem do stojącej opodal cerkwi, patrząc na obdrapanie jej ściany, na zburzone wnętrze, znów myślałem o dziele Siemiona Iwanowicza i innych jego współrodaków, myślałem jednak z pogodnym uśmiechem, że tak potężny odwet znalazła moja ojczyzna za tamte dawne tragiczne lata męki i cierpień.

A dziś, gdy piszę o Siemionie Iwanowiczu, nie mogę się przecież pozbyć radosnego uczucia, że przecież należę wraz z wielu innymi do tego pokolenia, któremu więzy srogiej niewoli zaledwie dotknęły ręk, i czuję się o wiele szczęśliwszym od mego ojca i dziada.

W. Orłowski.

## O poecie ze zwichniętymi skrzydłami.

Przed kilku laty zmarł w Warszawie nagle i nieprzewidzianie uczony filolog, orientalista i poeta, Wacław Rolicz Lieder. Zmarł na serce, nie dożywszy nawet lat pięćdziesięciu, pomimo, że pochodził z rodziny odznaczającej się długowiecznością i od chorób sercowych wolnej. Śmierć zabrała go od wielu poważnych a nieukończonych prac literackich i naukowych, wśród których znajdował się zakrojony na wielką skalę Etymologiczny słownik języka polskiego. Dobra znajomość wszystkich niemal języków europejskich oraz wielu wschodnich pozwalała mu oprzeć tę ostatnią pracę na mocnym zrębie filologii porównawczej.

Obecny los bogatej puścizny piarskiej nieszczęsnego filologa i poety pokrywa mgłą nieprzeniknioną...

Nazwałem Liedera „nieszczęsnym”, gdyż był nim w rzeczy samej, choć pozory mówiły o tem inaczej. Kto go widział po wierzchu zdrowego i silnego, znał jego wiedzę rozległą i świadomy był dostatniego, zapewniającego mu niezależność bytu, mógł go nawet poczytywać za wybrańca losu.

Ja, zaraz po przyjaznem zbliżeniu się naszym — a zbliżył się pierwszy, z wyciągniętą po bratersku ręką — odgadłem, że to serce szlachetne jest ciężko chore nie tylko w znaczeniu fizycznym, że krwawi się raną niezabliźnioną, śmiertelną...

Kto mu tę ranę zadał?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, znów potknąć się przychodziło o mylne pozory.

Gdy Lieder, bardzo jeszcze wówczas młody, wydał swój pierwszy tomik wierszy, krytyka, która tak często bywa okrutną i niesprawiedliwą, rzuciła się nań zjadale z potępieniem i urąganiem. Owe utwory młodociane miały dwie wady, w oczach krytyków nieprzebacalne: nie były „ładne” i wprowadza-

ły do naszej frazeologii poetyckiej neologizmy. Odkąd Asnyk przyzwyczaił nasz ogół czytający i deklamujący do wierszy ładnych, to znaczy: płynnych i gładkich, razi nas i odstręcza forma szorstka i chropawa, choćby się pod nią głębie myśli i uczucia kryły. Z powodu takiej formy, przez lat kilkadziesiąt ciążyła kłątwa na całej poezyi Norwida. Zdjęto z niej dziś tę kłatwę — co pozwala spodziewać się, że i wierszom Liedera oddana zostanie z czasem sprawiedliwość. Upominał się już o nią Antoni Potocki w swej „Polskiej literaturze współczesnej”. Gdy się to stanie, sumienni krytycy przyznać będą musieli, że nowe zwroty gramatyczne i stylistyczne, które poeta-filolog do swych utworów wprowadzał, miały swe uzasadnienie naukowe.

Na zajądlą napaść krytyki Lieder zareagował gwałtownie. Jego protest p. t. „Dokument wszeteczeństwa gazeciarskiego” dorównywał w tonie satyrze Bajrona „*English bards and Scotch reviewers*” oraz Mickiewiczowskiej rozprawie „O krytykach i recenzentach warszawskich”. Przypisano ten wybuch chorobliwemu przestostwi autorskiej miłości własnej — ja o tem sądziłem i sądzę inaczej.

Znakomita matematyczka rosyjska, Kowalewska, opowiada w swym „Pamiętniku”, że doznawszy raz ciężkiego w życiu zawodu i nurtującej duszę zgryzoty, długo kryła swój ból w sobie, niczem go nie ujawniając. Sądziła, że tak już będzie do końca, tymczasem, gdy znalazła się w tłumie i nastąpił jej ktoś nieumyślnie na suknię, rzuciła się nań z krzykiem histerycznym, z wymysłami ordynarnymi, i bić go chciała... Ból musiał znaleźć i znalazł ujście.

Z Bajronem, z Mickiewiczem i — *toutes proportions gardées* — z Liederm, stało się toż samo. Wiemy, ile bó-

łów osobistych zbierało się w sercu Bajrona już od lat dziecięcych; u Mickiewicza z cierpieniem osobistym złączyło się publiczne, z zawodem miłosnym nieszczęścia ukochanej nad wszystko Ojczyzny; u Liedera...

Otóż tu właśnie dotykamy bezpośrednio tej rany śmiertelnej, która cały żywot nieszczęsnego poety zakrwawiwszy, śmierć mu przedwczesną sprowadziła.

Wśród wierszy Liedera, będących najwierniejszym pamiętnikiem wszystkich drgnięć jego serca, wszystkich falowań jego myśli, znajdują się dwa, zatytułowane: „Szkoła” i „Ostatni mój mundur”.

Odczytajmy te wiersze.

Wiersz p. t. „Szkoła” jest nierymowy, więc cytaty z niego wypisać możemy jako prozę.

„Rodzice chcieli mieć ze mnie człowieka, więc wcześniej dziecko do szkoły oddali. Pamiętam dzień ten, gdy czarny tornister przygiął mi plecy, do jarzma niezdatne... Potem zaczęło się to życie nowe, smutniejsze, niżli oczy moje smutne. Odtąd mi zwiędły kwiatczyny marzenia; odtąd zagasty dzieciństwa świeczniki...”

„Był to budynek o twarzy więziennej. Wewnątrz niewoli uczono nielektnich. Gdy próg przekraczał, powietrze więzienne wnet bicie serca zwiększało, a mury zdały się z oczów dozorców dźwignięte, wszystkowiedzące; a pośród dziedzińca słońce Sybiru świeciło, a ściany były w czerwony marmurek pisane, niby krwią więźniów, nocą potraconych”...

„Po korytarzach chodzili panowie w niebieskich frakach, z wyciągniętą szyją, słuchając: *o czym* chłopcy i jak mówią. A jeśli który mową się odezwał, którą mu matka dała w dniu urodzin, złych obyczajów był winien i zbrodni.. Więc byłem niemy, wiecznie zadumany, wiecznie płoszony w myśleniach lirycznych...”

Nareszcie przyszła, bo przyjść musiała, katastrofa.

...„Na czarnej ławce siedziałem porzniętej. Uczyciel strasznie chłopców indagował. Płacz... narzekanie... krzyk... i znowu cisza. Słońce przez szyby paliło piekielnie; w uczelni zaduch panował koszarowy; gorąco mózgi nielektnie smarzyło. Mdlałem... Lecz oto nademną głos zabrzmiał:

— Łotrzel! śmiesz ręce rozkładać? Poczekaj, synu ze ścierwa uległy!... Jam odrzekł: — Gburze, zastanów się... Krzyk powstał straszny — a możnowładczy profesor zagrzytał: — Aresztu godzin dwadzieścia i ctery...!”

Wiersz kończy się silną, łzami i krwią pisaną apostrofą do rodziców, zaklinającą ich, żeby dzieci do szkoły rosyjskiej nie oddawali. Co zaś dotyczy samego poety, to katastrofa sprowadziła dobroczynny w jego życiu przełom, gdyż po niej szkołę przekłętą opuścił.

...„Błogosławiona niech będzie godzina, w której sumienie me buntem zagrzmiało! Pękła cierpliwość w żelazność kowana, i dom niewoli za plecyma został; a w sercu — straszna nienawiść do rasy, dręczącej dzieci Polaków, i wzgarda dla wszystkich ojców i matek, co dzieci do helockiego oddają rzemiosła, praw rodzicielskich zrzekając się trwoźnie. I żal mi został za mojem chłopięctwem, co wypachniało pod okiem tyranów, i jedna prośba do mojej królowej, tej pańskiej dumy mej: ażeby dała odpust hańbiącym myślenie wspomnieniom”.

Prośby nie wysłuchano, niestety! „Hańbiące wspomnienia” poszły za poetą do Paryża, dokąd zaraz potem wyjechał, włączyły się za nim po całej Europie, drażniły, raniły, radość życia zatrwały — nie pozwoliły nawet w nauce i poezji zupełnego znaleźć zadowolenia.

Wiersz „Ostatni mój mundur” jest tryumfalnym okrzykiem więźnia, któremu z domu niewoli wyrwać się udało.

„Wydalili! Radości! Wreszcie odechnąłem! Radością serce w piersi za-  
biło niezłomne! Teraz śmiało, bez lę-  
ku, patrzeć mogłem kołem! Wolny by-  
tem! Dnia tego nigdy nie zapomnę!  
— Mateczko — rzekłem wówczas —  
ciesz się, że za młodu syn twój już się  
ciemieżcom wydał niebezpieczny“...

Oto klucz, otwierający tajemnicę  
życia, prac i śmierci Wacława Rolicza  
Liedera, poety ze zwichniętymi skrzy-  
dłami, mego serdecznego, nieodżało-  
wanego przyjaciela.

Wiktor Gomułcki.

## W IMIĘ ODRODZENIA.

Gdy ciemiejsza już dziś ręka  
Nie plugawi szkół, nie nęka...  
Gdy nam język napastniczy  
Nie urąga zgrzytem dziczy  
I z swej gleby, w blekot żyznej,  
Nie przynosi nam trucizny;  
Gdy dziś w czyste szkół podwoje  
Naszej dziatwy płyną roje,  
By dla Polski wolnej, nowej,  
Kształcić dusze... serca... głowy,  
A w przyszłości śmiało, godnie  
Zbawczych myśli nieść pochodnie  
I przez pracy płodnej czyny  
Dźwigać Polskę na wyżyny, —  
Niech w te drogie nam świątynie  
Krew serc naszych falą płynie!  
Niech je wznosi, wyposaża,  
Niech do tego prac ołtarza  
Każda ziomek dłoń ofiarna  
Najobfitsze znosi ziarna!...  
Niech wśród wszystkich warstw się  
[szerzy  
Troska o ten skarb młodzieży,  
Której wnet przypadnie dola  
Zorać mnogie pracy pola,  
Co odłogiem przez wiek leżą,  
By się w ruń oblekły świeżą,

By znów Polska—przez lat tyle  
Krwia brocząca w swej mogile —  
W świątliwych dzieci moc bogata,  
Mogła stać się chlubą świata!...  
Ciebie, Działwo, tak nam droga,  
Kraj zaklina, w imię Boga,  
Na praocjów twych sztandary,  
Na sybirskich tajg ofiary,  
Na Ojczyzny dawną chwałę,  
Na jej męki długotrwałę,  
Na jej bliskie zmartwychwstanie  
W tym walk strasznych huraganie,  
Na jej świeże krwawe ciernie —  
Byś kochała ją bezmiernie,  
By przez twarde życia skały  
Wiódł cię naprzód Orzeł Biały,  
Byś miłością tą natchniona,  
Wdzięczne biorąc trudów brzemie  
Na młodzieńcze swe ramiona,  
Radowała polską ziemię  
Wytrwałością granitową,  
Piękną duszą... dzielną głową...  
Płodnym wielkich prac mozołem  
I promiennem zawsze czołem!...  
A gdy troski Cię ogarną,  
Ufaj w Polski moc ofiarną!...

Juljan Adolf Świąteczki.

Kobieta dzisiejsza, Polka-obywatelka,  
podejmuje energicznie pracę społeczną.

Wtedy jednak trud jej jest praw-  
dziwie owocny, jeśli jako istotna kie-  
rowniczka domu i rodziny, przede-  
wszystkiem swoje środowisko zorga-  
nizuje wzorowo.

Tymczasem, widzimy często du-  
żo ruchliwości, niepokoju, chaoty-  
cznego motoryzmu, który pod hasłem  
„pracy społecznej” mało przynosi  
jej istotnej korzyści, a rozprzega dom  
i wprowadza anarchję — w rodzinę.

A dom ten i rodzina to jedna  
z komórek zbiorowego ciała narodu.  
Ich zdrowie i siła to w dużej mierze  
prawidłowy rozwój całego organizmu.

Baczną więc strażniczką powsze-  
chnego dobra, zanim do czynu wyj-  
dzie poza progi swego obejścia, mu-  
si być pewną, że oszańcowwała mocno  
przed każdym zewnętrznym wrogiem  
wpływem tę ważną placówkę, jaką  
był i jest u nas — *nasz polski dom*.

L. Kotarbińska.



## W Y C H O W A W C Y.

Z gorączkowym niepokojem oczekujemy od chwili wybuchu tej światowej wojny, donosłej tak i upragnionej chwili, w której z ostatnim wystrzałem armatnim odsoni się nowe ukształtowanie karty Europy, przywracające nam prawo swobodnego rozwoju życia narodowego i pracy kulturalnej.

Prawo to okupić musimy przyjęciem nierozłącznych z tem dobrodziejstwem ciężarów i obowiązków. Jednocześnie zaś żywą i owocną działalnością stwierdzić powinniśmy naszą zdolność i dojrzałość do samoistnego bytu. Wytrwałą, wyteżoną pracą zdobywać wypadnie środki do spłacania przypadającej na nas części olbrzymich kosztów wojny, której zawdzięczać będziemy wyzwolenie, odbudowywać zniszczone na naszej ziemi warsztaty pracy rolniczej i przemysłowej, przywracać do życia pozbawione środków, zubożałe instytucje, zaprowadzać nowe, wreszcie współdziałać gorliwie i poważnie, wraz z otaczającymi nas bogatszymi i silniejszymi społeczeństwami, w pokojowej, zespalającej ludy pracy naukowej, twórczości literackiej, artystycznej, technicznej. Pracą taką udowodnić musimy zarówno nasze prawo do zajmowania rozległego, w środku Europy położonego, żyznego i bogatego w dary przyrody obszaru, jak wartość naszej dawnej, tysiącletniej kultury, nie mogącej się od końca XVIII wieku rozwijać normalnie wskutek rozerwania społeczeństwa na trzy części, odgradzone od siebie zarówno utrudniającymi wszelką łączność kordonami, jak odrębnością praw, urzędów, warunków ekonomicznych, odpowiadających nie potrzebom i życzeniom ludności, lecz interesom i zamierzeniom państw, władających temi częściami. Trudności położenia takiego zwiększało stosowanie w zaborze rosyjskim, sta-

łe prawie, zwłaszcza od r. 1832 utrzymywanie w prowincjach polskich stanu wojennego i wyjątkowych, czasowych przepisów, uniemożliwiających korzystanie z obowiązujących w teorii, lecz nie stosowanych w praktyce przepisów prawa.

Stuletni przeszło wpływ takiego bytu więziennego musiał ujemnie wpłynąć na charakter narodowy, sprowadzając osłabienie uzdolnień i wyniesionych z lepszej przeszłości skłonności moralnych. Zarówno praca rolnicza, przemysłowa, jak działalność społeczna, naukowa, twórczość artystyczna wymagają dla swego rozwoju względnej swobody, bezpieczeństwa, współdziałania instytucji państwowych i społecznych z dążeniami i usiłowaniami jednostek. Dla braku tych warunków najświetniejszy pojaw życia duchowego i twórczości polskiej, wielki rozkwit literatury polskiej w pierwszej połowie XIX wieku, dokonywa się po za obrębem ziemi ojczystej, wśród obcego społeczeństwa, w ciężkich warunkach życia tułaczego wychodźstwa, szukającego na Zachodzie niechętnie udzielonego przytułku, chcącej pracować dla ojczyzny inteligencji polskiej.

Nic więc dziwnego, iż w zbliżającej się chwili odzyskania swobody bytu samorządnego, okażemy się w przeważnej większości ogółu narodowego, słabo przygotowani i mało uzdolnieni do licznych i ciężkich zadań, jakie spadną na nasze niewyćwiczone barki, że praca nasza, w latach początkowych postępować będzie wolno i niedokładnie, że harmonijne współdziałanie zorganizowanych, świadomych, jednością celów i pragnień związanych sił nie łatwo i nie prędko da się urzeczywistnić. Trzeba być na to przygotowanym, by nie zrażać się trudnościami naszej pracy, jej nieuniknionej

mi błędami, niepowodzeniami czasowemi, wahaniami i zboczeniami.

Nie wyrobiona, nieprzygotowana w przeważnej większości — głównie w Polsce rosyjskiej — ludność polska, potrzebuje dla podolania tak wielkim, nagle na nią spadającym zadaniom, odpowiedniego wychowania, któreby rozbudziło w niej, wraz ze świadomością nowych obowiązków, odpowiednio uzdolnienia i energię moralną, pozwalającą przetrwać pierwszy najcięższy okres nowego życia i złączonego z nim przekształcania się i dostosowywania charakterów.

Szkoła, ku której dziś zwracają się nasze zamierzenia i oczekiwania, nie jest jedynym i nie jest wystarczającym czynnikiem wychowania społecznego i narodowego. Wielkie to zadanie wymaga harmonijnego współdziałania nie tylko rodziny, czuwającej nad okresem małoletności ale także instytucji jak kościół, państwo, rozciągających swą władzę i pieczę nad całością życia jednostki, zrzeszeń organizacyjnych, pobudzających i popierających jej pracę zawodową, działalność społeczną, rozwój duchowy.

Istotę wpływu wychowawczego, kształcącego, jaki wywierają na jednostkę: rodzina, szkoła, kościół, instytucje i koła, wśród których upływa jej życie i działalność, stanowi siła oddziaływania — drogą przykładu, żywego słowa, nacisku moralnego, dusz lepszych, bogatszych, silniejszych. Wpływ ten bywa skuteczniejszy i donioślejszy od przecenianego zwykle oddziaływania lektury.

Wychowawcami nie tylko młodzieży szkolnej, ale ogółu społeczeństwa, są ci wszyscy, którzy na każdym stanowisku, zarówno w rodzinie, jak szkole, kościele, urzędzie państwowym, w gromadzie wiejskiej, zrzeszeniach wszelkich, jako kupiec, lekarz, literat, artysta, pracownik rolny czy fabryczny, skromny oficyalista, dają swą pracę sumienną, wytrwałą, pełnieniem obowiązków za-

wodowych, społecznych, zachowaniem się względem ludzi — przykład zachęcający i pouczający zarazem, zniewalający i pobudzający czynami nie zaś słowami jedynie. Zасыpywani upomnieniami, radami, przestrogi, naukami w domu, szkole, kościele, w różnych wykładach, przemówieniach, artykułach czasopism, broszurach, wobec wielości, sprzeczności, chaoty czności udzielanych nam wskazań, tracimy wrażliwość na nie, jesteśmy niezdolni przyswoić je na swą własność duchową, poddać się pod ich kierownictwo. Podobnie, jak w okresie dzieciństwa, tak i w wieku dojrzałym zwracamy baczniejszą uwagę na czyny naszych wychowawców i w nich szukamy prądy dusz głosicieli, prawdy ich dążeń i umiowań. Podłoże moralne, z którego wpływają te umiowania, zainteresowania, dążenia, czyny; daje dopiero naszym duszom wpływ wychowawczy, naszym radom, wskazaniom siłę prawdy, blask i ciepło dobra moralnego, pociągającego słabsze, uboższe dusze. Prawda odsłania się duszom naszym wtedy dopiero, gdy do jej poszukiwania pobudzą nas gorąca miłość danego przedmiotu, podtrzymująca nas w mozolnych poszukiwaniach, usiłowaniach, dążeniach, nieuniknionych zarówno w pracy naukowej, badaniu zjawisk otaczającego nas świata, jak w pracy moralnej, kształceniu własnej duszy, osiągnięciu dla niej wartości charakteru. Prowadzić współbraci do postępu może ten tylko, kto sam się wznosi umysłowo i moralnie. Przewodnikiem może być ten tylko, kto sam przeżywał pomyślnie trudne i niebezpieczne drogi żywota. Mając we własnych przeżyciach, zdobytych osobistym doświadczeniem wskazaniach, miarę wymagań moralnych, świadomość słabości ludzkich i trudu w ich pokonywaniu, osiągnięte własną pracą poczucie godności ludzkiej, będzie mógł stać się dla koła, dostępnego jego wpływowi, pożądanym przewodnikiem-wy-

chowawcą. Oddziaływanie wychowawcze polega głównie na przykładzie, jaki świadomie czy bezwiednie, daje on otoczeniu życiem codziennem, zachowaniem się w rodzinie, towarzystwie, gromie koleżeńskim, kołach pracy społecznej, swoją pracą zawodową, pełnieniem obowiązków, związanych z jego stanowiskiem, własnymi upodobaniami, nawyknięciami, dążeniami. Nagromadzone w duszy jednostki wartości moralne i umysłowe, spełniane przez nią czyny dają jej wpływ wychowawczy i znaczenie społeczne niezależnie od stanowiska i zamożności. Skromny wikary bywa nieraz zasłużeńszym i dzielniejszym wychowawcą dusz, niż niedostępny dla szerszych kół, skrępowany przez wiek podeszły i zajęcia urzędowe biskup; ubogi nauczyciel ludowy silniej i szerzej oddziaływać może na młodzież i starszych, niż kontrolujący go inspektor szkolny lub zamknięty w swej pracowni badacz naukowy, uczeń dobry pozyskuje sobie łatwiej serca kolegów i wpływ na klasę swym przykładem, niż kierownik zakładu a robotnik fabryczny często oddziaływa silniej i dodatniej na współtowarzyszów pracy, niż pełen dobrych chęci dyrektor zakładu.

Świadomość, że jesteśmy twórcami, krzewicielami życia lepszego — światła, dobra i piękna — w ciemnych, słabych, błakających się duszach współ-braci, budzicielami uśpionych sił, uzdolnień,

szlachetnych zainteresowań, dążeń, czynów, — przewodnikami, wskazującymi błędzycym, niepewnym drogę, na której osiągnąć mogą swe odrodzenie i podniesienie moralne, podstawy i warunki bytu materialnego i moralnego — stać się może i powinna, dla każdej lepszej duszy, bodźcem szlachetnej ambicyi zaciągnięcia się w poczet takich wychowawców narodu. Nagrodą trudu naszego, ofiarnego udzielania własnych wartości duchowych, zużywania części choć własnej energii i czasu dla potrzeb otoczenia, będzie, prócz wewnętrznego zadowolenia i rosnącego stopniowo uznania bliższych i dalszych, nasze własne doskonalenie się moralne, narastająca przez pracę i czyny nasza wartość moralna i znaczenie społeczne. Odrodzenie i przyspieszenie dojrzałości moralnej naszego narodu zależęć będzie od ilości i wartości takich wychowawców-przewodników, od wpływu, jaki pozyskać zdołają na pociągane i kierowane przez nich dusze.

Kto pragnie odrodzenia ojczyzny, zdobycia dla niej odpowiadającego naszym nadziejom i życzeniom stanowiska wśród przyszłej, przekształconej po strasznej przesileniu ludzkości, niech stara się przez uzdolnienie i zbogacenie własnej duszy zdobyć sobie możność i prawo należenia do legionu wychowawców społeczeństwa, budowniczych nowej Polski.

Bron. Chlebowski.

*Kofiaru uosci naszej nie ma chwili  
do stracenia, w pracy - chwili  
odpozywka.*

*dyż. dubowierski*

# OD WYDAWNICTWA.

Powodzenie „Jednodniówki” zeszytowej, która rozeszła się w dwudziestu tysiącach egzemplarzy, pozwala nam przypuszczać, iż w roku bieżącym wydawnictwo nasze p. t. „Na Szkołę Polską” spotka nie mniejsze uznanie.

Pomimo, że warunki wydawnicze bardzo się zmieniły z powodu podwyższonej ceny druku, papieru i t. p., pokrycie kosztów wydawnictwa „Jednodniówki” jest zapewnione, a to dzięki poparciu tych firm, które nadesłały nam swoje ogłoszenia.

Jakkolwiek ruch handlowy w Warszawie w stosunku do roku zeszłego zmalał i w wielu dziedzinach handlu polskiego panuje zastój, jednak zdołaliśmy do wydawnictwa zebrać znacznie więcej ogłoszeń niż w roku ubiegłym.

Fakt powyższy dowodzi z jednej strony sympatii, jaką się cieszy Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich w szerszych sferach naszego społeczeństwa, a z drugiej, iż ogłaszający się w tym czasie nie liczyli na żadne doraźne zyski, lecz jedynie poparli cel, dla którego książka została wydana.

Z tego względu *odwołujemy się do Czytelników z prośbą, aby zechcieli zwrócić baczniejszą uwagę na dział ogłoszeniowy i wzamian pamiętali o tych firmach, które poparły wydawnictwo nasze na Szkołę Polską.*

---

---

## SKOROWIDZ OGŁOSZEŃ:

- Arct M. 97, Bachus—103, Bagatela—98, Banki: Dyskontowy—92, Handlu i Przemysłu—108, Przemysłowy Warsz.—93, Wzajem. Kredytu—110, Zachodni—109, Handlowy Łódzki—110, Kupiecki Łódzki,—94, Bary: Amerykański—100, Express—101, Wiedeński—106, Pod „Wiechą”—107, Bieńkowski—96, Bławat—okładka, Błonie—105, Boboli—95, Borkowski Ł. J.—104, Breitkopf—98, Café Gastronomique—104, Café Varsovie—96, Corso—111, Czapiński—106, Dźwignia—95, Empire—99, Ferramentum—94, Fraget J.—94, Gazeta Los.—103, Gerlach—104, Gorgolewski—101, Heydenwurz—108, Henneberg—112, Herbata—103, Hi: zpański—110, Horn i Rupiewicz—96, Hotele: Europejski—102, Polonja—91, Royal—107, Rzymski—94, Sacki—106, Idzikowski L.—101, Jackowski—102, Jakowicki W.—92, Jarmark—103, John—99, Karty—105, Kąpiele—107, Kowalski T.—93, Kompert L.—100, Komornicki—107, Kuczmierowski—okładka, Langleben—102, Lombardy:—96 i 109, Lourse—99, Machlejd K.—97, Michler K.—100, Mleko—109, Niespodzianka—108, Norblin—95, Pakulscy Br.—102, Przejrzyność—95, Reych—105, Semadeni—99, Singer—92, Snop—111, Trianon—95, Tow. Ubezpiecz. od ognia—110, Tow. Ubezpiecz. szyb—97, Ulrich—111, „Urania”—112, Wedel—102, Wrotnisko—106, Wysocki—98, Venulet—98, Zakłady gazowe—okładka, Zabłudowski—97.



aka 49/5210

# Polonia-Palace-Hotel

WARSZAWA, Aleje Jerozolimskie № 53,  
wprost Dworca Wiedeńskiego.

— — Adres telegraficzny: POLONIA — WARSZAWA. — —



## HOTEL

wykwintnie urządzone. Apartamenty pojedyncze i podwójne ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami. W każdym pokoju ciepła i zimna woda, telefon, zegar elektryczny. Centralne ogrzewanie, dźwigi, sygnalizacja elektryczna zamiast dzwonek. Absolutna cisza.

**PIWNICE WIN** zaopatrzone w wielki wybór win i trunków najlepszych marek. Sprzedaż w sklepie frontowym. Ceny przystępne, handlującym rabat.

**RESTAURACJA** pierwszego rzędu. Kuchnia pod kierunkiem wykwalifikowanych kucharzy. Eleganckie gabinety. Codziennie wielki koncert.

**KAWIARNIA** z przepychem urządzona, napoje gorące i zimne w wielkim wyborze, potrawy zimne i gorące à la carte, wyborowe ciastka, piwa krajowe i zagraniczne. Wielki wybór win, koniaków i likierów z piwnic POLONIA-PALACE-HOTEL. Codziennie koncert. Bilardy, domino.

**FRYZJER** i **PERFUMERJA** Salon damski i męski. Fryzury podług najmodniejszych wzorów. Farbowanie włosów na różne odcienie nieszkodliwą farbą roślinną, postiches artystyczne. Manicure. Najmodniejsze perfumy znanych firm wszechświatowych.

**PRALNIA MECHANICZNA** zaopatrzona w najnowsze maszyny pralnicze i przyrządy mechaniczne. Pranie białizny wszelkiego rodzaju bez użycia chloru, na żądanie w ciągu kilku godzin. Odprasowywanie ubrań. Reparatcja białizny. Kantor główny: ul. Wielka № 56, gmach POLONIA-PALACE-HOTEL. Filja ul. Czysta № 1 (Hotel Europejski).

58

Makładem T-wa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie

Wyszły następujące dzieła:

H. BERGSONA „EWOLUCJA TWÓRCZA”

Tłom. na wszystkie języki europejskie.  
Przekład polski d-ra fil. Florjana Znanieckiego.  
Cena rb. 3.

**Nowa ustawa o własności literackiej i artystycznej  
oraz konwencja pomiędzy Rosją a Francją.**

Cena 50 kop.

SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI GEBETHNERA i WOLFFA.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w T-wie Literatów i Dziennikarzy Polskich.  
Bracka 5.

W przygotowaniu.

„PRASA POLSKA”

Rocznik poświęcony informacjom i sprawom zawodowym dziennikarstwa  
i czasopiśmiennictwa polskiego.

J. SCHOLLENBERGERA: „TEORJA POLITYKI”



KOMPANJA  
**SINGER** 76

WSZECHŚWIATOWEJ SŁAWY  
MASZYNY DO SZYCIA

## BANK DYSKONTOWY WARSZAWSKI

HR. KOTZEBUE 8.

HR. KOTZEBUE 8.

Założony w 1871 roku.

**Kapitał zakładowy i rezerwy Rb. 15.670.000.**

Załatwia przekazy listowne i telegraficzne, kupno-sprzedaż papierów procentowych i monet zagranicznych oraz wszelkie operacje bankowe.

## Księgarnia W. JAKOWICKIEGO, Bracka 10.

|                                                                                                          |        | poleca:                                                        |        |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------|----------------------------------------------------------------|--------|
| Brodowski F. Reforma włościańska M. 1.—                                                                  |        | Konstytucja 3-go Maja 1791 r. —.10                             |        |
| Kamiński W. Geneza Pań. Lit. 1.50                                                                        |        | Wakar W. Sto lat walki o oświatę polską 1.20                   |        |
| Konarski K. Pałac Brühlowski w Warszawie. 2.—                                                            |        | — Stanowisko dziejowe Polaków. —.30                            |        |
| Ostatnio wydane <small>N. N.</small> SKARBKA POLSKIEGO                                                   |        |                                                                |        |
| Nr 24. Dzień 17 i 18 Kwietnia 1794 w Warszawie i dwie rozmowy Imperatora Pawła I z Tad. Kościuszką. —.30 | Mk. f. | Nr 8. Lenartowicz T. Bitwa rąclawicka. —.30                    | Mk. f. |
| „ 22/3. Wojda: O rewolucji polskiej 1794 r. —.60                                                         |        | „ 20. Z pamiętnika Księdza Unickiego. —.30                     |        |
| Oraz wszelkie nowości wydawnicze. Ogólne katalogi książek wydanych podczas wojny na żądanie.             |        | „ 21. Różycki K. Pamiętnik pułku Jazdy Wołyńskiej 1831 r. —.30 | 71     |

**TYTUS KOWALSKI**

d. **JULJAN PENKALA**

Warszawa, Senatorska 10

poleca

**FUTRA**

PRZYJMUJE FUTRA NA LETNIE PRZECHOWANIE.

63

**Bank Przemysłowy Warszawski**

**Wierzbowa 11.**

**ODDZIAŁY MIEJSKIE:**

- 1) W HOTELU EUROPEJSKIM**
- 2) MARSZAŁKOWSKA 124**
- 3) CHŁODNA 23**

**ODDZIAŁ W PŁOCKU.**

Oddział w Hotelu Europejskim wynajmuje kasetki stalowe w opancerzonym skarbcu.

24

## Naczynia Emaljowane i Cynowane

dla wszelkich celów z blachy grubej i zwyczajnej

poleca **Tow. Współdz. „FERRAMENTUM“**

Sprzedaż hurtowa i detaliczna w specjalnym składzie  
Erywańska Nr. 4.

Składy II gatunku Jerozolimska № 103 i Wielka № 74.

72

## BANK KUPIECKI ŁÓDZKI

Filja w WARSZAWIE

Ulica Wierzbowa 9.

25

Od r. 1824

Fabryka wyrobów srebrnych i platerowanych

## JÓZEF FRAGET

czynna przez cały czas wojny

poleca nowości w magazynach

**Wierzbowa 8, Nałewki 16, Elektoralna 16**

oraz **w Łodzi Piotrkowska 69.**

30

## Restauracya w Hotelu Rzymskim

przy ul. Nowo-Senatorskiej, róg Trębackiej.

Odwiedzana przez licznych P. T. Gości miejscowych i prowincjonalnych, poleca się i nadal Szanownej Publiczności, na której względy starają się zasłużyć współwłaściciele zakładu, kreślący się z poważaniem

50

*J. W. Galicki, Bolesław Sypniewski i Jan Sawicki.*



Pracownia Współdzielcza ubiorów  
::: kobiecych i dziecięcych. :::

Krucza 19 m. 39.

Szwalnia Chrześ. Związ. Rękodz. „Dźwigni“

Mokotowska 15 m. 7.



## BERTA BOBOLI

Warszawa, Rynekowa 11 (dawn. Gnojna Bazar Janasza).

— TELEFON 59-40. —

SKŁAD HURTOWO-DETALICZNY

Towarów wełnianych, płóciennych i bawełnianych

oraz

własne pracownie kołder watawych, bielizny damskiej, męskiej  
i pościelowej.

Wyroby Platerowane i Srebrne

Tow. Akc.

Norblin, Br. Buch i T. Werner

w WARSZAWIE

Magazyny: Krakowskie Przedmieście 67  
Marszałkowska 127

73

Fabryka Wyrobów Stalowych Ostrych **W. Bieńkowskii S<sup>-wie</sup>**

SPRZEDAŻ W MAGAZYNACH WŁASNYCH:



1. FABRYKA, Piesza 1. Tel. 1857.
2. Hurt. Senatorska 6 Tel. 3141.
3. Marszałkowska 129. Tel. 2650.
4. Bracka róg Widok.
5. Marszałkowska 84.

8

# „Café Varsovie”

Nowy-Świat Nr. 5.

37

BIURO TECHNICZNO-BUDOWLANE

## Bracia Horn i Rupiewicz

WARSZAWA, MAZOWIECKA 7.

Wykonują: Całkowite budowy w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Oddzielne roboty murarskie, ciesielskie, stolarskie i sztukatorskie. Roboty żelazo-betonowe.

Własna Fabryka Parowa Stolarsko-Ciesielska, Ludna № 6, telefon 9-31.

Własna Pracownia Rzeźbiarsko-Sztukatorska, Ludna № 6, telefon 90-51.

3

Tow. Akc.

## „Warszawski Lombard Prywatny”

Kantor główny — Marszałkowska 151.

29

Oddział I-szy — Przejazd 5. □ □ □ □ □ □ □ □ Oddział II-gi — Marszałkowska 98.

ZAŁOŻONE w 1892 r.

Pierwsze w Królestwie Polskie Towarzystwo Ubezpieczeń na życie i od wypadków

## „Przezorność”

Oparte na zasadzie wzajemności.

KAPITAŁY ZAKŁADOWY i REZERWOWY PRZESZŁO 8,000,000 rb.

Ubezpieczenie kapitałów, posagów, rent i jednostkowe od wypadków.

Biuro Dyrekcyi:

Warszawa, ul. Mazowiecka 22, pałac br. L. Kronenberga.

TARYFY i PROSPEKTY NA ŻĄDANIE — BEZPŁATNIE.

4

KOMPLETNE URZĄDZENIA KĄPIELOWE

# WANNY UMYWALKI ARMATURY

PIECE

GAZOWE KĄPIELOWE

Prof. Junkersa.

GAZOWE

KUCHNIE I KUCHENKI

Junker & Ruh.

DOM HANDLOWY

**B. ZABŁUDOWSKI** :: WARSZAWA ::  
ul. Marszałkowska 21.

16

KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT

## M. ARCTA

w WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35.

Posiada wielki wybór książek ze wszystkich działów literatury i specjalności w różnych językach

Poleca swój obficie zaopatrzone  
SKŁAD NUT

Poleca własne wydawnictwa:

MICHAŁA ARCTA Słownik ilustrowany języka polskiego 7000 wyrazów i wyrażeń, 4300 rys. objaśniających. Trzy tomy. — Cena Mk. 20.—. W oprawie Mk. 25 do 28. Prospekty na żądanie.

Książki szkolne dla szkół niższych, średnich i wyższych

Arcydzieła literatury polskiej w wydaniu Biblioteczki Narodowej. 27

Istniejące od 1869 roku

## ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE

pod firmą

## Karol Machlejd

polecają

**PIWA:** Piłzeńskie

Leżak

Lagrowe

**Limonady owocowe** oraz  
wytworną w smaku  
Hygieniczną.

**Wody gazowe i mine-  
ralne w Syfonach**

Selcerską, Sodową i Vichy.

68

## Warszawskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Szyb

Zarząd: Warszawa, ul. Leszno Nr. 11, tel. Nr. 63-53.

Jedyna w dziale ubezpieczeń szyb oparta na wzajemności polska instytucja. Przyjmuje do ubezpieczenia szyby lustrzane wystawowe i lustra. Odpowiada, na mocy bezporności polis, za wszystkie wypadki, nie :::: wyłączając strat wyrządzonych działaniami wojennymi. ::::

**W 1269 wypadkach T-wo wypłaciło Rs. 135.390,00.**

KOSZTORYSY NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

64

ZNANE ZE SWEJ DOBROCI  
**WINA, KONIAKI, LIKIERY**  
 ZAGRANICZNE I ROSYJSKIE  
 POLECA PO CENACH UMIARKOWANYCH  
 HURTOWY SKŁAD  
**F. VENULET i S<sup>KA</sup>**  
 WARSZAWA, SENATORSKA 8.

**JÓZEF BREITKOPF**

dawniej BREITKOPF i PRZANOWSKI  
**BIURO TECHNICZNE**  
 WARSZAWA, Aleje Jerozolimskie 66.  
 ROK ZAŁOŻENIA 1866.

POLECA WPROST ZE SKŁADU:

ARMATURE wodną i parową.

PAKUNKI przetłuszczone i azbestowo grafitowane do wody i pary.

PLYTY uszczelniające na wysokie ciśnienie „MOORIT” „ATONIT”.

WYROBY GUMOWE techniczne, WEŻE GUMOWE do polewania.

WIALNIE amerykańskie do oczyszczenia zboża.

PASY skórzane, wielbłądzie i Balata.

Francja słynie z wybornych win szampańskich, Niemcy z pysznego piwa, Anglicy z porteru, Rosya z wódki, a Polska

**ZE STARYCH MIODÓW**  
**W. WYSOCKIEGO**

Dostać można: 1) **W. Wysocki**—Podwale № 25. 2) **Langner**—Mazowiecka № 1. 3) **Majewski**—Marszałkowska № 80. 4) **Pawłowski**—Bracka № 22. 5) **Bracia Pakulscy**—Marszałkowska № 110. 6) **Wojciechowski**—Nowy Świat № 64. 7) **Lisowski**—plac Teatralny № 9. 8) **Tarkowski**—Marszałkowska róg Sadowej. 9) **Walter**—Bracka № 9.  
 I we wszystkich znaczniejszych handlach win.

Najsympatyczniejszy ogród

„Bagatela”

gdzie w sezonie letnim zbiera się najliczniej wytworna  
 Publiczność warszawska, JEST JUŻ OTWARTY.

Z poważaniem

Kazimierz Dakowski.

CUKIERNIA  
L. LOURSE & Co.

EGZYSTUJE OD R. 1821.

HOTEL EUROPEJSKI—WARSZAWA

TELEFON 90.

CUKIERNIA  
B. SEMADENI

EGZYSTUJE OD R. 1827.

TEATR WIELKI—WARSZAWA

TELEFON 182

56

WANNY EMALIOWANE  
Z PIERWSZEGO FABRYCZNEGO ŹRÓDŁA

Emalia nadzwyczaj odporna na działanie kąpeli leczniczych.  
Najtańsze i najkorzystniejsze kupno wyborowego towaru.

Różne wymiary i fasony!      Bogaty asortyment!

FABRYCZNY SKŁAD. Tow. Akc. J. A. John Mokotowska 18.

55

„Café Empire”

Krakowskie Przedmieście № 7.

Pierwszorządna Kawiarnia i Restauracja

Codziennie Koncert artystycznego zespołu.

2

KRYCIE I REPERACYA DACHÓW

:: WANNY I PIECE KĄPIELOWE ::

poleca egz. od 1897 r. fabryka

**LEONA KOMPERTA**

□□□□□□□□

OGRODOWA № 44.

□□□□□□□□

57



ZAKŁADY □□□□□  
PRZEMYSŁOWE

**Karol MICHLER**

w Warszawie, Wolska 40. Telef. 7-23.

Polecają swoim odbiorcom i Sz. Publiczności powszechnie uznane za najlepsze  
**MAKARONY i MAKĘ** po cenach bardzo przystępnych.

Kantor dla obstałunków: Wolska 40. Telef. 7-23.

Wszystkie obstałunki załatwiane są bezzwłocznie.

20

**I-szy Bar Amerykański**

**Senatorska Nr. 27.**

Po gruntownem odnowieniu został otwarty. Polecając go uwadze Szanownej Klienteli pozostajemy z szacunkiem

**Leon Klemberg i Stanisław Maciaszek.**

53

## Leona Idzikowskiego w Kijowie

w Warszawie, Marszałkowska 119.

Polecają następujące utwory fortepianowe i do śpiewu:

|                                                                       |                                                                                      |
|-----------------------------------------------------------------------|--------------------------------------------------------------------------------------|
| <b>Paderewski I.</b> Canzone (Chant<br>sans paroles) rb. —90.         | <b>Friedman I.</b> Jak ta wilga —60.<br>„ Z łak i pół —60.                           |
| <b>Bobinski H.</b> Pensée —75.                                        | <b>Joteyko T.</b> Pogrzeb Króla Kazi-<br>mierza Wielkiego. Melode-<br>klamacya. —C0. |
| „ 2 éme concerto 3.50.                                                | <b>Białkiewiczówna I.</b> W godzinach<br>smutku i tęsknoty. 6 pieśni á —50.          |
| <b>Friedman I.</b> Scènes enfantines. 1.20.                           | <b>Życiorysy znakom. muzyków:</b>                                                    |
| <b>Moniuszko</b> —Melcer Wiosna —50.                                  | <b>Poliński A.</b> Fryderyk Chopin. —60.                                             |
| <b>Zientarski V.</b> Rapsodya polska —90.                             | „ Stanisław Moniuszko. —60.                                                          |
| „ Pod wrażeniem „Dziadów”<br>A. Mickiewicza. melodya —40.             | <b>Rolland R.</b> L. Beethoven —60.                                                  |
| <b>Osmański</b> Pożegnanie rodzinnej<br>gleby. Melodye swojskie. —60. |                                                                                      |
| <b>Friedman I.</b> 3 pieśni: Wiosnennerano —60.                       |                                                                                      |

40

# Bar „Expres”

z lokalami gustownie urządzone na parterze i I-szem piętrze, w gmachu, Aleje Jerozolimskie Nr. 80.

Współwłaściciele tego zakładu, w doli i niedoli starają się być w serdecznym kontakcie z P. T. Publicznością, której łaskawym względem polecają się i nadal, kreśląc się z poważaniem

*J. W. Galicki,*

*Bolesław Sypniewski i*

*Jan Sawicki.*

49

Skład wyborowych wędlin

## Stanisława Gorgolewskiego

w Warszawie, przy ulicy Żórawiej № 16, róg Kruczej.

Tel. 184-49.

Filja Aleje Ujazdowskie № 16. Tel. 177-76.

Telefon fabryki N-r. 184-48.

48

# HOTEL EUROPEJSKI

W WARSZAWIE

Pierwszorządna restauracya. □ □ □ □  
□ □ □ □ Wielki zapas starych win.

CENY PRZYSTĘPNE.

21

## I. Langleben

Dierwsza Warszawska  
Fabryka Korków

CHŁODNA Nr. 5.

## CUKIERNIA

pod firmą

# A. JACKOWSKI

MARSZAŁKOWSKA 59.

poleca:

wszelkie wyroby cukiernicze.

46

## Czekolada i Kakao

# W E D L A

## najlepsze.

15

Wina, Towary Kolonialne, Delikatesy

# F. Pawłowski, Bracia Pakulscy

Bracka 22, róg Chmielnej,  
Marszałkowska Nr. 110.

17



# JARMARK

Rzemieśników Chrześcian

Otwarty cały dzień

**W hali dolnej:**

ubioy męskie, dziecięce, obuwie,  
rękawiczki, czapki, bielizna, krawa-  
ty, parasole, lustra, szczotki.

**W hali górnej:**

ubioy damskie, dziecięce, gala-  
terya, mody, gorsety, kwiaty, poń-  
czochy, zabawki, naczynia kuchenne.

Świętokrzyska №. 41 róg Zielnej.

CENY STAŁE KONKURENCYJNE.

59

## „BACHUS”

ul. Marszałkowska Nr. 102

HANDEL WIN i TOWARÓW KOLONJALNYCH

## „Ermitage”

ul Marszałkowska róg Widok Nr. 25

Winiarnia i Restauracja. Wszelkie gatunki win z piwnic Domu Handlowego

**MAURCY SEYDEL i S-ka**

41

## BIURO BANKOWE

### Gazety Losowań w Warszawie

Krakowskie-Przedmieście 47/49 (dom własny).

załatwia wszelkie tranzakcyje bankowe i towarowe w kraju  
i zagranicą na najdogodniejszych warunkach.

Wynajem kasetek w opancerzonym skarbcu stalowym od rubla.

Wszelkich informacyj Biuro udziela bezpłatnie.

28

## Warszawskie Towarzystwo Handlu Herbatą

(z marką handlową pomnik Kopernika)

==== Moniuszki №. 3. ====

Pierwsza i jedyna Polska w Królestwie Polskiem Hurtownia.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Poleca herbatę chińską i ceylońską.

 Zwracać uwagę na markę handlową pomnik Kopernika.

1

TOWARZYSTWO AKCYJNE  
HANDLOWO-PRZEMYSŁOWE

„Ł. J. Borkowski“

Warszawa. □ Zarząd: Mazowiecka Nr. 11.

Skład № 1: Twarda 69. Telefon № 21, 71-92 i 204-12. Skład № 2: Kolejowa № 1.  
Telefon № 35, 67-34. Skład № 3: Wołowa № 50 (Praga). Telefon № 93-40.

Dąbrowa Górnicza, pow. Będziński, gub. Piotrkowska.  
Łódź, Widzewska № 60. Telefon № 1-19. — —

Oddziały w miastach: Częstochowie, Lublinie, Radomiu, Moskwie, Piotrkowie, Kielcach,  
Petrogradzie i Charkowie.

Żelazo, Węgiel, Cement, Artykuły techniczne.

18

G. G E R L A C H

WARSZAWA, CZYSTA Nr. 4.

MAGAZYN  
OPTYCZNO - TECHNICZNY

TELEFON 49-77.



SKŁAD MASZYN DO PISANIA

„UNDERWOOD“

i dodatków.

TELEFON 1-77.

Cenniki bezpłatnie.

38

„CAFE GASTRONOMIQUE“

NOWY - ŚWIAT Nr. 16 (róg Alei Jerozolimskich).

Lokal wykwintny. Doborowe towarzystwo.

Kwintet pod dyrekcją T. WIŚNIEWSKIEGO.

W kuchni i zakładzie pracownikami sami współwłaściciele.

36



**Popierajcie przemysł polski!**

**Polska fabryka zapalek**

**„BŁONIE”**

**J. Pawłowski i S-ka**

**Skład główny: Mazowiecka 11, tel. 20-82.**

31

**Koncesjonowana Fabryka**

**POLSKICH KART DO GRY**

**„Varsovia“**

**(właśc. Edw. Chodowiecki i S-ka)**

**Plac Warecki 4.**

54

**Browar Parowy**

**E. REYCH SYNOWIE**

**Warszawa,**

**Grzybowska 33**

**poleca**

**PIWA:** 1) jasne, 2) Ciemne 3) Bawarskie  
w beczkach i butelkach.

62

# HOTEL SASKI

**Krakowskie-Przedmieście 33**

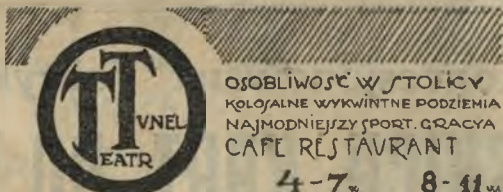
**EGZYSTUJE Z GÓRĄ LAT 100**

**Ceny numerów od 2 mk. 50 do mk. 10.**

**KĄPIELE NA MIEJSCU.**

31

## WROTNISKO



OSOBLIWOŚĆ W STOLICY  
KOŁOŚALNE WYKWINTNE PODZIEPIA  
NAJMODNIEJSZY SPORT. GRACYA  
CAFÉ RESTAURANT

4-7<sup>u</sup> 8-11<sup>u</sup>  
GALERJA LIXENBURG w ŚWIĘTA — 11-2<sup>r</sup>  
RENDEZ-VOVS ELEGANCKIEGO ŚWIĘTA.

32

## Największy Magazyn Ubiorów Męzkich STANISŁAWA CZAPIŃSKIEGO

w WARSZAWIE

ulica Miodowa Nr. 2. — Telefon 35-54.

33

Po rozprzedaży „Jednodniówki” pro-  
simy na kolację do „BARU WIEDEN-  
SKIEGO” Trębacka 11.

35

**BIURO TECHNICZNE**  
**W. KOMARNICKI i S<sup>KA</sup>**

w Warszawie, Marszałkowska 41.—Telefon 233-91.

WYKONYWA: Kanalizację, Wodociągi, Oczyszczanie wód, Centralne ogrzewanie, Suszarnie, Osuszanie, Nawodnianie, Roboty budowlane, Pomiary, Poziomowanie, Kompletne urządzenia według najnowszych wymagań techniki: Rzeźni, Kąpieli, Łaźni parowych, Pralni, Kuchen, Szpitali, Wodopojów, oraz Zakładów przemysłowych.

Oferty, Kosztorysy, Projekty. **Dostawa artykułów technicznych**  
: i materiałów budowlanych. : 65

**Bar Artystyczny pod „Wiechą”**

Nowosienna 2a.

Zakład pierwszego rzędu

poleca

WZOROWĄ KUCHNIĘ i bufet obficie zaopatrzone w przekąski.

KONCERT codziennie od 8—11 wieczorem.

GABINETY z wejściem oddzielnym, od ul. Moniuszki Nr. 9. 70

**KĄPIELE**

przy ul. Bagatela 12a (róg Aleji Szucha).

Codziennie od godziny 8 rano.

Łaźnia rzymska (sucha) i parowa, wanny i prysznicze urządzone podług najnowszych wymagań. W Środy łaźnia dla Pań od 8-ej rano do 5-ej po południu, od 5-ej dla Panów.

Ceny: łaźnia 25 kop., wanna 50 kop.

Abonament na 12 biletów znaczne ustępstwo. 67

**RESTAURACJA HOTELU**

**„ROYAL”**

CHMIELNA Nr. 31.

CODZIENNIE KONCERT. — GABINETY. 66

# M. HAYDENWURZEL

WARSZAWA  
ul. Kotzebue 2

ŁÓDŹ  
Mikołajewska 5

Fabryczne składy Papieru.

13

## BANK DLA HANDLU I PRZEMYSŁU w Warszawie

Kapitał zakładowy Rb. 5.000.000.

INSTYTUCYA CENTRALNA, Hr. Berga 8.

BIURO WYMIANY (czynne od godz. 9 r. do 4 ½ pop.) Hr. Berga 8.

I-szy ODDZIAŁ MIEJSKI, Marszałkowska 83.

II-gi ODDZIAŁ MIEJSKI, Praga-Targowa 31.

ODDZIAŁ w ŁOMŻY.

ODDZIAŁ w SIEDLCACH.

AGENTURA w GRAJEWIE.

AGENTURA w MIĘDZYRZECU.

5

## „NIESPODZIANKA”

KAWIARNIA i RESTAURACJA, ul. Bagatela 15.

Obszerne lokale na parterze i na 8-mem piętrze z tarasem, z którego podziwiać można panoramę całej Warszawy i jej okolic.

Komunikacja z tarasem windami elektrycznymi.

Na parterze sale z bilardami.

52

WARSZAWSKIE  
**Akcyjne Towarzystwo Pożyczkowe**  
na zastaw Ruchomości

Kantor Główny **Pl. Warecki 2.**  
Oddział I **ul. Przejazd N-r. 1.**  
Oddział II **Nowo-Miodowa 2.**

43

# Bank Zachodni

w WARSZAWIE, ul. Kotzebue Nr. 6.

**I-y ODDZIAŁ MIEJSKI**

Marszałkowska 98 (róg Jerozolimskiej)

**ODDZIAŁ W ŁODZI**

Piotrkowska 52.

10

# MLEKO

w butelkach  
na miarę  
sterylizowane

dla dzieci  
i chorych

pełne

**Śmietanka sterylizowana** gwarantowanej dobroci

poleca **Drugie War. Ziem. Tow. Mleczarskie**

Dostawa do domów.

Czerniakowska Nr. 104.

42

## WARSZAWSKIE

# Towarzystwo Ubezpieczeń OD OGNIĄ

założone w roku 1870

Roczny zbiór premii przeszło **7.500.000 rb.** Kapitał zakład. i rezerw. przeszło **5.000.000 rb.**

**Jeneralne Reprezentacye:** i Agentury we wszystkich ważniejszych miejscowościach Królestwa i Cesarstwa.

**BIURO DYREKCYI:** Warszawa, ul. Jasna Nr. 4 (dom własny).

Prezes T-wa: Leopold baron Krenenberg. Dyrektor Zarządzający: Andrzej Świątchowski. Vice-Dyrektor: Paweł Górski.

## S. HISZPAŃSKI SZEWC MĘSKI I DAMSKI

Warszawa, Krakow.-Przedmieście 7. Tel. 43-02.

ISTNIEJE OD 1838 ROKU.

Obuwie wykwinne i trwałe.

# Bank Handlowy w Łodzi

Oddział Warszawski  
= Erywańska № 6. =

## WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEGO KREDYTU

istniejące od roku 1872

7 PLAC WARECKI 7.



ISTNIEJĄCE OD ROKU 1805

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

WARSZAWA, CEGLANA 11.

SKŁAD NASION—SZKÓLKI DRZEW—HODOWLA ROŚLIN—SKLEP KWIATÓW

NASIONA warzywne, rolne i kwiatowe. DRZEWA i krzewy owocowe i ozdobne,  
NARZĘDZIA ogrodnicze w wielkim wyborze. ROŚLINY doniczkowe i kwiaty cięte.  
KOSZE, żardinierki, wiązanki i inne wyroby kwiatowe

w sklepie przy ulicy Wierzbowej Nr. 3.

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

19

Na zasadzie uchwały Ogólnego Zebrania Przedstawicieli, zatwierdzonej 18 marca b. r. przez J. Eks. Sze-  
fa Zarządu Cywilnego, Towarzystwo Wzajemnego  
ubezpieczenia od ognia

## „SNOP”

rozszerza swą działalność na ubezpieczenia od ognia  
wszelkiego rodzaju budowli i ruchomości—wiejskich,  
miejskich i przemysłowych. 12-o letnia działalność  
T-wa „Snop“ potwierdza doniosłość zastosowania  
zasady współdzielczości, zapewniającej ubezpieczo-  
nym zwrot całości rocznych zysków. Poważne sto-  
sunki reasekuracyjne i rezerwy, wynoszące d. 30.6.1915.  
rb. 1,198,003 — gwarantują solidność T-wa „Snop“.

23

## „CORSO”

Wierzbowa 7.

**NAJ**-nowsze obrazy —  
-lepsza muzyka —  
-wygodniejsza sala.

ZMIANA PROGRAMU WE WTORKI

Początek przedstawień o godz. 5-ej, w niedzie-  
le i święta o godz. 4-ej.

14

Fabryka wyrobów platerowanych  
i wyrobów  
z Hennebergowskiego srebra

„Bracia HENNEBERG”

-- Zarząd i Główna Ekspedycja --

WARSZAWA, Wolska 17

Sklep detaliczny: Trębacka 1.

75

✿ ✿ Towarzystwo Akcyjne ✿ ✿

Urządzeń Szkolnych  
i Laboratoryjnych

„Urania”

Warszawa,  
Własna fabryka  
mebli szkolnych



Bracka 18.  
Własne wydawni-  
ctwa map i tablic  
do pogadanek.

26